

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/266

1969



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. CZAPSKI :

JERZY STEMPOWSKI

Zb. BYRSKI : **CZY ANTY-JAŁTA JEST MOŻLIWA ?**

K. BRODZIŃSKI :

LENIN ZA GUMĘ DO ŻUCIA

A. GUTOWSKI :

POLSKA DROGA DO...

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Jerzy Stempowski</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	6



Henryk Schoenfeld:	<i>Księżycowe obiter dicta</i>	13
Stanisław Mroczkowski:	<i>Pierwsze konstatacje</i>	25



Wiktor Szacki:	<i>Nowe nacjonalizmy</i>	27
----------------	--------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Praga i Pekin</i>	32
Zbigniew Byrski:	<i>Czy anty-Jaŭta jest możliwa?</i>	40
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	53

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk:	<i>Niemcy na zakręcie</i>	61
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	64
Konrad Brodziński:	<i>Lenin za gumę do żucia</i>	67

K R A J

Antoni Gutowski:	<i>Polska droga do... (1)</i>	81
Jan Gross:	<i>O rewizjonizmie</i>	96
—	<i>„Zawodowy Polak”</i>	101
—	<i>Czarna lista</i>	102

SPRAWY I TROSKI

Józef Gidyński:	<i>Podwójne obywatelstwo</i>	103
Ks. Wojciech Sojka:	<i>O polską sinologię</i>	112

KRONIKA KULTURALNA

Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Młodzi w akcji</i>	116
Adam Sutkowski:	<i>Muzyka Europy Wschodniej (2)</i>	120
George Gömöri:	<i>Tibor Déry</i>	127
—	<i>Komunikaty:</i>	
	1) „Chicago Woman of the year” ..	135
	2) 50-lecie 16-go Pułku Ułanów	
	<i>Wielkopolskich</i>	135

K S I A Ż K I

Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Fikcja i fiasco</i>	135
Maria Daniłowiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	137
—	<i>Subskrypcja na „Dzieła” W. Gombrowicza</i>	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	142



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	145
A. Dziewanowska, W. Czerwiński i K. Trębicki, gen. St. Kopański, J. Kowalewski, A. Lubelski, A. Nasielski, ks. P. Nieużyła, W. Szyniak, St. Zarzewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Listopad-Novembre

1969

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Konrad BRODZIŃSKI, ur. 11. IV. 1954, w Londynie, stypendysta *City of London School*.



WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Nicolas B. Bronicki, Sceaux/Seine (Francja)	F. 50,00
Cyprian Chodźko, Caracas (Wenezuela)	F. 66,00
Czytelnik z Polski, po raz siódmy	F. 40,00
A. A. Jeleński, Paryż — dla uczczenia pamięci Jerzego Stempowskiego	F. 100,00
Liceum Polskie w Les Ageux (Francja)	F. 25,00
Very rev. Donald M. Malinowski, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz siódmy	F. 33,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA)	F. 81,00
Napoleon Milejszo, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 10,00
Stan. Skorupiński, Windsor, Ont. (Kanada)	F. 26,00
Hipolit Wawelberg, Sao Paulo (Brazylia), po raz drugi	F. 50,00
Józef Wittlin, New York — dla uczczenia pamięci Jerzego Stempowskiego	F. 55,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Philadelphia, Pa. (USA), po raz trzeci	F. 200,00
W. Zbik, Montreal	F. 50,00
Zdzisław T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz trzeci	F. 27,00
Józef Młynarski, Monachium, na fundusz wydawniczy <i>Zeszytów Historycznych</i>	F. 44,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY DLA UCZCZENIA PAMIĘCI J. STEMPOWSKIEGO

Na pomoc dla polskich studentów aresztowanych w PRL
zebrane w dniu pogrzebu przez Kazimierza Vincenza

Kiermasz Książki Polskiej SPK w Szwajcarii	F.S. 100,00
Julian Godlewski, Lugano	F.S. 300,00
Stanisław Irena Vincenzowie, Lozanna	F.S. 20,00
Kazimierz i Halszka Vincenzowie, Solura	F.S. 20,00
Janina Marty-Gajewska, Bettlach	F.S. 20,00
Wiesław Wohnout, Londyn	F.S. 20,00
Dr Jerzy Paszkowski, St.-Gallen	F.S. 10,00
Józef Beran, Bazylea	F.S. 10,00
Zygmunt Stankiewicz, Bern	F.S. 50,00
Dr K. Gaugler, Interlaken	F.S. 10,00
Dr Andrzej Vincenz, Heidelberg	F.S. 20,00
Zespół Polskiego Radia Wolna Europa, Monachium	F.S. 110,00

Razem: F.S. 690,00

Jerzy Stempowski

Śmierć nas osacza, o tym niby wiemy wszyscy, ale *jak?* — jeżeli każda śmierć istoty bliskiej nam tę prawdę odkrywa na nowo i jakby po raz pierwszy.

Po Wierzyńskim, po Marku Hłasce, po Gombrowiczu, odszedł od nas Niespieszny Przechodzień. Dla nas, mieszkańców domu *Kultury*, to był przyjaciel najbliższy, a czym była przyjaźń Hostowca — Jerzego Stempowskiego — wie każdy z tych, których swoją przyjaźnią darzył.

Iluż naszych czytelników zaczynało zawsze czytanie *Kultury* od „Niespiesznego Przechodnia”.

Stop wiedzy o życiu i świecie, nigdy zadufanej i pysznej, ale wszechstronnej, wnikliwej i cichej, język giętki i czuły, w którym czytelnik odnajdywał natychmiast oczarowanie stylu tego, który był przyjacielem człowieka, ptaków i drzew, nieugiętego przeciwnika każdej, nawet słownej, tyranii — obywatela idealnej Rzeczypospolitej, który był bratem Ukraińca i Hucuła, Żyda czy Litwina, tego wroga wszelkiego, a przede wszystkim polskiego, wynoszenia się ponad innych.

Z ludzi, których znaliśmy, chyba najbardziej Europejczyk — był on dzieckiem iluż tradycji, iluż kultur przeżytych od wewnątrz, całą istotą, ten niespieszny przechodzień po iluż krajach — „od Berdyczowa do Rzymu” — tak nazwał tom swych dzienników podróży, z wydaniem którego wciąż zwlekał jeszcze i jeszcze, wprowadzając drobne poprawki czy skróty. Kraje, w których żył czy które odwiedzał, znał z niezliczonych lektur, z historii, z osobistych, na miejscu, spotkań, i przeżyć, nigdy mu nie były obce, zdawało się że był wszędzie u siebie w domu. Jego teksty, tak często dotyczące spraw paląco aktualnych, zdają się zawsze żyć poza czasem, czy w wielu, bardzo wielu, czasach jednocześnie.

Świat antyczny — Rzym i Grecja — był mu równie obecny, równie przytomny, może bardziej nawet niż epoka w której żył. Wspomnienie o *jego* Warszawie, o Wroniej i Siennej, zaczyna słowami: „Z Troi pozostał tylko jej niejasny opis dokonany przez Greków, którzy zburzyli miasto i wymordowali Priamidów. Burzyciele Warszawy byli mniej piśmienni. W literaturze ich na próżno szukalibyśmy opisu miasta. Nikt z ich pisarzy nie mówił o Warszawie tonem głębokim i żalonym jakim Eurypides mówi o Troi”.

Dawno zmarłych żywe twarze towarzyszyły mu jakby na każdej stronie jego pism, wrosły w samą tkankę jego istoty. Smutek, ból przemijania, współczucie, są u niego zawsze wyrażone szeptem i szeptem, ubocznie, mówi również o swej głuchej tęsknocie, opisując rzeki ojczyzny w których „jedne huczą i dudnią, inne dzwonią po płytkim dnie, w innych słysząc bulgotanie wirów i szmer pian przesuwających się nad głębiną, w innych wreszcie woda jest niema”.

Jakże mógłbym, jakże bym potrafił wyliczyć dziś chociażby główne nurty, główne ścieżki, po których myśl jego wędrowała, wyliczyć tonacje przeróżne smutku, pogody, nawet humoru i ciętego sarkazmu jego tekstów, ale nie myślę się chyba, że na dnie tych nurtów był ból, ból istnienia który go rzadko, bardzo rzadko, opuszczał.

Ponad wszystko góruje w nas dziś myśl o przyjacielu: ilu z nas, i poprzez ile lat, pomógł, oświecił, wzbogacił zadziwiającym wachlarzem wiedzy i miar porównania, samą postawą wobec życia i uwagą wobec każdego człowieka.

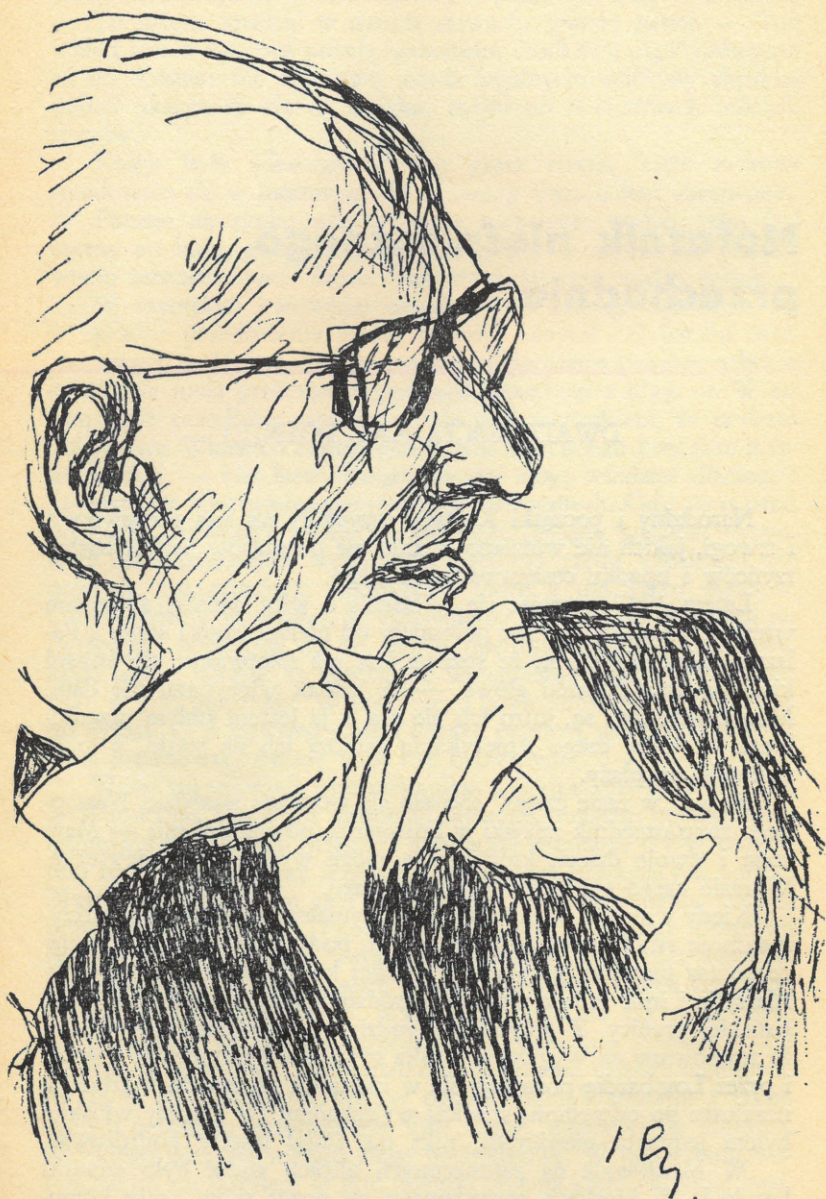
Tego przyjaciela, który był diamentem najczystszej wody w koronie *Kultury*, dzisiaj żegnamy.



Chcę tu wspomnieć również o jego szwajcarskich przyjaciółach z lat powojennych, z tej Szwajcarii którą pokochał i w którą wrosł. Myślę tu przede wszystkim o Henryku i Dienneke Tzaut. Ich wieloletnia przyjaźń towarzyszyła mu wiernie, do ostatnich chwil. Henryka Tzauta — wybitnego prawnika i wyższego urzędnika szwajcarskiej administracji federalnej, jego małżonkę, panią Dienneke Tzaut — malarkę i profesora muzyki — powiązała z Jerzym przyjaźń wieloletnia i wspólność zainteresowań. Ich dom pełen pamiątek, książek, dzieł sztuki, stał się jego własnym domem. Zastąpili mu rodzinę czuwając nad nim z całkowitym oddaniem do ostatniego tchu.

Od rozsianych po świecie przyjaciół zmarłego należy się im wdzięczność najgłębsza.

Józef CZAPSKI



Rysunek J. Czapskiego zrobiony w sierpniu rb.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

Narodziny i początki *Kultury* przypadły na lata niepewności i trwogi, jakich nie widziano w Europie od czasów najścia barbarzyńców i upadku cesarstwa rzymskiego.

Latem 1947, starając się w Bernie o wizę włoską, zdobyłem wreszcie własnoręczny list polecający od podsekretarza stanu z Palazzo Chigi. Myślałem, że sprawa jest już załatwiona, ale konsul kiwał w zakłopotaniu głową. — A jednak wizy panu nie dam. Ministrowie dziś są, jutro ich nie ma, a ja jestem stałym urzędnikiem. W razie czego Amerykanie zabiorą ich na statki, a mnie zostawią na plaży.

Słowa „w razie czego” słyszało się wówczas wszędzie. Następnego roku urzędnik miejski w Stuttgarcie powiedział mi: — Mam żonę i dwoje dzieci, których nie mogę wydać na poniewierkę. W razie czego otwieram kurek od gazu.

Kiedy wreszcie późną jesienią otrzymałem wizę włoską, zatrzymał mnie strajk generalny we Francji, podczas którego występujące po raz pierwszy *groupes de combat* komunistyczne okupowały Marsylię i inne miasta wybrzeża śródziemnomorskiego aż do hiszpańskiej granicy. Z godziny na godzinę oczekiwano wiadomości, że zmasowane na Węgrzech wojska sowieckie przekroczyły granicę i przez Lombardię posuwają się w kierunku Hiszpanii. 9 grudnia, nazajutrz po odwołaniu strajku, wyjechałem. Na granicy włoskiej byłem jedynym pasażerem; nikt nie śmiał jeszcze podróżować.

W Mediolanie na zaśmieconych ulicach widać było szczątki barykad. W kioskach sprzedawano na pozór tylko prasę komunistyczną. Na żądanie sprzedawca, oglądając się za siebie, wyciągał

z ukrycia numer *Corriere della sera*. W hotelu spotkałem przyjezdnych z Rzymu. — Co się działo przez ten czas w Rzymie? — To można streścić w dwóch słowach: *grande paura*. — Ten wielki strach ogarniał przede wszystkim środkową część półwyspu aż do Arezzo; nie było tam władz legalnych; oddziały zbrojnej policji ukazywały się na krótko; mówiono o studniach pełnych trupów.

Koleje były zdeorganizowane przez strajk, wiele mostów znajdowało się w naprawie; do Florencji wyjechałem autobusem. W Parmie na rynku uderzył mnie niezwykle widok: plac był czarny od ludu, gestykującego jak gdyby w milczeniu. Rozmawiano szeptem: *parla basso*. Tak wyglądał tam wielki strach.

W rzymskiej kweturze urzędnik, do którego zgłosiłem się w sprawie przedłużenia prawa pobytu, zapytał czy jestem zarejestrowany w IRO (Międzynarodowa organizacja pomocy uchodźcom). Na moją przeczącą odpowiedź westchnął z ulgą. — W takim razie przedłużę panu wizę, ale pod warunkiem, że podczas pobytu we Włoszech będzie pan unikał wszelkiego kontaktu z tymi ludźmi. — Nic łatwiejszego, ale czy mogę wiedzieć dlaczego? — Jest tam zbyt wielu agentów komunistycznych. Gdy się o panu dowiedzą, nazajutrz poselstwo sowieckie zażąda pańskiej ekstradycji jako przestępcy wojennego. Sytuacja rządu włoskiego nie pozwala mu odmówić ekstradycji, może z nią tylko zwlekać. Odpowiadamy zazwyczaj, że zatrzymamy daną osobę w obozie do dyspozycji poselstwa aż do chwili międzynarodowego ustalenia, kogo należy uważać za przestępcę wojennego. Mamy już kilkaset osób w tym położeniu. W razie czego pozwolimy im uciec. Byłoby mi jednak — a zapewne i panu bardzo przykro, gdybyśmy musieli pana internować. Proszę więc być ostrożnym.

Wielu zagrożonych internowaniem i ekstradycją szukało azylu w Watykanie. Emigrant ukraiński, którego chciałem poznać, zatelefonował mi, że musi uciekać i wyznaczył spotkanie o 8-ej wieczorem na Gianicolo, przy żelaznych sztachetach otaczających ogrody Watykanu. Poszedłem tam w południe, dla rozpoznania miejsca przy świetle dziennym. Przez salita S. Onofrio, między ciemnymi murami starego szpitala wariatów, wszedłem na grzbiet wzgórza. Po lewej ręce, w dole miałem sławne więzienie Regina Coeli, po prawej żelazne ogrodzenie Watykanu, podobne do tego, jakie w Warszawie otaczało Belweder. Po drodze nie spotkałem ani jednego przechodnia. Wyznaczone na spotkanie miejsce znajdowało się w alei, biegnącej między ogrodzeniem Watykanu i takim samym żelaznym ogrodzeniem Villi Lante, należącej do Helbiga, włoskiego generała niemieckiego pochodzenia. W ogrodzeniu watykańskim zauważyłem w tym miejscu żelazną szafę, w jakiej znajduje się zazwyczaj instalacja rozdzielcza dla prądu.

Wieczór był mglisty, i wzgórze oświetlała tylko niejasna luna reflektorów ustawionych dokoła Reginy Coeli. Szedłem powoli w ciemności aż do Villi Lante, przed którą leżała na ziemi smuga światła. Wrota były otwarte, za nimi stał czarny samochód, obok zaś dwóch mężczyzn palących papierosy. Gdy minąłem wrota, poszli za mną, trzymając się na odległości 20 kroków. W normalnym porządku rzeczy powinienem był zobaczyć po chwili dwóch innych, idących naprzeciw. Zwolniłem kroku i za ogrodzeniem Watykanu, koło żelaznej szafy zobaczyłem bladą twarz. Nie było czasu do stracenia. Na dłuższą rozmowę nie mogłem liczyć. Z życiorysu ukraińskiego emigranta przypomniałem sobie, że mieszkał przez kilka lat na Huculszczyźnie, powitałem więc go tamtejszym obyczajem: *Śława Isu!* — *Na wiki śława* — odpowiedział. Jednocześnie posłyszałem zgrzyt klucza, i uchyliła się furtka, której poprzednio nie zauważyłem. Mój nowy znajomy zaprowadził mnie do położonego w parku obszernego budynku, gdzie rezydowało wielu jego towarzyszy. Kiedy o północy wyszedłem tą samą furtką, aleja była pusta, wrota Villi Lante były zamknięte. Przypomniały mi się słowa urzędnika kwestury: Bądź pan ostrożny.



Gdziekolwiek rozproszeni przez wojnę Polacy znajdowali maszynę do pisania, drukarnię lub chociażby hektograf, tam powstało natychmiast polskie czasopismo emigracyjne. Wydana staraniem londyńskiego związku pisarzy *Literatura polska na obczyźnie* przedstawia historię tego pospolitego ruszenia literatów. Założyciele *Kultury* zanim, jako młodzi weterani Drugiego Korpusu, zjechali się w Rzymie, mieli już za sobą kilka lat doświadczenia ze słowem drukowanym na postoju. Jak długo nosili mundury muszkieterów, wielki strach i rezygnacja nie miały do nich przystępu. Po demobilizacji została im drukarnia, roczny zapas *corned beef'u* i wielka sprawa, którą armia przekazała literatom, nie mogąc więcej bronić jej sama. Trudno o lepsze warunki dla narodzin emigracyjnego czasopisma. Zaraz też ukazał się w Rzymie pierwszy numer ambitnego kwartalnika pod tytułem *Kultura*. *Doch alle Lust will Ewigkeit*, mówi Nietzsche, i świetnie zapoczątkowanemu wydawnictwu należało zapewnić ciągłość. Ale założyciele jego zdjęli mundury, nie korzystali więcej z autonomii armii operującej na obcym terenie i stali się uchodźcami cywilnymi w Rzymie, ogarniętym przez *grande paura*. Ciągłość pisma wymagała trwalszych podstaw.

Czy Paryż stał wówczas na mniej syrkim gruncie? I tam wszystko wydawało się niepewne. Kiedy w 1946 wysiadłem pewnego poranka na Gare de l'Est, w hali dworcowej odbywał się

wielki wiec z udziałem jakichś dwóch tysięcy kolejarzy, tragarzy, robotników miejscowych warsztatów i podróżnych, słuchających komunistycznego oratora. Tego dnia mianowicie odbywało się powszechne głosowanie nad projektem nowej konstytucji, która według znawców miała w krótkim czasie przynieść Francji dyktaturę proletariatu. Nie wszyscy podzielali poglądy oratora. Stojący np. obok mnie robotnicy warsztatów kolejowych przerywali jego wymowę głośnym śmiechem i ironicznymi uwagami.

Przyjaciół emigrantów zastałem oddających się smutnym medytacjom nad walizkami. Byli przekonani, że konstytucja zostanie przyjęta i myśleli o wyjeździe.

Podobne przewidywania robiła większość Paryżan, wyciągając z nich niespodziane dla mnie wnioski. O 4-ej np. pod arkadami rue de Rivoli zobaczyłem grupę mężczyzn w niebieskich bluzach, z czerwonymi chustkami na szyi, przechadzających się z dziwnie beczelnymi minami, obcymi francuskim robotnikom. Byli to burżuaze przebrani za robotników. Wieczorem byłem w domu wysokiego urzędnika, gdzie wszystkie kobiety były przebrane za *petites ouvrières*. W stroju tym było im bardzo nie do twarzy. Miałem wrażenie, że Paryżanie byli tego dnia gotowi do podporządkowania się domniemanym prawom historii. Dopiero w dwa dni później okazało się, że lud nieznaczną większością głosów odrzucił projekt konstytucji.



Niechętnie wracam myślą do tamtych lat. Byłem wówczas samotnym emigrantem, posiadającym tymczasowe prawo pobytu w Szwajcarii. Co miesiąc musiałem tłumaczyć się przed policją, dlaczego dotąd nie wyjechałem. Ta forma azylu do odwołania była wyrazem ogólnego poczucia niepewności. Wielki strach nie oszczędził nawet Szwajcarii, która z wojny wyniosła poważne zyski i była najzamożniejszym krajem kontynentu. Genewski garażysta pokazał mi raz kilkaset baniek z benzyną. — Wszyscy poważniejsi klienci chcą mieć zapas benzyny, mogący w razie czego wystarczyć aż do hiszpańskiej granicy. — I mrugając porozumiewawczo okiem dodał: — Dalej jak do Bellegarde nie dojadą. Tam już każą im wysiadać, żeby się ta cenna benzyna nie zmarnowała. — Ja też nie czułem się bezpiecznie.

W St. Margarethen na austriackiej granicy znajduje się na Renie wyspa nie należąca do żadnego z nadbrzeżnych państw. W latach trudności paszportowych wyspa ta stała się miejscem spotkań granicznych dla osób nie mających wiz. Ilekroć szedłem na takie spotkanie, przychodziło mi na myśl, że kiedyś będę szedł przez ten most z rękami związanymi na plecach, wydany władzom sowieckim. Rząd szwajcarski mógł łatwo znaleźć się

w sytuacji, w której odmawianie ekstradycji nie miałoby dlań większego sensu.

Moją rozrywką było wówczas poszukiwanie ciągłości życia w śladach, jakie historia pozostawiła na powierzchni ziemi. Powstała z tego mała książeczka, *La terre bernoise*. Pisałem w tych latach po francusku. Wydawało mi się, że jeżeli mam pozostawić po sobie jakiś ślad, jakieś świadectwo, powinienem je spisać w języku zrozumiałym dla otoczenia. Gdyby nie możność drukowania się w *Kulturze*, nie wróciłbym zapewne do polskiego.



Wielki strach trwał w Europie Zachodniej do końca 1949. Niemcy przeżyły w tym roku prawdziwy paroksyzm strachu. Kilka tysięcy osób, które „w razie czego” byłyby najbardziej zagrożone, zaczęły się starać o azyl w Hiszpanii. Republika Federalna nie miała wówczas własnych sił zbrojnych i wszyscy oglądali się na stacjonujące w Niemczech wojska amerykańskie. Po powrocie do domu weteranów większość ich stanowili nowozaciężni. Dla uspokojenia paniki dowództwo amerykańskie postanowiło pokazać publiczności ćwiczenia wojskowe. Ta demonstracja siły odbyła się jesienią pod Monachium. W dwa tygodnie później, w towarzystwie znajomego oficera, odwiedziłem niemieckiego pułkownika zatrudnionego organizacją policji. Na nasze pytania odpowiedział, że manewry amerykańskie stały się tylko nowym źródłem obaw, tym razem bardziej uzasadnionych. Nowi żołnierze byli nieobeznani ze sprzętem; czołgi wjeżdżały jedno na drugie; kilka z nich, uszkodzonych, zostało na placu boju. Piechota spóźniła się i generalicja musiała na nią czekać pół godziny. Niemcy, ćwiczeni w paradach od czasów Wielkiego Fryderyka, patrzyli z przerażeniem na te manewry. Zapytałem go, jak on sam ocenia siłę oporu armii amerykańskiej w Niemczech. Zwracając się do mego kolegi, pułkownik rzekł: — Jako wojskowy, może pan sobie wyobrazić siłę dwóch pułków, powiedzmy, dawnej pruskiej armii. Dwóch pułków, zaopatrzonych w odpowiedni sprzęt, starczyłoby na przełamanie oporu i dojście do hiszpańskiej granicy. — Słuszna czy nie, była to ocena sytuacji typowa dla okresu wielkiego strachu.

W latach tych nawet ludzie osiadli, mający za sobą kilka wieków stałości granic i ciągłości historii, utracili miarę rzeczy i wycucie granicy między tym, co bywa, i tym, czego nie bywa.



Po dwudziestu latach warto zastanowić się, jak wyszliśmy ze stanu szoku, w jaki wprowadził nas exodus i widok Zachodu, drżącego jak listek w powiewie wielkiego strachu.

Wielu szukało złudzenia ciągłości życia w ciągłości SPRAWY,

tradycji i obrzędów, w niezmienności programów i haseł politycznych od czasów Kościuszki, w stałości obrzędów świątecznych, w ciągłości rodzin. Stąd zamiłowania heraldyczne emigrantów. Jakiegokolwiek byłyby jego losy, potomek dziesięciu pokoleń szlachty nie może być całkowicie oderwany od przeszłości.

Były to jednak tylko odruchy samozachowawcze. Na dłuższą metę trudno uciec od rzeczywistości. Mimo klęsk Polacy wierzyli w przyszłość swego kraju, i od czasów Renesansu mieli nieograniczone zaufanie do potęgi i rozumu Zachodu. Teraz kraj zdawał się mieć przed sobą tylko skromną przyszłość satelity, Zachód zaś, utraciwszy w epoce nacjonalizmu wszelki zmysł polityczny, stał się tylko zoną wpływów amerykańskich. Między znanym od dzieciństwa obrazem świata i nową rzeczywistością otwarła się przepaść. Patrzący w nią doznawał zawrotu głowy, mógł zwątpić o własnej tożsamości.

W odzyskaniu przez emigrantów równowagi wewnętrznej i poczucia ciągłości życia wielka rola przypadła literaturze. Nie pytamy, czy literatura obecnej emigracji stworzyła dzieła wiekopomne, które będą czytane za sto lat. Zostawmy to przyszłym pokoleniom. W tej chwili najważniejszym wydaje się fakt, że literatura emigracyjna spełniła swe zadania w stosunku do współczesnych, przywracając im kontakt z przeszłością. Do tego celu słowo pisane jest niezrównanym narzędziem. Używany przez nas język powstał w dawnych czasach dla oddania innej rzeczywistości. Musimy go długo szlifować, aby nagiąć go do nowych potrzeb, nowych tematów. Każdy wyraz ma za sobą długą historię, z którą łączy nas automatycznie, gdy stawiamy go na papierze. Nawet nowator ustawia tylko w innym porządku wyrazy używane przez Jana Chryzostoma Paska. Równą ciągłość posiadają formy literackie. Kto ma coś do powiedzenia, musi przede wszystkim wiedzieć, jak się w ogóle taka rzecz pisze, sięga więc do istniejących wzorów.

Dla wytrąconych z równowagi i zagrożonych nawet w poczuciu tożsamości emigrantów czasopismo literackie staje się nieocenionym ośrodkiem nowego życia, łączącym rozproszonych i przywracającym im kontakt z przeszłością. W rekonwalescencji emigrantów z pierwotnego stanu szoku dział literacki *Kultury* odegrał wybitną rolę. Na łamach jej można śledzić, jak z pospolitego ruszenia literatów wyłaniała się dobra, lepsza i najlepsza literatura. Zapotrzebowanie na nią było tak wielkie, że dział literacki przesądził od razu o powodzeniu *Kultury* u czytelników.



Przenosiny z Rzymu do Maisons-Laffitte zdają się świadczyć, że *Kultura* narodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Mało zapewne jest miejsc sprzyjających w równym stopniu pracy myśli w obli-

czu katastrofy historycznej. W tym małym miasteczku widać jak na dłoni trzy epoki, oddzielone od siebie latami przemian gwałtownych, podobnych do trzęsienia ziemi. Ciągłość i jej brak są tu, jednakowo uderzające.

Pierwszym nawarstwieniem jest pałac i park z XVII wieku. Pałac wzniosł znakomity Mansard dla markiza de Longueil. Gościł w nim Ludwik XIV, Voltaire chorował w nim na ospę. Po rewolucji nabył go marszałek Lannes i gościł w nim Napoleona. Po restauracji kupił go bankier Jacques Laffitte. Zwycięskie mieszczaństwo zachowało pałac, ale zniszczyło park, będący jednym z najpiękniejszych wyrazów manii wielkości XVII wieku. W poszukiwaniu pieniędzy Laffitte rozparcelował część parku, zachowując tylko główne aleje. Stojące dziś wśród drzew wille są jak grzyby, porastające pień obalonego dębu.

W epoce anglomanii pojawiły się w zachowanych częściach parku stajnie wyścigowe. Otacza je tajemniczość. Na wysypanych piaskiem drogach konie kłusują wczesnym rankiem, potem znikają w stajniach. Można je także widzieć w oknach furgonów, służących do ich transportu. Patrzą obojętnie na ruch uliczny, jak gdyby wiedziały, że czasy ich są skończone.

Ostatnim nawarstwieniem jest część miasteczka wzniesiona przez drobną burżuazję w okresie przedwojennym. Jest to chaos domków dwupiętrowych, budowanych najoszczędniej. Brzydota ich zasmuca i dziwi. Między pięknymi wzorami dawnymi i nową dzielnicą nie ma nic wspólnego. Ciągłość została tu przerwana. Lecz i czasy drobnego mieszczaństwa zbliżają się do końca. W kilku miejscach wznoszone są bloki mieszkaniowe dla nowych mieszkańców, nie pretendujących do posiadania własnego domu z miniaturowym ogródkiem.

Ta defilada wieków stawia emigrantowi różne pytania. Czy życie Warszawy i Krakowa uległo równie głębokim przemianom?

Paweł HOSTOWIEC

Ostatni „Notatnik nieśpiesznego przechodnia”, Jerzego Stempowskiego piszącego pod pseudonimem Paweł Hostowiec, miał być poświęcony „Kulturze”, jej historii i jego z nią współpracy. Niestety długotrwała choroba i nagła śmierć uniemożliwiły mu dokończenie eseju. Zamieszczamy więc tylko pierwszą jego część, licząc że zainteresuje Czytelników.

Komunikujemy jednocześnie, że Instytut Literacki zamierza w niedalekiej przyszłości wydać Dzienniki Podróży Pawła Hostowca. Tytuł wyboru OD BERDYCZOWA DO RZYMU został przed śmiercią ustalony przez autora.

Redakcja

Księżycowe obiter dicta

Zacznijmy od opisu, nie od *obiter dictum*.

5 października 1957, Rosja Sowiecka wystrzeliła w przestrzeń dookoła ziemi pierwszego sztucznego satelitę. Sputnik 1 ważył 183,6 funtów, był zbudowany z aluminium i przekazywał sygnały radiowe ku ziemi. Rosja zarejestrowała walne pierwszeństwo naukowe i propagandowe. 3 listopada 1957, Sputnik 2, ważący 1.120 funtów wzmógł prestiż Rosji i sowieckiej technologii. Amerykanie (i polscy emigranci), którzy dotąd ironizowali na temat rosyjskiego bałaganu i zacofania technicznego („nawet ich pióra kulkowe nie funkcjonują”), zamilkli ze zdumienia.

Dopiero 31 stycznia 1958, pierwsza próba amerykańska, Explorer 1, ważący zaledwie 18,1 funtów, wzniosła się z Cape Canaveral — obecnego Cape Kennedy — w orbitę dookoła ziemi. Informacje naukowe, które mały Explorer 1 przekazał, przyczyniły się do odkrycia stref intensywnego promieniowania kosmicznego, tzw. stref Van Allena, najdonioślejszego odkrycia naukowego jakie zawdzięczamy próbom eksploracji przestrzeni. Mimo to i mimo szeregu innych satelitów amerykańskich, które zebrały pokaźną ilość informacji naukowych, Rosjanie wciąż mieli przewagę i zachowali inicjatywę i prestiż polityczny. W świecie polityki trudne sukcesy naukowe się nie liczą. Błyskotliwość pierwszeństwa jest łatwiejsza do zrozumienia a zatem politycznie bardziej skuteczna.

12 kwietnia 1961 Sowiety zarejestrowały nowe pierwszeństwo. Jurij Gagarin unieśmiertelnił się jako pierwszy człowiek podróżujący w przestrzeni. Świat wołał: „Brawo!”, a Amerykanie... Amerykanie niestety ponieśli dotkliwą klęskę polityczną, wojskową i propagandową w Bay of Pigs, zaledwie w pięć dni później, 17 kwietnia 1961. W miarę jak prestiż Sowietów wzras-

tał, prestiż Stanów Zjednoczonych malał. Nie było to tylko kwestią ambicji narodowej czy ambicji młodego prezydenta Kennedy'ego, ale bodajże kwestią przeżycia. Wojskowo i politycznie Stany nie mogły się szybko odegrać, a słabnące morale amerykańskie wymagało szybkiego lekarstwa. Lekarstwem była decyzja wyścigu przestrzennego z Sowietami i lądowania na księżycu przed 1970 rokiem. Ta decyzja nie była przypadkowa i nieprzemyślana. Jej podstawy zostały stworzone jeszcze za rządów Eisenhowera ustawą „National Aeronautics and Space Act” (NASA) z 29 lipca 1958 i nieustanną choć nieskoordynowaną pracą nad nowymi raketami i pociskami przestrzennymi. Dla doradców naukowych Eisenhowera lot księżycowy był tabu. Kennedy nie miał uprzedzeń, a po Bay of Pigs miał motywację. 25 maja 1961 ogłosił w Kongresie decyzję lądowania na księżycu „w obecnym dziesięcioleciu”. Pobudka była niewątpliwie polityczna a charakter amerykański nadał jej pozory dziecięcej rywalizacji sportowej. W rzeczywistości było w tym wiele więcej: wyzwanie dla narodu, którego żywotność była pod znakiem zapytania.

Gagarin był pierwszy! Pierwszym Amerykaninem był Alan B. Shepard 5 maja 1961, ale Shepard nie był w orbicie dookoła ziemi lecz został wyrzucony w przestrzeń i powrócił na ziemię po torze pocisku. Lot trwał 15 minut i był z góry zapowiedziany i najzupełniej jawny. To odejście od dotychczasowej rutyny zarówno rosyjskiej jak i amerykańskiej było świadomie zaplanowane. Jawność prób amerykańskich dawała Rosji poważny handicap, ale powodzenie z góry zapowiedzianego lotu musiało dać — i dało — olbrzymią korzyść propagandową.

6 sierpnia 1961 drugi Rosjanin, German Titow, okrążył ziemię 17 razy i dwukrotnie kierował ręcznie swą maszyną. Titow był także pierwszym człowiekiem który... jadł w przestrzeni. Dopiero 20 lutego 1962, John H. Glenn, jako pierwszy Amerykanin okrążył ziemię trzy razy i opadł planowo na Pacyfiku. Drugi lot amerykański M. Scott Carpentera 24 maja 1962 cudem uniknął katastrofy. Powrotna rakietą opóźniła wystrzał i kabina Carpentera spadła 250 mil od celu. Carpenter czekał na odnalezienie i wyłowienie z Pacyfiku przez trzy godziny.

Następne loty amerykańskie były głównie rutyną, Rosjanie natomiast zdobyli nowe pierwszeństwa. Pierwszy lot podwójny w formacji; pierwsza — i jak dotąd jedyna — kobieta w przestrzeni; pierwszy lot trzech astronautów w jednej kabinie; pierwszy człowiek „chodzący” w przestrzeni. Dopiero 18 lipca osiągnięto skromny sukces amerykański. Statek kosmiczny Gemini 10, po raz pierwszy bezbłędnie przyłączył się do bezzałogowego towarzysza. Podczas tego lotu Michael Collins, późniejszy bohater

Apollo 11, dwa razy spacerował w przestrzeni i przy tej sposobności zgubił wartościowy aparat fotograficzny.

Potem, raz po razie, dwie tragedie. 27 stycznia 1967 w symulowanej próbie Apollo 1, trzech astronautów — Grissom, White i Chaffee — zginęli w pożarze, a 23 kwietnia Sojuz 1 z pilotem Komarowem rozbił się przy lądowaniu. Jeśli zważymy zasięg i ilość lotów przestrzennych jest rzeczą zdumiewającą, że było tak mało katastrof. Inne ludzkie odkrycia — bieguna, Everesta, nawet Ameryki — były o tyle bardziej kosztowne w życia ludzkie.

Dopiero statkami kosmicznymi typu Apollo Amerykanie, niemal niepostrzeżenie, wyprzedzili Sowiety. Pierwszy załogowy lot był Apollo 7. Trzech astronautów spędziło w nim 260 godzin i 9 minut w przestrzeni 11 października 1968. Apollo 8, 21 grudnia po raz pierwszy okrążył z załogą księżyc i po raz pierwszy technologia przestrzenna Stanów Zjednoczonych wyprzedziła sowiecką. 14 i 15 stycznia 1969 rywalizacja kosmiczna dała nowe skromne pierwszeństwo Sowiетom. Sojuz 4 i 5 połączyły się w przestrzeni i wymieniły pasażerów. Wreszcie Apollo 9 i 10, 3 marca i 18 maja były próbami generalnymi lądowania na księżycu.



W środę 16 lipca 1969 o 9.23 rano, czasu wschodnioamerykańskiego, statek przestrzenny Apollo 11 wzniósł się z Cape Kennedy rakietą Saturn 5. Cel — księżyc! W kabinie Apollo 11 byli trzech astronautów: Neil A. Armstrong, kapitan wyprawy i pierwszy cywilny astronauta amerykański, pułkownik Edwin E. Aldrin i pułkownik Michael Collins. Data lotu była publicznie ustalona na długo przedtem a lot był zapowiadany ze szczegółami od 1967. Apollo 11 i jego załoga mieli towarzystwo. Trzy dni wcześniej Sowiety wystrzeliły bezzałogowy statek kosmiczny Luna 15, który krążył wokoło księżyca w orbicie od 34,5 do 126,5 mil, co 2 godziny 30 sekund. Tych danych nie mamy jednak z Rosji, lecz zostały zaobserwowane i obliczone przez stacje radioastronomiczne Zachodu. Cel wyprawy Luna 15 był i jest nieznanym. Współzawodnictwo grało niewątpliwie jakąś rolę, ale ta rola ograniczała się chyba tylko do daty. Tajemniczość, która cechuje sowieckie loty przestrzenne, została i w tym wypadku zachowana. Niemniej, po raz pierwszy, Sowiety wykazały pewną ko-operację. Pułkownik Frank Borman, kapitan lotu Apollo 8, został poinformowany depeszą dr. Mścislawa W. Keldysza, prezydenta Sowieckiej Akademii Naukowej, że orbita Luni 15 pozostanie niezmienną do odwołania. Wiadomość niezmiernie ważna dla astronautów Apollo 11, bo gwarantująca ochronę przed zderzeniem z Luną 15. W czwartek 24 lipca o 12.45 po południu, po skutecznie prze-

prowadzonej misji lądowania na księżycu, kabina niosąca trzech astronautów Apollo 11 wodowała precyzyjnie na Pacyfiku, 2,7 mil od przewidywanego punktu opadu. Natomiast Luna 15 wypadła z orbity księżycowej i rozbiła się na księżycu.

Jestem pełen podziwu dla sowieckich osiągnięć kosmicznych, ale ich zazdrosna tajemniczość jest dziecinna. Ujmuje wiarygodności ich dokonaniom, bo mimo woli pytamy się: „A jak wiele lotów im się nie udało?” (Nie udało się tylko jeden, Sojuz 1 z 23 kwietnia 1967, który zakończył się katastrofą podczas powrotu na ziemię). Wywiad amerykański, wojskowy i scjencyficzny, wie wszystko co jawność sowieckiego programu kosmicznego mogłaby wydać, ale szary człowiek amerykańskiej i sowieckiej ulicy dorobił się niepotrzebnych kompleksów. W Sowietach ksenofobii i szpiegomanii, w Stanach niedowiarstwa. W Rosji każdy cudzoziemski amator fotograf jest kandydatem na więzienie, a na Zachodzie nie dowierzamy sowieckim osiągnięciom naukowym i technicznym. I choć normalnie umiem opanować osobiste uprzedzenia i choć znam wspaniałą prawdę sowieckich osiągnięć przestrzennych, nie oparłem się uczuciu *Schadenfreude* gdy słyszałem o fiasku Luny 15.



Apollo 10 zdobył inne, niespodziewane pierwszeństwo. Po raz pierwszy astronauta golili się w przestrzeni. NASA wydała około 5.000 dolarów na konstrukcję elektrycznej maszynki do golenia zaopatrzonej w miniaturową pompę ssącą, która zbierałaby wygolone włoski aby nie rozprószyły się w przestrzennej nieważkości kabiny i nie zatkały jakichś delikatnych przewodów. Maszynka się nie udała! Trza było przemyślności Kolumba aby ustawić to jajko. Kolumbem okazał się astronauta John W. Young, który wpadł na „genialny” pomysł golenia się zwykłą żyletką i nie pieniącym się kremem. Włoski lepiły się do kremu i... tak powstała kosmiczna elegancja.



Mój północnoamerykański (kanadyjski) neofityzm zachwycił się faktem, że Amerykanie pierwsi lądowali na księżycu. Gdybym żył w Rosji mniej by mnie to wszystko przejęło, ale, ponieważ żyję w Kanadzie, zwlokłem się z łóżka w trzy dni po ciężkiej operacji, bo w pokoju szpitalnym obok, ktoś miał telewizor. Świadomość, że widzę ludzi chodzących po księżycu była podniecająca, ale widok był nudny. Nudną także jest moja litania wypraw, dat i nazwisk. Niektórzy astronauta znajdują swe miejsce w podręcznikach historii, ale podręczniki — w przeciwieństwie do historii — są także nudne. Gdy zestawiałem fakty, cyfry i naz-

wiska zdałem sobie sprawę, że niewiele mi one mówią nawet dzisiaj, gdy to wszystko jest jeszcze takie bliskie. Pamiętam „Sputnika”, ale nazwy amerykańskie, niezręcznie nadęte, znaczą dla mnie równie mało jak Wostoki, Woschody i Sojuzy. Pamiętam, jak we mgle, Gagarina — bo pierwszy — i Tereszkową — bo lubię babki — ale najlepiej pamiętam Łajkę, która nie znalazła miejsca w mej litanii. Nie znalazły w niej także miejsca frywolne przezwiska jakimi astronauta nazwali swe kabiny i rakiety. Oficjalne nazwy czołobitnie klasyczne — Apollo, Gemini, Mercury, Saturn, Atlas — niewiele znaczą dla przeciętnego Amerykanina, którego wykształcenie klasyczne jest minimalne a znajomość mitologii nieistniejąca. Przypuszczam więc, że od początku astronauta i inni bezpośrednio związani z różnymi projektami NASA nazywali rakiety i przyrządy w jakiś bardziej przystępny sposób. Na jaw wyszło to jednak dopiero podczas lotów Apollo 9 i 10. Podczas tych lotów astronauta rozmawiając między sobą i ze stacją kontrolną na ziemi mówili o kabinach głównych „Gumdrops” i „Charlie Brown” a o kabinach księżycowych „Spider” i „Snoopy” — nazwy zaczerpnięte z *comics*. Taka frywolność nie była jednak dopuszczalna, gdy Apollo 11 wyruszył w swą historyczną podróż. Ktoś (kto?) bardzo poważny, nadęty i bez humoru zdecydował, że może to zaszkodzić prestiżowi Stanów Zjednoczonych. Kabinę główną nazwano więc oficjalnie „Columbia” a kabinę księżycową „Eagle”, aby — jak się to w Polsce mówiło — „świętości nie szargać”.

Świętości nie szargano, ale coś arcyłudzkiego zagubiono.



Pierwsze słowa jakie Neil Armstrong wypowiedział gdy dotknął stopą księżycą były: „*That's one small step for men, one giant leap for mankind*” (To jest jeden mały krok dla człowieka, ale olbrzymi skok dla ludzkości). Jak każde historyczne powiedzonko, te słowa niewiele znaczą. Szkoda, bo banał przesłania niechętnym i zawistnym, nawet obojętnym, widok na wzrastające „coś”, co w braku lepszego wyrażenia nazwałbym kulturą amerykańską. Dla ludzi politycznie nieuprzedzonych, nie zaagitowanych „izmami” rozmaitych maści, którzy nie kryją się w kokonach własnych uwikłań semantycznych, którzy nie są święcie przekonani, że ich „Allah jest jeden i jeden jego prorok”, innymi słowy dla myślących, beznamietnych obserwatorów (Czy istnieją tacy?) nie ulega chyba kwestii, że tuż pod powierzchnią amerykańskiej codzienności, przesłonięta okrutnym nonsensem Wietnamu, tragicznym dylematem konfliktu rasowego, nahałną zachłannością przedsiębiorczości prywatnej, pulsuje wzniosłość li-

terackiej piśmienności scjentyistów, wzlatujących ponad suchą precyzję technologii i młodych szukających nowych granic idealizmu nie w przestrzeni ale na ziemi. Szkoda, że Neil Armstrong nie miał dość wyrobionej żyłki humanistycznej (literackiej, jeśli to komuś lepiej pasuje) aby wybrać lepsze pierwsze słowa. Dramatyczna podróż na księżyc widziana i słyszana równocześnie pod każdym równoleżnikiem i każdym południkiem przez miliony ludzi, mogła jednym bezpośrednim, niewymuszonym zdaniem uzmysłowić światu, że to co widzimy jest czymś więcej niż technologiczną precyzją, czymś więcej niż nową granicą ekspansji fizycznej. O ile bardziej efektowne były zażenowane słowa nieśmiałego Stanleya: „*Dr Livingstone, I presume*”, które przetrwały sto lat odkrycia Afryki. Kto będzie pamiętał za sto lat (za rok!) „*That's one small step for men...*”, slogan tak wypracowany i nudny jak większość sloganów Madison Avenue. Slogan, który gra dla efektu, na sprzedaż, ale który niewiele znaczy.

Będziemy pamiętali jednak wyczyn i, mam nadzieję, że za sto lat kultura amerykańska, która motywowała podróż księżycową Apollo 11, będzie bardziej rozumiała i lepiej rozumiana.



Pierwsze słowa Armstronga miały jeszcze inne naiwno-komiczne znaczenie. Wszyscy którzy ich słuchali — a wielu nagrało cały program na taśmy, które są bardzo niewygodnym świadkiem — słyszeli wyraźnie: „*That's a small step for men...*” (jeden mały krok dla ludzi). *Men* w języku angielskim jest liczbą mnogą od *man*. Jeśli intencją Armstronga było użycie liczby pojedynczej powinien był powiedzieć: „*That's a small step for a man...*”, w podnieceniu opuścił jednak słówko *a* i zdanie wyszło: „To jest jeden mały krok dla ludzi, jeden wielki skok dla ludzkości”. Wyraźna tautologia, bo „ludzkość” i „ludzie” w tym zdaniu są synonimem. Zdanie więc nie ma sensu. Gdyby NASA (i Armstrong) poprzestali na wyjaśnieniu, że w podnieceniu zaszła pomyłka, patetyczny banał zmieniłby się w arcyludzką anegdotę równie pamiętną jak „*Dr Livingstone, I presume*”. Niestety hierarchia NASA nie ma zmysłu humoru. „Ktoś” przeraził się, że można posądzić bohaterskiego astronautę o błąd gramatyczny. Oficjalna wersja wstawiła więc słówko *a* i zaprzeczono uroczyscie, że mogła być jakakolwiek wątpliwość. Honor został uratowany. Bohaterowie nigdy nie robią błędów!



Armstrong, opisując krajobraz księżycowy powiedział: „Posiada swoistą, nagą piękność”. (*A stark beauty all its own*) „Jest tu inaczej niż na ziemi, ale bardzo pięknie”.

New York Times, który nieczęsto popełnia gaffy dodał: „Jedną z pierwszych czynności astronautów było upiększenie (*to embellish*) tego groźnie wyglądającego i monotonnego krajobrazu”... flagą amerykańską.

◆

Precyzja lotu Apollo 11, technicznie bezbłędna, komputerowo doskonała, miała także inne ludzkie przypadłości. Neil Armstrong, którego serce normalnie bije 77 uderzeń na minutę, miał 110 uderzeń gdy kabina księżycowa zaczynała opad na księżyc, a 156 uderzeń, monitorowanych z ziemi, gdy dotknęli księżycy.

◆

Astronauta Apollo 11 (i wszyscy inni, sowieccy i amerykańscy) nie są tylko pionkami w rękach technokratów. Są organiczną częścią przedsięwzięcia więc zainteresowanie ich osobami jest zupełnie zrozumiałe. Ich trening nie wymaga tylko znajomości matematyki, fizyki, chemii, astronomii, elektroniki, metalurgii, biologii, fizjologii, dziesiątek innych „logii”. Nie wymaga tylko sprawności fizycznej i równowagi uczuciowej. Należy także znać wszystkie „dlaczego” ich motywacji, psychologię ich poświęcenia. Dlaczego stał się astronautą a nie dyrektorem fabryki, lekarzem, pomywaczem, mechanikiem, ogrodnikiem, kupcem, aptekarzem. Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale mam nadzieję, że ktoś, gdzieś bada te sprawy, bo w pewnym sensie, jak najbardziej odległym od podróży kosmicznych, odpowiedź jest bardzo ważna. Kim są astronauta? Kim jestem ja?

◆

Trudno pisać o podróży Apollo 11 scjentyficznie. Zbyt wiele o tym już pisano i brzmi to dziś jak banał. Wysiłek był głównie techniczny, a choć technologia posługuje się scjentyfiką, nie zawsze nią jest. Wyprawa na księżyc udowodniła techniczną sprawność amerykańskich inżynierów, mechaników, elektroników i amerykańskiego przemysłu, ale jej zamierzenia i dokonania scjentyficzne były skromne. Podczas pobytu na księżycu astronauta wykonalili cztery naukowe doświadczenia.

1. Rozwinęli aluminium-folię, która podczas ich dwugodzinego pobytu miała uchwycić rzadkie gazy słonecznego wiatru. Tę taśmę przywieźli na ziemię i może ona nam coś niecoś powiedzieć o powstaniu słońca i planet.

2. Ustawili sejsmograf rejestrujący trzęsienia wulkaniczne i meteorytowe, co może przyczynić się do wyjaśnienia budowy księżycy.

3. Ustawili reflektor laserowy, który odbijając snop światła z powrotem ku ziemi umożliwi stwierdzenie drobnych zmian odległości między ziemią a księżycem i może dać także precyzyjnie mierzone potwierdzenie Ogólnej Teorii Względności.

4. Zebrali próbki geologiczne księżycowych skał i gleby.

Jest zbyt wcześnie aby ocenić sukces i wartość tych doświadczeń, niemniej prasa doniosła o paru próbnym konkluzjach. Nie znaleziono życia na księżycu. Nie potwierdzono i nie zaprzeczono żadnej z dotychczasowych teorii powstania księżyca. Ustalono wiek skał przywiezionych na 2,3 do 3,7 bilionów lat i stwierdzono, że nie są podobne do skał ziemskich. Jak dotąd to jest wszystko.

Najbardziej zdumiewającym dla mnie faktem nie były jednak scjencyficzne czy techniczne osiągnięcia, ale to że widziałem na własne oczy dwu ludzi (ziemian?) chodzących po księżycu. Telewizor szpitalny był mały i nie dawał czystego obrazu ale był dość wyraźny aby pokazać co się działo. Późniejsze reprodukcje fotograficzne, zwłaszcza kolorowe, w gazetach i czasopismach choć straciły na bezpośredniości zyskały na precyzji szczegółów i na wrażeniu estetycznym. Szczególnie patetyczne w swej wyrazistości były ślady grubych butów gumowych w delikatnym pyłe księżycowym. Jak ślady bosych stóp na bezludnej wyspie Robinsona. A wspaniała fotografia ziemi (w specjalnym wydaniu *Look Magazine*) nie tylko zachwyca kolorytem — niebieskie chmury wokoło Afryki i Małej Azji, żółto-czerwona gleba pustynna północnej Afryki, Palestyny i półwyspu arabskiego i granatowa czerń Morza Śródziemnego — ale przejmującą nagłym uświadomieniem małości tego co ludziom wydaje się wielkie. Widzimy wyraźnie Egipt, cieśninę Suez, półwysep Synajski, Izrael, Jordan i zdajemy sobie sprawę z tego, że gdzieś tam — nie na mapie, to nie jest mapa, to jest fotografia rzeczywistości! — ludzie, których nie potrafili byśmy dojrzeć nawet pod elektron-mikroskopem, wojują i zło-rzeczą zamiast współpracować. Nie wiem czy jest jakiś morał w tym nagłym objawieniu, ale jeśli jest należy go przemyśleć. A fotografię posłałbym do każdego inteligenta arabskiego i żydowskiego.

◆

NASA znalazła się ostatnio pod pantoflem technologów, którzy usuwają od wpływów i czołowych stanowisk scjentyistów. Jest w tym smutny paradoks, bo bez naukowej kompetencji scjentyistów technologia nie wiedziałaby co robić z doskonałością swych rakiet i instrumentów. Mimo to, wydaje się biliony na ulepszenia technologiczne a tylko stosunkowo niewiele na badania scjentyficzne, którym ta cała technologia służy. Toteż wielu scjentyistów

rezygnuje ze stanowisk w NASA i wraca w zacisze akademickie. „Jak można myśleć o wyprawie na Marsa, jeśli NASA nie umie stosować najlepszej scjentyfiki na księżycu?”

W dniu w którym trzech astronauta Apollo 11 zakończyli kwarantannę, dr Eugene Shoemaker, kierownik badań geologii księżycowej, wciąż jeszcze nie otrzymał oficjalnego filmu i fotografii zrobionych na księżycu. Znał je tylko z prasy! Scjentystronom przydzielono tylko trzygodzinną konferencję z astronautami, podczas gdy inżynierowie konferowali z nimi przez szereg dni. Scjentyści sprzeciwiają się lotom co 3 miesiące, bo nie daje im to dość czasu na naukową ocenę wyników i na inteligentne planowanie doświadczeń następnej wyprawy. Innymi słowy, technologia doprowadziła astronautów na księżyc, ale bez pomocy scjentyfiki, nie wiadomo po co. Tak jak gdyby maszyna była treścią i sensem astronautyki. „*The medium is the message*”. Coś się nie zgadza i tu i tam.

Analogia z dziecinnadą sowieckiej sekretomanii jest żenująca. Krótkowzrocznie hamuje się postęp. Sowiety, po wspaniałym starcie odpadły daleko poza Stany w eksploracji przestrzeni, bo scjentyfika nie kwitnie w atmosferze tajemniczości i podejrzliwości. Stany Zjednoczone mogą, *mutatis mutandis*, zagubić myśl przewodnią wypraw kosmicznych jeśli dadzą się unieść dziecinnadzie technologicznej „największego”, „najszybszego”, „najbardziej precyzyjnego”. Eksploracja przestrzeni nie jest sportem.



Prezydent Nixon entuzjastycznie starał się jakoś wziąć udział w wyprawie. Skoro nie mógł zrobić tego aktywnie, usiłował towarzysko. W dzień przed wyprawą kazał zorganizować wspólne śniadanie z astronautami. Sprzeciwili się temu lekarze. „Nie chcemy aby astronauta spotkali się z bakteriami Prezydenta”. Śniadanie skasowano. Nixon czekał jednak na astronautów na lotniskowcu U.S.S. Hornet, mimo że względu na kwarantannę, że nie mógł ich osobiście uściskać i... być z nimi fotografowany. Rozmawiał jednak telefonicznie z Białego Domu wprost na księżyc, choć kosztowało to parę minut drogiego księżycowego czasu. Na jego miejscu zrobiłbym chyba to samo, choć oparłbym się, mam nadzieję, pokusie płytkich frazesów. Ale ja mam żyłkę literacką (skromną, bo skromną!) a Nixon jest tylko politykiem.

(Nie powinienem był napisać, że Nixon „rozmawiał z astronautami”. Księżyc nie ma atmosfery a więc fale głosowe na księżycu nie istnieją. Księżyc jest niemy, więc ten „głos z innego świata” jest sprzecznością naukową, niedopuszczalną nawet w piśmie literackim. Proszę więc wybaczyć mi ten płytki frazes).

Apollo 11 wygląda jak bomba. Jest w istocie bombą, której paliwo przemienia się w energię stosunkowo wolno a nie wybuchowo. Całopalenie nie jest jej celem, choć może być jej celem. Każdy Saturn można przekształcić w narzędzie zniszczenia.



Norman Mailer w pierwszej części swego reportażu „Ogień na Księżycu”, który ukazał się w *Life Magazine* 29 sierpnia 1969, podkreślił ciekawy fakt, że uosobieniem amerykańskiego wysiłku (i sukcesu) przestrzennego, najlepiej znanym bohaterem masowego entuzjazmu, jest Niemiec, Wernher von Braun, junker nad junkry (aby nie wypowiedzieć, broń Boże, wstydliwego epitetu NAZI). Wernher von Braun interesował się rakietami od dzieciństwa a o podróżach międzyplanetarnych marzył jako 13-toletni chłopiec. „Na konfirmację”, opowiada, „nie otrzymałem jak większość luteranśkich chłopców zegarka i długich spodni, ale teleskop”. Ta historyjka jest dziś częścią legendy. Von Braun ma lat 57 i za Hitlera stworzył dla Niemiec rakiety V-2, tak groźne dla Londynu w ostatnim roku wojny. Dzisiaj, inna anegdota opowiada, że gdy pierwsze V-2 spadły na Londyn, von Braun miał zauważyć, że „rakiety funkcjonowały bezbłędnie, ale wylądowały na niewłaściwej planecie”. Von Braunowi udało się uniknąć niewoli rosyjskiej. „Wybrał wolność” amerykańską, ale wielu jego współpracowników z Peenemünde jest dzisiaj w Rosji. Nie ulega kwestii, że bez Saturna 5, stworzonego przez von Brauna, nie byłoby wyprawy księżycowej i nie ulega kwestii, że jest największym gwiazdorem NASA.

Miller opowiada, że podczas wywiadu prasowego, jeden z dziennikarzy zapytał: „Czy może nam Pan powiedzieć, panie von Braun, jak można się upewnić, że Saturn 5 nie wyląduje w Londynie?”. Rozgniewany von Braun, zakończył wywiad bez odpowiedzi.



Inna marginesowa trywialność. NASA miała początkowo zamiar zatknąć na księżycu nie tylko sztandar Stanów Zjednoczonych, ale także sztandar Zjednoczonych Narodów. Ponieważ uгода międzynarodowa ustaliła poprzednio, że nikt nie może sobie rościć prawa do suwerenności w przestrzeni, ten gest byłby czysto symboliczny. Zaprotestował Senat Stanów Zjednoczonych. Organizatorom lotu dano wyraźnie do zrozumienia, że jeśli jakakolwiek inna flaga dojedzie na księżyc w Apollo 11, dalsze fundusze dla NASA znajdują się pod znakiem zapytania. Świat zobaczył

więc tylko chorągiew Stanów, sztucznie furkocącą w pustej bezwietrzności księżycy. Szkoda! Gest byłby bardzo wymowny.



Gdy Krzysztof Kolumb dotarł do Ameryki, jego współcześni nie umieli ocenić implikacji tego odkrycia. Minęły wieki zanim zrodziła się legenda i filozofia. Lot Apollo 11 miał filozofię, legendę i uznanie w chwili gdy sunął ku księżycowi. Czy można się dziwić, że legenda jest na miarę Madison Avenue, że filozofia jest domowego chowu a uznanie tego samego typu jakim darzymy zwycięskich futbolistów. Historia oceni ten lot niewątpliwie w sposób właściwy. Szkoda tylko, że ja tego nie dożyję.



Amerykańską mitologią był, i bodajże wciąż jeszcze jest, „dzi-ki, daleki Zachód”. Pionierzy, dziś idealizowani, ale swego czasu bardzo niebezpieczna hołota, ujeżdżali konie, polowali na bizona, wojowali z Indianami i poszerzali granice „cywilizacji” na zachód. Słowo *frontier* symbolizuje tę granicę w kraju, który właściwie nie zna innych granic. (Granica meksykańska jest daleko i nieco operetkowa, a długa, niestrzeżona granica kanadyjska dzieli ludzi mówiących tym samym językiem i niewiele różnych). Patriarcha z Ponderosa ujeżdża swe konie co niedzielę wieczór o 9-ej w najbardziej popularnej szmirze amerykańskiej telewizji, a filmy i książki na ten temat mają murowane powodzenie bez względu na ich artystyczną czy jakąkolwiek inną wartość. Przez jakiś czas fantastyka scjencyficzna rywalizowała z Westernami o „rząd dusz” (czy o pierwszeństwo w sprzedaży). Bzdury równie naiwne, równie krwawe i równie bezpodstawne. Program Kennedy’ego stworzył trzecią legendę. Już nie fantastyka ale twarde fakty techniczne; nie stopy i konie i czerwonoskórzy ale maszyny, na których współcześni Amerykanie znają się lepiej niż ich przodkowie na koniach; nie fikcja ale realia wymierne w dolarach i centach (przepraszam: w bilionach dolarów). Wyścig sportowy osiągnął mity. Nie próbowano nawet dorobić do tego ideologii. Pragmatycznie zorganizowano administrację tego olbrzymiego projektu a resztę pozostawiono zdrowemu instynktowi współzawodnictwa i przedsiębiorczości. (Niektórzy nazywają to także ideologią, ale o polityce pomówimy może innym razem).



Innej maści manią amerykańską jest astrologia. Zaczęło się to w Anglii, ale Anglia została już dawno prześcignięta! Zestawienie

astrologii i astronomii jest w ramach mych *obiter dicta* najzupełniej prawowite. Było, nie było, Gemini jest nie tylko konstelacją astronomiczną, ale jest także konstelacją, w cieniu której (choć może właściwiej byłoby — „w świetle której”) urodził się prezydent Kennedy i... niżej podpisany. Nie jest więc może przypadkiem, że projekt dwuosobowego statku kosmicznego został ochrzczony także Gemini, ku czci Kastora i Polluxa, bliźniaczych gwiazd tej konstelacji. Nie doszukujmy się w tym jednak mitologii. Ciekawostka, ot tyle!

◆

Ralph D. Abernathy, ksiądz murzyński i następca dr. Martin Luther Kinga, demonstracyjnie protestował na Cape Kennedy przeciw lotowi na księżyc. Abernathy uważa — i bardzo wielu Amerykanów się z nim zgadza — że biliony wydane na wyścig kosmiczny mogły i powinny być lepiej użyte na zwalczanie nędzy, chorób i ciemnoty na ziemi. C. P. Snow ujął ten problem bardziej zwięźle i trzeźwo. „Czy można było wydać te pieniądze na lepszy cel? Tak! Czy wydano by? Nie!”

Opozycja przeciw lotom kosmicznym jest zogniskowana głównie wśród Murzynów i młodzieży. Eldridge Cleaver, przywódca Czarnych Panter, który jest obecnie na dobrowolnym wygnaniu ze Stanów, nazwał loty kosmiczne „cyrkiem dla odciągnięcia mas od rzeczywistych problemów”. To zdanie przypomina raczej Marksa niż *panem et circenses*. Podobnie argumentują młodzi. Trudno na poziomie idealizmu się temu sprzeciwić. Wartość naukowa wyścigu kosmicznego jest chwilowo niewielka i nieprzewidywalna. Ale czy Kolumb zrezygnowałby ze swej podróży na rzecz nędzarzy Kastylii i czy ich los poprawiłby się, gdyby zrezygnował. I czy Sir Edmund Hillary oddałby pierwszeństwo zdobycia Mount Everestu, aby nakarmić tybetańską biedotę. I czy Lindbergh poświęciłby „Spirit of St. Louis” na chleb dla ofiar kryzysu. Pytania są czysto retoryczne! Łatwiej jest ściągnąć pół miliona entuzjastów na mecz futbolowy niż zappełnić teatr! Od lat istnieją konkretne możliwości technologiczne, ekonomiczne i socjologiczne złagodzenia głodu, nędzy i pomoru, ale jak przekonać entuzjastów podróży kosmicznych, zawodów sportowych i konsumentów pornografii, że Szekspir jest bardziej wzniosły, a Biafra bardziej godna pomocy.

Jest jeszcze inna strona tego medalu. Wartość podróży księżycowej nie leży w tym co znajdziemy na księżycu, ani w tym co z księżycy możemy przywieźć, ani nawet w odkryciach naukowych, które dzięki podróżom możemy zrobić, ale w tym co robi i co robi dla ludzkiego samopoczucia i dla ludzkiej myśli. Tego wszystkiego nie można dzisiaj uchwycić. Trzeba czekać na wyrok

historii. Wyniki sportowe są szybsze. Może dlatego młodzi idealisci są tacy niecierpliwi. Istnieją jednak sprawy, które są już dzisiaj widoczne. Po raz pierwszy od czasu piramid ludzkość zdobyła się na tak potężny i skoncentrowany wysiłek dla celów innych niż wojna. Budowa piramid nie była dobrowolna. Wyścig przestrzenny, jest! A jeśli to jest drogowskazem, to może warto było wydać biliony aby Armstrong i Aldrin stanęli na księżycu.

Henryk SCHOENFELD

Pierwsze konstatacje

Jest prawdopodobne, że po okresie trzech miesięcy, kiedy uczeni z 142 grup zbiorą się razem, aby przedyskutować i podzielić się wspólnie wynikami badań nad materią księżyca, liczba rewelacji i niespodzianek będzie mała. Próbkę przywiezione z księżyca na pewno potwierdzą przypuszczenia uczonych jeżeli chodzi o fizyczną naturę księżyca, ale nie rozwiążą szeregu innych problemów, szczególnie jeżeli chodzi o ziemię.

Lot na księżyc wykazał, że:

1. Człowiek może żyć długi okres w przestrzeni kosmicznej i że może wrócić z powrotem na księżyc, co automatycznie wprowadza nas na stałe w przestrzeń kosmiczną.

2. Największym sukcesem technicznym był w tym skomplikowanym osiągnięciu technologicznym „cud” telekomunikacji (czystość głosu jakim astronauta porozumiewali się z ziemią i na odwrót).

3. Największe korzyści całego przedsięwzięcia nie leżą jednak w dziedzinie osiągnięć technologicznych ale organizacyjnych, ponieważ ogromna większość rozwiązań technologicznych, jakie znalazły zastosowanie przy realizacji programu Apollo 11, wywodzi się z okresu nieomal że dwóch dekad.

Całkowicie nową i nie stosowaną okazała się dziedzina organizacji i kierowania tak olbrzymim kompleksowym programem organizując wysiłek tysięcy ludzi w jedną myśl.

Jakie są perspektywy na przyszłość?

Jest faktem, że księżyc jest niewyczerpaną stacją laboratoryjną jeżeli chodzi o naukowców, — idealna próżnia nie do osiągnięcia na ziemi w żadnych warunkach laboratoryjnych, idealnie czysta przestrzeń. Jedna i druga tak bardzo pożądane w nowoczesnej technologii.

Księżyc pozbawiony atmosfery, bezustannie bombardowany cząsteczkami wysyłanymi ze słońca, jest doskonałym miejscem do

badan w dziedzinie fizyki i chemii jądrowej. Eksperymenty, w tej chwili gotowe już do przeprowadzenia na księżycu — mogą przyprawić o zawrót głowy.

Bezpośrednim jednak następstwem lotu na księżyc będzie stopniowe przekształcanie księżycu w trampolinę, z której będą się odbijali w przestrzeń kosmiczną.

Już w listopadzie tego roku planuje się ponowną wyprawę z dłuższym pobytem astronautów na księżycu. Pod koniec 1972 roku pobyt astronautów na księżycu będzie trwał 28 dni.

Jeszcze przed ukończeniem roku 2000-tysięcznego planuje się lądowanie człowieka na Marsie, po Marsie...

Potrzeba zdobycia przestrzeni kosmicznej nie jest dyktowana jedynie ciekawością, ale prawdopodobnie także tym samym instynktem zachowawczym, który przez cały okres istnienia ludzkości zawsze w odpowiednim czasie dawał człowiekowi odpowiednie narzędzie do ręki, ratując istnienie rodu ludzkiego. Słuszność takiego twierdzenia można poprzeć faktem stopniowego ale nie mniej ciągłego „wypalania” się naszej ziemi poprzez zanieczyszczanie powietrza i wody, które — jeśli będzie wzrastało w takim samym stopniu jak to ma miejsce w ciągu ostatnich pięciu lat — spowoduje, że w krótkiej przyszłości nasza ziemia będzie wymagała renowacji aby ją uchronić przed kompletnym „spaleniem”.

Tę renowację może nam umożliwić przestrzeń międzyplanetarna, w którą będziemy zmuszeni przenieść cały nasz „brudny” przemysł — szczególnie jeśli idzie o chemię i fizykę jądrową. A zatem, kto wie, czy małe kroki człowieka na księżycu nie były krokami zmierzającymi w kierunku uratowania ludzkości.

St. MROCZKOWSKI
Yale University
Hammond Laboratory

Nowe nacjonalizmy

Droga, łącząca Nowy Targ z Czorsztynem i dalej, przez przełęcz Snoską, z Krościenkiem i Szczawnicą wije się kapryśnie to po jednym to po drugim brzegu Dunajca. Choć wąska i nie najlepszej jakości jest jednak w sezonie turystycznym jedną z ruchliwych w Polsce. Jadą nią wszyscy ci, którzy chcą poznać przełom pieniński lub poratować zdrowie w renomowanej już od lat Szczawnicy. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni w obydwie strony jadą po niej setki aut i autobusów. Ale tylko nieliczni z tych tysiący ludzi, którzy przebywają co roku tę trasę skręcając z niej na południe, aby odwiedzić wsie, ukryte za długim grzbiem Braniska. Niewiele zresztą do tego zachęca: ani szutrowa droga z Frydmanu ani nic nie mówiące nazwy -- Krempachy, Nowa Biała, Trypsz, Dursztyn.

Ci, którzy mimo wszystko decydują się na to znajdują się nagle w innym, dziwnym świecie polskiego Spiszu. Rozległa panorama Tatr, od Szalonego Wierchu po Osobitą, zamyka od południa ten jeden z piękniejszych w Polsce krajobrazów. Środkiem ciągnie się łańcuch malejących skałek, wyrastających nie spodzianie z zagonowych poletek i ciągnący się od Braniska aż do bystrej i zimnej Białki. Wsie, nieoczekiwanie schludne, z domami malowanymi w kolorowe kwiaty, nie są jeszcze skażone inwazją turystyczną. Z rzadka tylko można ujrzeć tu samochód; nie widać pstrokatych domków kampingowych, podobnych raczej do psich bud, które skutecznie szpecą inne, bardziej znane miejscowości wypoczynkowe.

Ale nie to stanowi o osobliwości tych stron. Osobliwością i zaskoczeniem dla obcego przybysza jest wygląd wsi. Ściślej sklepów wiejskich. Nad zwykłym, dobrze znanym sklepem GS-u napis: „Potraviny”. Nad wiejskim barem napis: „Hostinec”. Znaleźliśmy się na terenie, gdzie oficjalnie uznano istnienie mniejszości narodowej.

Jeszcze większym zaskoczeniem jest widok tych wsi w niedzielny ranek. Porytą drogą-bezdrożem, łączącym, a raczej dzielącym, Krempachy z Dursztynem ciągną dziesiątki ludzi. Tylko bowiem w Dursztynie jest czynny kościół. Dwa kościoły w Krempach i jeden kościół w Nowej Białej są już bowiem od trzech lat nieczynne, zamknięte przez zwierzchność kościelną. Mieszkańcy tych wsi, chcąc wziąć udział w niedzielnej mszy, muszą iść do oddalonego o trzy kilometry i położonego o 300 metrów wyżej dursztyńskiego kościoła.

Przyczynę, powodującą taką decyzję władz kościelnych, stanowiły awantury, wybuchające na tle języka, w jakim miały być śpiewane pieśni kościelne. Awantury, które doprowadziły do tego, że sprofanowano kościół i pobito księdza. Protestujący domagali się, aby w użyciu był język słowacki.

Sprzeczności między Spiszakami, uważającymi się za Słowaków, a Spiszakami, uważającymi się za Polaków, nie ograniczają się tylko do kościelnego terenu. W małym, sześćdziesiąt numerów liczącym Dursztynie są dwa sklepiki: jeden prowadzony przez GS z „polskich” Łapsz Niżnych, drugi przez GS ze „słowackich” Krempach. We współzawodnictwie tym, nie ekonomicznym bo i w jednym i drugim sklepie niewiele można dostać, zdaje się zwyciężać sklep słowacki choć sami dursztyniacy uważają się jeszcze za „tutejszych” i polaryzacja narodowościowa jeszcze wśród nich nie występuje.

Podobna sytuacja jest i po drugiej stronie granicy. W niedalekim Zdziarze góralskie dzieci uczą się słowackiego języka dopiero w szkole. Pierwsze słowa elementarza muszą być przez nauczycielkę tłumaczone na polski.

Oficjalną doktryną marksizmu-leninizmu jest teza, że socjalizm ostatecznie usunie właśnie pomiędzy narodami. Teza ta została też przyjęta przez PZPR. Jak gdyby było tego mało, od początku istnienia Polski Ludowej z dumą podkreślano, że w obecnych granicach jest ona etnicznie jednolita. W fakcie istnienia w II Rzeczypospolitej ponad trzydziestu procent mniejszości narodowych dopatrywano się głównego źródła jej słabości. Jak gdyby na ironię w tym rzekomo jednolitym etnicznie państwie wybuchła krwawa, dwuletnia wojna domowa z Ukraińcami. Spisz i Orawa, pamiętne tłustych dla nich lat słowackiego państwa coraz mocniej znajdowały w sobie słowacką świadomość narodową. A więc ani socjalizm nie rozwiązał problemów narodowościowych ani przesunięcie całego państwa na zachód nie uchroniło przed istnieniem i powstawaniem od nowa problemów narodowościowych. Obydwie tezy okazały się mistyfikacją.

Narody młode, jeszcze w pełni nie ukształtowane historycznie, jak Ukraińcy czy Słowacy, wciąż jeszcze rozszerzają swój zasięg nie na zasadach związków obyczajowych czy plemiennych lecz na zasadzie związków typu ideologicznego. Domaganie się pieśni kościelnych w języku słowackim jest świadectwem akcesu do określonej grupy narodowej, akcesu, zgłaszanego przez ludzi, którzy dotychczas nie odczuwali potrzeby obierania przynależności

plemiennej. Byli tutejsi, miejscowi. Ich obyczaj, język, strój wywodziły się z ich rodzinnej wsi i jej najbliższej okolicy. I nie było żadnej potrzeby wiązania ich z żadną większą grupą. Również i określenie siebie, czy to jako Polaka czy to jako Słowaka nie zmieniało w niczym zewnętrznej sfery życia. Ale zjawisko polaryzacji narodowej na terenach dotychczas indyferentnych stanowiło i stanowi problem politycznej natury. Nadzieje, że problem ten zaniknie na drodze zmian ustrojowych i administracyjnych okazały się jeszcze jednym złudzeniem.

Związek między zagadnieniami narodowymi a politycznymi funkcjonuje bezbłędnie w obydwu kierunkach. Liberalizacja stosunków wewnętrznych w CSRS pociąga za sobą wzrost zesławiania Spisza. Jeszcze lepiej widać tę korelację na przykładzie problemu niemieckiego. Po roku 1957 z całkowicie repolonizowanych czy spolonizowanych Śląska, Warmii i Mazur wyjechało do Niemiec Federalnych ponad 70 tys. ludzi. W tym przypadku akces, i to akces całkowicie oficjalny, był bezsprzecznie podejmowany na podstawie przesłanek natury polityczno-ekonomicznej. Stosunki społeczno-polityczne rodziły skutki o charakterze narodowym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wszyscy wyjeżdżający zostaną w NRF całkowicie zaasymilowani.

Jednak jeszcze dobitniej widać fakt wpływania stosunków politycznych na sferę spraw narodowych na przykładzie rozpoczętych w zeszłym roku i trwających do chwili obecnej wyjazdów z Polski Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia. W tym jednak przypadku wzajemne oddziaływanie tych dwóch sfer odbywało się w sposób odmienny. Tu schemat wydarzeń wyglądał następująco: przemówienia Gomułki z czerwca 67 i marca 68 oraz pół i całkiem jawna propaganda ośrodków „partyzanckich” określiły, jakie kategorie ludzi należy uznać za wrogie i niebezpieczne. Reszta należała już do tych grup i zespołów, w których działali ludzie, mogący być przedmiotem takiej klasyfikacji. Polaryzacja następowała więc tu nie na zasadzie samookreślenia lecz na zasadzie zewnętrznego i arbitralnego przypisywania delikwentowi pewnego zespołu cech i poglądów. Następował więc swoisty proces ekspulsji, przynajmniej psychicznej. Same decyzje wyjazdowe były już tylko konsekwencją tego faktu.

Racjonalizowanie działań politycznych frazeologią narodową czy nawet nacjonalistyczną nie stanowi specyfiki polskiej. Szczególnie ostatnie lata dostarczają dużo tego rodzaju przykładów. Warto tu wymienić choćby sprawę niezrealizowanego wyboru Smrkovskiego na stanowisko przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego. Choć dla nikogo nie ulegały wątpliwości przyczyny, dla których Husak sprzeciwił się tej kandydaturze to jednak formalnym pretekstem był ten, że Smrkovski nie jest Słowakiem. Już sam fakt wprowadzenia do obiegu politycznego argumentu narodowościowego dowodzi dostatecznie jasno nieoczekiwanej żywotności i chwytliwości takiej argumentacji.

Odrodzenie lub nawet powstanie nieistniejących dotychczas problemów narodowych nie ogranicza się tylko do krajów bloku

wschodniego. Podobne w swej naturze są problemy wallońsko-flamandzkie czy, z ostatnich już czasów, problem bretoński. Można by te przykłady dalej mnożyć. W sumie stajemy wobec fenomenu, stanowiącego swoisty paradoks drugiej połowy naszego stulecia. Paradoks, polegający na tym, że powstające lub odżywające spory idą w parze z postępującą unifikacją zewnętrzną sfer życia, z coraz liczniejszymi ruchami migracyjnymi i integracją gospodarczą. Istniejące różnice w stylu czy poziomie życia nie są wyznaczone przez istniejące czy postulowane granice etniczne. Niemniej jednak hasła narodowe lub nacjonalistyczne są w stanie wyzwać nieoczekiwane wielkie ilości społecznej energii.

Mimo całe swe podobieństwo istnieją jednak podstawowe różnice pomiędzy wzrostem napięć na tle narodowościowym w krajach zachodnich a krajach bloku wschodniego. W krajach Zachodu stanowią one tylko jedną z alternatyw działania, mającego na celu przemianę istniejącego stanu rzeczy. W krajach socjalistycznych nie są już alternatywą lecz jedyną drogą ucieczki od obowiązującego uniformizmu ideologicznego. Dla tego też w Polsce odbywa się swoista licytacja, mająca na celu opanowanie arsenału haseł narodowych. Sięga poń partyjny *establishment* dla uzasadnienia swojej władzy. Sięgają po te hasła zwalczające się wzajemnie grupy wewnątrzpartyjne. Posługują się nimi zarówno komuniści jak i antykomuniści. W oparciu o narodową argumentację zwalnia się z posad ludzi pochodzenia żydowskiego lub protestuje się przeciwko temu, a „Pan Wołodyjowski” ma przerwać czarną passę polskiego filmu. Wszystko to dowodzi zarówno żywotności tej problematyki jak i zupełnego skostnienia doktryny społecznej, która nie ma już w sobie samej żywotnych sił.

Warto pod tym kątem widzenia spojrzeć na wypadki czechosłowackie. W niepełnych i sprzecznych ze sobą interpretacjach przyczyn interwencji ZSSR w Czechosłowacji przeważa pogląd, że jej podstawowym powodem była obawa przed procesami liberalizacji gospodarczej. Liberalizacja ta miałaby stanowić gorszący przykład dla innych krajów obozu a w szczególności dla samego Związku Sowieckiego. Przyjęcie takiej tezy dowodzi nieznamości barier i kordonów, szczelnie odgradzających jeden kraj socjalistyczny od drugiego. Działają one na ogół znakomicie. Jeżeli jednak przyjąć za słuszny motyw obawy przed „zarażeniem” to w takim samym stopniu dotyczyć ona musi zarówno problematyki gospodarczej jak i problematyki narodowościowej. Z tym jednak, że w tym drugim aspekcie jest ona szczególnym niebezpieczeństwem dla samego Związku Sowieckiego, będącego państwem wielonarodowym. Czechosłowacja, będąca *ex definicione*, państwem dwunarodowym, posiada jeszcze ponadto całkiem pokaźne i procentowo i bezwzględnie mniejszości narodowe. Procesy liberalizacyjne, zachodzące po usunięciu Novotnego, dotyczyły nie tylko problematyki ekonomicznej czy swobód obywatelskich lecz zapowiadały również usunięcie napięć, mających narodowe podłoże.

Trzeba tu znowu przywołać przed oczy zasady, często nieписа-

ne, traktowania mniejszości narodowych w państwach socjalistycznych. Nikomu w Polsce nie przejdzie przez myśl, że mówiąc o Polonii zagranicznej, można mieć na myśli również i przeszło stu-tysięczną ludność polską w Czechosłowacji. Ot, trochę folklor, trochę niewydarzeńcy a cała sprawa jest i być musi wyłączną domeną władz czechosłowackich. Tu nie ma umizgów, stąd nie sprowadza się dzieci na obozy letnie, dla wzmocnienia nadwątłych więzów z Ojczyzną. I nagle, po styczniu ta mała grupa ludzi, na pewno „polska” i na pewno „socjalistyczna”, czyli wychodząca z tych samych założeń, zaczyna inaczej rozwiązywać problemy. Sprawa nieoczekiwanie staje się poważna. To samo dotyczy mniejszości węgierskiej i, zwłaszcza, niemieckiej, której nieoczekiwana polityczna i narodowa aktywność zapowiadała, być może, powstanie trzeciego, po Bonn i Berlinie, instytucjonalnego ośrodka niemieckiej myśli politycznej.

Tego wszystkiego musiało już być za dużo dla Rosji, stojącej przed groźbą obudzenia się tendencji emancypacyjnych, przede wszystkim wśród 40 milionów Ukraińców, żeby już nie wymieniać innych narodów jak na przykład narody kaukaskie, i przypiekanej z południa panazjatycką propagandą Pekinu.

Wiktor SZACKI

NOTA BIOGRAFICZNA AUTORA

Wiktor SZACKI ur. 22 marca 1930 r. we Lwowie. Inżynier-chemik, ukończył w r. 1953 Politechnikę Warszawską. W latach gimnazjalnych i studenckich członek ZWM i ZMP, następnie PZPR. Pracował w przemyśle farmaceutycznym a następnie w Instytucie Przemysłu Organicznego w Warszawie jako adiunkt. Z PZPR wystąpił 22 sierpnia 1968 r. czego konsekwencją było zwolnienie go z pracy. Od grudnia 1968 r. na Zachodzie.

Praga i Pekin

Pilotki, traktorzystki, astronautki... Rosjanki urzeczywistniły najśmielsze marzenia wszystkich sufrażetek. Lecz równocześnie nie spełniają swego głównego powołania jakim jest rodzenie dzieci.

W czasach przedrewolucyjnych przypadało w cesarstwie rosyjskim 47 urodzin na 1.000 mieszkańców. Obecnie powyższa cyfra spada do 17,4 a w wielkich miastach jak Moskwa lub Leningrad do 11.

Według oficjalnych statystyk w roku 1959 Rosjanie stanowili 54,8 procent ogółu ludności Związku Sowieckiego. Obecnie — według źródeł amerykańskich — Rosjanie są mniejszością w Związku Sowieckim, ponieważ stopa ich rozrodczości stale maleje.

Rosyjscy socjologowie i ekonomiści biją w prasie na alarm, lecz doświadczenie uczy, że perswazją w tej dziedzinie można osiągnąć bardzo niewiele.

Rosjanie są „narodem panów” — ich warunki życiowe są znacznie lepsze niż innych narodowości i wskutek tego ich dobrobyt wzrasta a rozrodczość maleje. Jeżeli ktoś ma do wyboru dwoje dzieci i samochód lub troje dzieci bez samochodu — jest wielce prawdopodobne, że wybierze dwoje dzieci i samochód. Poza tym trudno jest wymagać od kobiety, która pracuje w fabryce, w biurze, w szpitalu, czy jako pilot — by równocześnie urodziła pięcioro dzieci.

Osobiście jestem przekonany, że spadek rozrodczości wśród Rosjan pociągnie za sobą z czasem różnorakie konsekwencje polityczne. Coraz trudniej będzie odpowiedzieć na pytanie dlaczego Związkiem Sowieckim ma rządzić naród, który w stosunku do nie-rosyjskich narodów stanowi mniejszość. Wydaje mi się również, że im Rosjanie będą mniej pewni siebie w Związku Sowieckim — tym będą mniej tolerancyjni w stosunku do swoich satelitów. Gdyby satelici wschodnioeuropejscy przekształcili się w „socjalistyczny *commonwealth*” — byłoby nie łatwo wytłumażyć Ukraińcom dlaczego mała Czechosłowacja posiada większe

prawa do niezależności niż wielka Ukraina. Dziś czołgi sowieckie stacjonują zarówno na Ukrainie jak i w Czechosłowacji i „porządek panuje” tak w Pradze jak i w Kijowie.

Lecz czołgi — choć w wielu wypadkach są bardzo przydatne nie produkują równie automatycznie polityki jak krowa produkuje mleko.

Nie ma polityki bez sprzeczności. Jednak bardzo trudno jest zbudować system polityczny, który inkorporowałby fundamentalne sprzeczności. Komunizm ma za sobą pół stulecia doświadczeń. To nie jest dziś teoria wypracowana przy biurku tylko system ustrojowo-polityczny, w ramach którego żyją setki milionów ludzi. Niemniej w orbicie świata komunistycznego kryzysy międzynarodowe są daleko częstsze niż w świecie kapitalistycznym. Spór sowiecko-chiński i inwazja Czechosłowacji najpełniej ilustrują powyższą tezę. Żle świadczy o komunizmie fakt, że komuniści nie mogą porozumieć się między sobą.

Marksizm jest zwartą doktryną o określonych podstawach. Wydawałoby się, że przekonani marksiści mogą się pomiędzy sobą różnić — co byłoby ludzkie — lecz trudniej zrozumieć dlaczego skaczą sobie do gardła.

Breżniew w rozmowach z czechosłowackimi przywódcami nie reprezentował ani marksizmu ani międzynarodowego ruchu komunistycznego, tylko wielko-rosyjski imperializm. Doktryna Breżniewa jest próbą przekształcenia imperializmu rosyjskiego w instytucję międzynarodowego ruchu komunistycznego. Stalin był instytucją sam w sobie i nie potrzebował swojej imperialistycznej polityki przebudowywać w system.

W prasie zachodniej doktryna Breżniewa została potraktowana jednostronnie. Komentatorzy starali się wykazać, że cytowana doktryna jest próbą racjonalizacji (po fakcie) napaści na Czechosłowację. Uważa się również powszechnie, że doktryna Breżniewa jest wyłącznie instrumentem sowieckiego imperializmu i nie służy żadnym innym celom.

Niewątpliwie zacytowane opinie są słuszne lecz nie trafiają w sedno sprawy. Doktryna Breżniewa jest przede wszystkim wzajemną gwarancją asekuracyjną mającą na celu utrwalenie i zabezpieczenie konserwatywnych rządów w bloku państw komunistycznych. Pierwszym beneficjentem omawianej gwarancji asekuracyjnej był Władysław Gomułka, któremu interwencja Breżniewa zapewniła zwycięstwo na V Zjeździe. Dubczek był groźny, ponieważ nie potrzebował żadnej asekuracji. Jego asekuracją było masowe poparcie społeczeństwa czechosłowackiego.

Doktryna Breżniewa stanowi próbę umiędzynarodowienia „nowej klasy”, która solidarnie bronić będzie swoich interesów bez względu na granice państwowe. „Socjalistyczne prawo międzynarodowe” po deklaracji Breżniewa — sankcjonuje interwencję zbrojną w wypadkach gdy rozwój sytuacji społeczno-politycznej w danym państwie komunistycznym zagraża rządowi „nowej klasy” jako całości.

Doktryna Breżniewa służy oczywiście interesom imperializmu

sowieckiego — lecz równocześnie wyposaża poczucie solidarności, które łączy „nową klasę” w państwach bloku — w gwarancję „prawno-asekuracyjną”.

Jeżeli po śmierci Ulbrichta — założmy dla przykładu — nowy przywódca w NRD podjąłby na własną rękę próbę wyrównania stosunków z Bonn — nie byłoby bezpośredniej interwencji sowieckiej. Gdyby droga dyplomatyczna zawiodła — wkroczyłyby do Niemiec wschodnich wojska polskie, czechosłowackie i sowieckie w celu obrony „zdobyczy socjalizmu” Niemieckiej Republiki Demokratycznej. To nie byłaby imperialistyczna sowiecka interwencja na wzór węgierskiej w roku 1956. Do Niemiec wschodnich wkroczyłyby socjalistyczny międzynarodowy „korpus pokoju”, by dopomóc bratniej republice w chwili kryzysu i zagrożenia.

Wszyscy korespondenci zagraniczni, którzy obserwowali okupację Czechosłowacji w ubiegłym roku — podkreślali, że operacja w sensie techniczno-wojskowym była przeprowadzona szybko i sprawnie. Natomiast w aspekcie politycznym inwazja była katastrofą dla prestiżu Sowietów. Rosjanie nie umieli odpowiedzieć na najprostsze pytania: kto ich wezwał — jaki jest cel inwazji — na jakiej podstawie pogwałcili zarówno postanowienia Karty OZN jak i Paktu Warszawskiego? Dyplomaci sowieccy w stolicach państw zachodnich — oblegani przez dziennikarzy z prasy, radia i telewizji — wili się jak na mękach i nie potrafili wykrztusić sensownej odpowiedzi na żadne z powyższych pytań. To było coś więcej niż kompromitacja. Stało się bowiem nagle jasne dla wszystkich, że o ile Sowiety w stosunkach z państwami kapitalistycznymi przestrzegają na ogół norm i zwyczajów prawa międzynarodowego — o tyle w swojej własnej sferze wpływów hołdują prawu dżungli.

Doktryna Breżniewa ma zapobiec w przyszłości tego typu kompromitacjom — nadając interwencji zbrojnej charakter zbrojowy i „legalny”. Jednak ulegalizowanie doktryny Breżniewa wymagałoby skreślenia artykułu pierwszego Paktu Warszawskiego, który wyraźnie wyłącza zagrożenie siłą czy użycie siły w stosunkach międzypaństwowych.

W sumie należy stwierdzić, że doktryna Breżniewa nie może być uznana za normę „socjalistycznego prawa międzynarodowego”, ponieważ stoi w sprzeczności z poprzednimi deklaracjami i paktami. Jej głównym celem jest zwalczanie ruchów reformatorskich w całym Bloku Wschodnim. Przyjęto bowiem za pewnik, że ruch reformatorski w jednym kraju — choćby tak małym jak Czechosłowacja — zagraża „stalinowskiej stabilizacji” we wszystkich krajach bloku z Sowietami na czele. Innymi słowy, uznano na Kremlu powszechność ruchu reformatorskiego i z tych przyczyn podjęto nadzwyczajne środki w celu solidarnej obrony stalinowskich reżymów w krajach w których są zagrożone.



Wydaje się, że w przyszłości Rosjan będzie coraz mniej a Chiń-

czyków coraz więcej. O tzw. „żółtym niebezpieczeństwie” pisano od bardzo dawna bardzo wiele.

Goethe powiedział kiedyś, że „co ma żyć w pieśni musi umrzeć w życiu”. To prawo można odwrócić. Jeżeli coś żyje od bardzo dawna tylko w „pieśni” — przestaje być realne. Dla zachodnich Europejczyków konflikt rosyjsko-chiński jest jak słynny potwór z jeziora Loch Ness, o którym pisze się od 30 lat, lecz w którego realne istnienie trudno jest uwierzyć.

Jednak w Moskwie i w Waszyngtonie specjaliści i politycy patrzą na tę sprawę inaczej.

Konflikt istnieje od bardzo, bardzo dawna. Tylko Chiny były zbyt słabe aby móc go rozegrać. Przyjaźni nie było nigdy — lecz z jednej strony napór — z drugiej strony częściowa, wykalkulowana kapitulacja.

Zaczynam skłaniać się do poglądu, który wypowiada (prywatnie) wielu Rosjan, że zmiana warty w Pekinie nie pogrzebałaby konfliktu — tylko uspiłaby go na jakiś czas.

Polakowi jest łatwiej zrozumieć ten typ zatargu niż Amerykanom czy Anglikom. Chińczycy, podobnie jak Polacy, mają w stosunku do Rosjan poczucie doznanej wielkiej krzywdy. W odczuciu Chińczyków owa krzywda musiałaby być wpierw wyrównana a dopiero później można by mówić o rzetelnej normalizacji stosunków chińsko-rosyjskich. Rosja jest drugim super-mocarstwem świata i z tej racji politycy na Kremlu uważają, że Sowiety nie muszą wyrównywać krzywd popełnionych w stosunku do Chińczyków czy Polaków. Tak jednym jak i drugim trzeźwy realizm winien dyktować, że z potężną Rosją należy żyć w przyjaznych stosunkach. Stara imperialna zasada głosi, że w polityce to co jest potężne jest słuszne i ci, którzy potężnymi nie są muszą się z tym pogodzić.

Nowym elementem w tej grze są bronie atomowe. Według ocen amerykańskich Chińczycy posiadają budzący szacunek (*respectable*) arsenał nuklearny. Mają pociski atomowe średniego zasięgu i pracują obecnie nad pociskami dalekiego zasięgu, którymi mogliby bombardować Rosję europejską.

Sputniki zwiadowcze tak amerykańskie jak i sowieckie fotografują nieustannie Chiny, zwłaszcza prowincje północne. Z wynurzeń prasy amerykańskiej należałoby wnioskować, że pomiędzy panami z CIA a panami z KGB dochodzi do wymiany informacji na te tematy. Fotografie dokonane przez amerykańskie satelity zwiadowcze ujawniły na terenie północnych Chin dziwne konstrukcje o kształcie olbrzymich pszczelich uli. Wymiana opinii pomiędzy agentem CIA a agentem KGB — nie dała w tym konkretnym wypadku rezultatu — ponieważ Rosjanie, podobnie jak Amerykanie, nie widzą jaki jest cel tych tajemniczych konstrukcji.

Trudno się dziwić zainteresowaniu Rosji owymi zagadkowymi „ulami”. Transsyberyjska linia kolejowa przebiega na pewnych odcinkach zaledwie 10 kilometrów od granicy chińskiej. Owa li-

nia stanowi jedyne lądowe połączenie pomiędzy azjatycką a europejską Rosją.

Nie jest moim celem w niniejszym artykule wyliczać wszystkie elementy konfliktu — tym mniej analizować pozycję strategiczną obu stron w sporze. Na te tematy każdego tygodnia ukazuje się kilkanaście artykułów w prasie światowej. Chciałbym natomiast podkreślić kilka punktów, które wydają mi się istotne.

Wielu Polaków na emigracji uważa, że ponieważ Rosjanie i Chińczycy są komunistami — w gruncie rzeczy to jest spór w rodzinie. Zachodni zawodowi antykomuniści mają również tendencję sugerowania, że Chińczycy łatwiej porozumieliby się z Moskwą niż z Waszyngtonem, ponieważ w rzeczywistości całe zagadnienie sprowadza się do personaliów. Po śmierci Mao mogą objąć rządy komuniści pro-sowieccy i wszystko się wyrówna.

W moim przekonaniu w Pekinie nie będzie nigdy rządu kolaboracyjnego — nawet gdyby był rząd pro-sowiecki. W Moskwie już działa chińska partia komunistyczna, która składa się oczywiście z samych kolaborantów. Gdyby doszło do konfliktu zbrojnego Rosjanie osadzą ową „partię” na chińskim terytorium i polecą jej utworzyć chiński rząd. To jest już dziś klasyczna procedura zaczynając od Komitetu Lubelskiego versus rząd polski w Londynie, a kończąc na rządzie w Saigonie versus rząd w Hanoi.

Gdyby za kilka miesięcy czy za kilka lat w Pekinie objął władzę rząd pro-sowiecki, oznaczałoby to, że Chińczycy stracili wszelką nadzieję wyrównania stosunków z Ameryką i zdecydowali się na pewien czas zamrozić konflikt z Rosją.

Tak oto dochodzimy do niajważniejszego punktu w tych rozważaniach.

Na krótko przed swą śmiercią prez. Kennedy tajną instrukcją zlecił przeprowadzenie badań nad problemem „chirurgicznej operacji”, która miałaby na celu pozbawienie Chin potencjału nuklearnego. Prez. Kennedy na równi z Rosjanami obawiał się bomb atomowych w rękach chińskich.

Rosjanie od czasów Chruszczowa prowadzą uporczywą propagandę, mającą na celu przedstawić Chińczyków jako naród szaleńców. Politycznym pragmatykom amerykańskim Rosjanie starają się udowodnić, że Chińczycy są groźni przede wszystkim dlatego, że nie są racjonalistami i nie zachowują się normalnie.

Nie wydaje mi się by najazd na Czechosłowację mógł stanowić przykład racjonalnego postępowania. Nie wydaje mi się również, by doktryna Breżniewa miała cokolwiek wspólnego z racjonalizmem. W Sowietach pisma racjonalistów są na indeksie z Marksem na czele. Wolno czytać tylko te pisma Marksa, które mają pieczęć cenzorów partyjnych. Teksty tzw. młodego Marksa są zakazane.

Żargon propagandy komunistów chińskich jest być może bardziej kwiecisty niż drętwa mowa Breżniewów i Kosyginów. Kult jednostki w wydaniu chińskim był śmieszny i odrażający. Lecz w pragmatycznej Moskwie stosunkowo niedawno sprzedawano perfumy, które nosiły nazwę „oddech Stalina”.

Jeżeli chodzi o chińską politykę wewnętrzną wypada stwierdzić, że „rewolucja kulturalna” była niewinnym baletem w porównaniu z tym wszystkim co działo się w ostatnim półwieczu na scenie sowieckiej. To samo dotyczy polityki zagranicznej. Pekin grzmi na cały świat orędzia rewolucyjne. Lecz w praktyce Chiny wykazują wielką ostrożność. To nie Chińczycy byli autorami raketowego kryzysu na Kubie. Choć współczują Tybetańczykom, obiektywnie należy podkreślić — że historyczne prawa Chin do Tybetu są niepomniernie większe niż „historyczne prawa” Rosji do Czechosłowacji.

Chiny są w przeważającej mierze krajem rolniczym i posiadają wewnętrzny stabilizator w postaci 600 milionów chłopów. Wieśniak chiński jest konserwatywny, pragmatyczny i żyje cyklem ziemi, którą uprawia.

Trzeba jednak przyznać, że kampania sowiecka osiągnęła znaczny sukces. Amerykanie przyjęli pogląd Tocqueville'a, że historia świata będzie się krystalizować wokół osi Waszyngton-Moskwa. Przywódców rosyjskich uważa się za centrowo-konserwatywnych komunistów i za pragmatyków, którzy służą przede wszystkim interesom Rosji jako mocarstwa, bez względu na ideologię. Nie państwo lecz ideologia będzie „zamierać” w miarę postępu industrializacji i podnoszenia się stopy życiowej. Jeżeli Rosjanie pragną doścignąć Amerykę — czy chcą czy nie chcą muszą się do niej upodobnić — ponieważ prawa rozwojowe i konsekwencje rewolucji technologicznej są w pewnym sensie uniwersalne. W Ameryce przyjmuje się, że Rosjanie mają zbyt wiele do stracenia by ryzykować konflikt ze Stanami Zjednoczonymi. Gdyby dojsz miało do nuklearnego konfliktu pomiędzy obu super-mocarstwami — „żywi zazdrościliby umarłym” jak to określił Chruszczow.

Na owym tle racjonalnej, normalnej Rosji przywódcy pekińscy w stalinowskich kurtach i w kaszkietach — deklamujący o rewolucji światowej, wojnach wyzwoleniczych itp. — muszą wydawać się Amerykanom podejrzanymi konspiratorami, którzy dla osiągnięcia swych szaleńczych zamysłów gotowi będą podpalić świat przy pierwszej nadarzającej się okazji.

W niniejszych rozważaniach wychodzę z założenia, że kiedyś dojdzie do zbrojnego konfliktu rosyjsko-chińskiego. W Azji nie ma po prostu miejsca na dwa nuklearne mocarstwa graniczące z sobą na przestrzeni tysięcy mil. Nuklearne Chiny nie mają powodu akceptować doktryny Breżniewa o „ograniczonej suwerenności”. Wydaje mi się również, że Pekin nie zrezygnuje ze swojej własnej wykładni marksizmu, która będzie zawsze różna od wykładni Moskwy. Marksizm, który ma służyć Chinom nie może pokrywać się z marksizmem, który jest narzędziem imperializmu sowieckiego. Następującą przesłankę uważam za istotną. Wzajemna nienawiść powoduje, że tak Moskwa jak i Pekin — mają znaczną szansę zmobilizowania swych społeczeństw przeciwko agresorowi — jeżeli tym agresorem będą Rosjanie w stosunku do Chin, a Chińczycy w stosunku do Rosjan. Oczywiście w razie wybuchu wojny Chińczycy będą głosili, że zostali napadnięci

przez Rosjan a Rosjanie będą głosili, że zostali napadnięci przez Chińczyków.

Nie mam zamiaru przekonywać licznymi argumentami naszych Czytelników, że do wojny rosyjsko-chińskiej kiedyś dojdzie — ponieważ w kwestii wojny, która jeszcze nie wybuchła można zawsze przytoczyć tyle argumentów „za” co i „przeciw”. Znałem w Polsce poważnych ludzi, którzy jeszcze w dniu 1 września 1939 r. argumentowali, że pierwsze bombardowania miast polskich są tylko fragmentem „wojny nerwów”, poprzedzającym nowe propozycje pokojowe. Z tych oto przyczyn rezygnuję z prezentowania argumentów i jedynie deklaram swój osobisty pogląd w tej sprawie.

Jak zachowałaby się Ameryka gdyby za miesiąc wybuchła wojna rosyjsko-chińska? (Zakładamy, że Rosjanie nie użyliby pierwsi broni atomowych, ponieważ nowa Hiroszima spotkałaby się z powszechnym potępieniem).

Sympatie Amerykanów byłyby po stronie Rosjan. Nie Związek Sowiecki lecz Chiny są dziś uważane za wroga Nr 1 Stanów Zjednoczonych. Konflikt zbrojny sfinalizowałby ową dziwną ewolucję, której wyrazem jest zamiana miejsc w tabeli wrogów. Chiny zajęłyby miejsce hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy a Rosja stałaby się, jeżeli nie sojusznikiem, to w każdym razie potencjalnym sojusznikiem. Rosjan i Amerykanów łączyłby znowu wspólny wróg.

W obecnym klimacie politycznym byłoby zupełnie nierealne sugerować, że Amerykanie w swoim własnym interesie winni „po cichu” wspomagać Chiny. Natomiast jestem pewien, że gdyby Ameryka w razie wybuchu omawianego konfliktu — zaczęła „po cichu” wspomagać Rosję — byłby to błąd stulecia. Oczywiście Rosjanie za pomoc — zwłaszcza pomoc technologiczną — zaofiarowaliby Ameryce wyrównanie kwestii spornych i współpracę na terenie międzynarodowym.

Jakże łatwo przyszedłoby Amerykanom wnioskować następująco: Rosjanie przy dyskretniej pomocy pobiją naszego głównego wroga i zgniotą główne ognisko rewolucji i niepokoju. Jeżeli przy tej okazji powiedzie się nam „oswoić” Rosję — to upolujemy dwa ptaki jednym strzałem.

Amerykanie w omawianej sytuacji mogliby istotnie upolować dwa ptaki jednym strzałem. Jeżeli Stany Zjednoczone nie chciałyby wspomagać Chin — winny zachować absolutną neutralność w stosunku do obu stron walczących.

Chiny są tak olbrzymie, że nie można ich w potocznym tego słowa znaczeniu ani pobić ani okupować. W razie konfliktu Rosjanie ugrzęźliby w Chinach na lata a może na kilkanaście lat. Partyzantka, powstania w okupowanych prowincjach, wietnamska wojna nękająca, podniesiona do n-tej potęgi — oto co czekałoby Rosjan w Chinach. Gdyby Rosjanie „operacją chirurgiczną” zlikwidowali chiński potencjał atomowy — doprowadziliby Chiny do stanu wrzenia, ponieważ Chińczycy z niczego nie są tak dumni i z niczym nie wiążą takich nadziei jak ze swoim arsenałem

atomowym. Likwidując ten arsenał Rosjanie zmobilizowaliby Chińczyków przeciwko sobie totalnie, do ostatniego człowieka.

Rosyjska polityka w stosunku do Chin wychodzi z tradycyjnego założenia, że Chiny są nieporównywalnie słabsze od Rosji. Tylko ze słabymi Chinami Rosja jest w stanie ułożyć swe stosunki. Wojny rosyjsko-chińskiej dałoby się uniknąć tylko wówczas gdyby Chiny w stosunku do Rosji pozostały tym — czym jest Meksyk w stosunku do Stanów Zjednoczonych.

W stosunku do nuklearnych Chin Rosja nie ma żadnej polityki, ponieważ spacyfikowanie nuklearnych Chin wymagałoby koncesji, na które Rosjanie się nie zgodzą. Lecz gdyby powiodło się czasowo zażegnać konflikt — nawet wówczas bronie nuklearne w rękach narodu, który Rosjanie krzywdzili — stanowiłyby na Kremlu źródło wiecznego niepokoju. Olbrzymi potencjał atomowy w rękach Amerykanów — z punktu widzenia Rosji to nie jest to samo co średni potencjał atomowy w rękach Chińczyków czy Niemców. Rosjanie pobitym Niemcom skutecznie zagrodzili drogę do broni atomowych. Lecz z Chinami to jest inna historia.

W razie wybuchu konfliktu zbrojnego rosyjsko-chińskiego — Rosjanie zgodnie z doktryną Breżniewa domagaliby się pomocy wojskowej od krajów Paktu Warszawskiego. Lecz co innego jest okupować małą Czechosłowację a co innego jest walczyć w olbrzymich Chinach przeciwko Chińczykom. Gdyby w takiej sytuacji Stany Zjednoczone zachowały absolutną neutralność i wywarły dostateczny nacisk na Niemcy, by oparły się kuszeniom sowieckim — wówczas w Europie Wschodniej zaczęłaby się zarysowywać koniunktura, która umiejętnie wykorzystana mogłaby przynieść znaczne zmiany. W interesie wolnego świata leży by dwa główne mocarstwa komunistyczne w długotrwałym konflikcie zbrojnym osłabiły się wzajemnie. Gdy do tego dojdzie — nie należy im w tym przeszkadzać.

Przyzwyczajiliśmy się odczytywać politykę państw komunistycznych według klucza personalnego. Stalin-Chruszczow, Bierut-Gomułka, Nagy-Kadar, Dubczek-Husak itd. W odniesieniu do satelitów to jest prawidłowa metoda. Istniała przepaść pomiędzy Nagy i Kadarem — tak jak istnieją podstawowe różnice pomiędzy Dubczkiem a Husakiem.

Stalin czołgami ujarzmił Wschodnią Europę, Chruszczow czołgami zgniótł powstanie węgierskie — Breżniew czołgami zgniótł rewolucję czechosłowacką. W polityce wewnętrznej Sowietów od śmierci Stalina nastąpiły pewne zmiany. W polityce zagranicznej Stalin, Chruszczow, Breżniew uprawiali imperialistyczną politykę wielkorusyjską tak jak ją pojmowali. Należy jeszcze dodać, że pojmowali ją niezmiernie podobnie.

Chiny nie są państwem satelickim i sprawy personalne nie odgrywają w Pekinie takiej roli jak w Warszawie czy w Pradze. Należy przewidywać, że po śmierci Mao nowi przywódcy będą się starali przełamać izolację, w jakiej uwięziony jest ich kraj. Chiny potrzebują pomocy gospodarczej i technologicznej. Lecz ktokolwiek obejmie rządy po śmierci Mao — chiński arsenał nuklearny

będzie rozbudowywany nadal. Na Kremlu wiadomo jest każdemu woźnemu, że wyrzutnie chińskie wymierzone są przeciwko Rosji.

Jeżeli w najbliższym okresie nastąpi odprężenie w stosunkach chińsko-sowieckich — następny kryzys pomiędzy Pekinem a Moskwą będzie groźniejszy od poprzednich, ponieważ Chiny będą atomowo lepiej uzbrojone. Następny kryzys wydaje się nieuchronny. Tak oto dochodzimy do sedna sprawy. Rzetelne wyrównanie stosunków pomiędzy obu mocarstwami wymagałoby nie tylko radykalnych zmian w Chinach, lecz przede wszystkim, radykalnych przemian w Rosji. Jeżeli owe przemiany w Rosji nie nastąpią stosunkowo szybko — konflikt rosyjsko-chiński będzie nie do uniknięcia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Czy anty-Jałta jest możliwa ?

Wydać się, że impreza kubańska Chruszczowa w roku 1962 była punktem przełomowym w dziejach ekspansji sowieckiego komunizmu. Od tego momentu, który przypieczętowany został w dwa lata później upadkiem tego awanturniczego i pełnego temperamentu polityka, datuje się epoka ostudzenia apetytów ekspansjonistycznych na zewnątrz. Towarzyszą temu skuteczne próby petryfikacji stosunków wewnętrznych w ZSSR.

Wielu sowieckich wysokich aparaczyków nazywa obecnie Chruszczowa prostakiem i analfabetą, wypominając w prywatnych rozmowach, iż we wczesnych latach młodzieńczych był w swej rodzinnej wiosce pastuchem.

W istocie ten pastuch, którego „oświeceni” aparaczczycy otaczają typową dla nowobogackiej klasy pogardą, wniósł sporą dozę dynamiki w dzieje ZSSR. Nie tylko swoim referatem na XX Zjeździe, ale przez swoje późniejsze decyzje i kontrdecyzje. Chruszczow robił wówczas wrażenie człowieka, który miota się w zamkniętym pomieszczeniu, szukając wyjścia i nie zdając sobie sprawy, że jest ono zaryglowane na cztery spusty i że wyjścia z niego nie ma. Przerażeni świadkowie wyczynów byłego Sekretarza Ukrainy postanowili go wreszcie uziemić. Uczynili to skutecznie w roku 1964, głównie dzięki temu, że Chruszczow, którego najwyraźniej rozsądzało poczucie jakiejś niejasnej misji, którą obdarzyła go historia, naraził sobie coraz większą liczbę wpływowych biurokratów. W szarej masie aparaczyków, z którą nie liczył się nigdy, był jeszcze bardziej znienawidzony. Chruszczow jako rasowy marksista dokładnie znający cudze choroby, ale nieświadomy procesów odbywających się we własnym kraju, nie zdawał sobie sprawy z tego, że został obalony zgodnie z życzeniem milionowej

masy sowieckich klerków¹. Podobno wciąż jeszcze nie pogodzony ze swą klęską, Nikita Sergiejewicz wyławowuje swe ambicje w pisanu listów do Prezydium KPZS, poddając krytyce jego decyzje. Najwyraźniej, mimo ponad 50 lat liczącego doświadczenia partyjnego, wciąż jeszcze nie ogarnął swym rozumem mechanizmu władzy sowieckiej i rządzących nim praw.

Chruszczow, który posiadał dużą dozę chłopskiego rozumu, nie pojął jednego: z jego mętnych planów i zamierzeń, klątw rzucanych na Wielkiego Nieboszczyka, biurokracja sowiecka zaprobowała tylko dwie rzeczy: koniec despotyzmu Politbiura, ewentualnie wyodrębnionej w nim grupy dwóch lub trzech ludzi i całkowite podporządkowanie organów bezpieczeństwa władzom Partii. Chruszczow ze swym nie zrównoważonym temperamentem i zaskakującymi posunięciami był typową postacią przejściową, które wyrastają na zakrętach historii. Nie pasował do nadchodzącego okresu stabilizacji, którego tak spragniona była sowiecka biurokracja. Obecni przywódcy, a zwłaszcza wpływowy, ale niewysuwający się na czoło Susłow, odpowiadają obecnym konserwatywnym tendencjom ZSSR. W tym punkcie jeszcze bardziej rozdziela się drogi chińsko-sowieckie i zbliżają się do siebie szlaki polityki międzynarodowej ZSSR i USA — obydwu supermocarstw zainteresowanych w zachowaniu istniejącej równowagi sił i dotychczasowego podziału świata. Nie są to mocarstwa imperialistyczne na dorobku. Dorobiły się tego czego mogły się dorobić. Obecnie mogą jedynie stracić. Dlatego pragną stabilizacji.

Stany Zjednoczone muszą dokonać wyboru sojusznika spośród dwóch mocarstw komunistycznych i to dokonać szybko, ponieważ w obecnej chwili nie byłyby w stanie sprostać konfrontacji z połączonym blokiem chińsko-sowieckim. Sytuacja lat 1949-55, kiedy USA zdolne były utrzymać napór bloku dwóch supermocarstw, nie może się obecnie powtórzyć, ponieważ osiągnięcia techniczno-militarne Chin i ZSSR wraz z ich potencjałem ludnościowym pozbawiły Amerykę jej dawnej przewagi. W szczególności szczodroblliwość chińska w poświęcaniu setek tysięcy, a nawet milionów swych obywateli utrudnia wybitnie konkurencję z tym mocarstwem.

Jeśli do potencjału ludnościowego doda się opanowanie techniki nuklearnej wojny i niski standard potrzeb mieszkańca Chin, któremu nieznane są wygody współczesnej cywilizacji, to kwestia zacofania ekonomicznego tego kraju z punktu widzenia możliwości zadawania ciosów w ewentualnej wojnie, nie ma większego znaczenia. W obecnej fazie metod prowadzenia działań militarnych, kraj, który zachowa możliwości zastosowania środków odwetowych, nawet przy całkowitej ruinie, pozostaje niezwyciężony. Należy sądzić, że zdolność tę Chiny posiadają podobnie jak Rosja i USA. Poza tym stopień koncentracji przemysłu w Ameryce jest

1. Pierwszy artykuł na ten temat, naświetlający rolę sowieckich klerków w obaleniu Chruszczowa, wyszedł spod pióra prof. Zbigniewa Brzezińskiego, krótko po objęciu rządów przez Kosygina i Breżniewa.

większy niż w obydwu krajach komunistycznych, co czyni USA bardziej narażone na ciosy. Szczególną przewagę mają pod tym względem Chiny, które prawdopodobnie rozbudowały i rozbudowują przemysł uwzględniając niebezpieczeństwa wojny nuklearnej, co ułatwia im fakt, że terytorialnie są rozleglejsze niż USA. Wprawdzie ludnościowo Chiny są bardziej zagęszczone, ale ten szczegół, jak wiadomo, nie niepokoi nadmiernie przywódców KPCh. USA muszą więc dokonać wyboru sojusznika na najbliższe lata. Z drugiej strony, z uwagi na przemiany wewnątrz ZSSR i zmienioną pozycję w świecie tego państwa, która między innymi doprowadziła do rosnącej wrogości między nim a Chinami, Stany Zjednoczone mają w obecnej chwili *możliwość* dokonania tego wyboru przy uwzględnieniu wszystkich strategicznych i politycznych implikacji oraz konsekwencji zawartego sojuszu na dalszą przyszłość.

Powstanie elit — wpływowych ugrupowań w ZSSR, które zaczynają wywierać wpływ na rządy — zjawisko zupełnie nieznane w okresie stalinowskim, uznane jest przez wszystkich „sowietologów” zachodnich. Wylicza się tu głównie elity wojskowe i naukowe, z którymi kierownicze władze Prezydium Partii i Sekretariat muszą się obecnie znacznie bardziej liczyć niż za czasów Stalina. Oczywiście, gdy mowa o naukowcach, dotyczy to jedynie tego typu przedstawicieli wiedzy, którzy mają wpływ na kształtowanie materialnych środków władzy. Wydaje się jednak, że wielu badaczy świata komunistycznego nie docenia wzrostu nowej siły socjalnej, jaka wyłoniła się ostatnio w ZSSR, a częściowo w innych państwach komunistycznych. Jest nią średnia warstwa komunistycznej biurokracji, która w ZSSR dochodzi prawdopodobnie do rządu co najmniej 2 milionów. Ale nie liczba stanowi jej siłę, ale kluczowa pozycja we wszystkich ważniejszych dziedzinach a przede wszystkim w ekonomii Państwa. W średnim aparacie, który oczywiście nie może być zrzeszony poza inną organizacją jak KPZS i Sowieckie Związki Zawodowe, dojrzewa coraz bardziej wewnętrzne poczucie solidarności i siły. W proporcji do tego domagają się oni większego wpływu na kierunek rządów. Warstwa ta zaczynała ukazywać swe oblicze już we wczesnym okresie postalinowskim kiedy poczęły się walić dogmaty o nieomyślności kierownictwa. Odzwierciedla ona nacjonalistyczne oblicze współczesnego społeczeństwa sowieckiego. Równocześnie jednak dążąc do zabezpieczenia dla siebie tych skromnych zdobyczy materialnych jakie biurokracji sowieckiej przyniósł komunizm, zainteresowana jest coraz bardziej nie tylko w stabilizacji wewnętrznych stosunków, ale i istniejącego podziału świata. Nienawidzi intelektualistów, domagających się demokratyzacji systemu i zagrażających totalitarnej strukturze władzy, ale groźni są dla niej również rewolucjoniści w rodzaju Che Guevary, przeżywający typowe dla wczesnowrewolucyjnego okresu ambicje wyzwolenia całego świata od imperializmu i kapitalizmu. Ogólnie można stwierdzić, że średnia warstwa komunistyczna personifikuje pod względem obyczajowym „kierunek uburżuazynienia” obywateli

sowieckich i całego systemu z zachowaniem nienaruszalności ustroju społecznego, który jest fundamentem jej panowania. Światopogląd średniej klasy z jej dążeniem do stabilizacji staje się coraz bardziej oficjalnym światopoglądem rządu ZSSR i Partii. W tym sensie sytuacja uległa charakterystycznemu odwróceniu w porównaniu z okresem stalinowskim, kiedy najwyższe władze partyjne nie tylko kierowały aparatem poprzez wydawane decyzje, ale wręcz kształtowały osobowość, obyczaje i sposób myślenia aparaczyka. Obecnie średnia kadra coraz bardziej wpływa na światopogląd kierownictwa. Oczywiście dążenie do spokoju i zerwania z awanturniczymi imprezami typu Chruszczowa i ambicjami rozszerzenia imperium, charakterystycznych dla powojennych rządów Stalina, nie oznaczają likwidacji sowieckiego imperializmu, ponieważ nacjonalizm w ZSSR nie traci, ale zyskuje na sile. Oznacza to tylko tyle, że okres najbliższych lat przyniesie ostudzenie sowieckich ambicji imperialnych poza istniejącą strefą panowania. Rzecz jasna, że w Partii, która nie jest już stalinowskim monolitem, działają różne tendencje. Zyskującym na sile jest jednak ten, który stawia sobie za cel nie nowe zdobycze, ale zabezpieczenie tego, co zostało osiągnięte. Dlatego, wbrew przestrogom USA i wizytom prezydenta Nixona, ZSSR będzie interweniować w Rumunii, gdy poczuje się zagrożony utratą tego kraju. Nie zrezygnuje też łatwo z wpływów na Bliskim Wschodzie, ponieważ strefa ta nie została podzielona po II Wojnie Światowej. Natomiast nie udziela i nie będzie więcej udzielać poparcia ruchom rewolucyjnym w Ameryce Łacińskiej i w innych rejonach, które należą do niekwestionowanej strefy wpływów USA. Od szeregu lat tę zmianę polityki Kremla można zaobserwować w Peru, Chile a zwłaszcza w Wenezueli, gdzie partie komunistyczne podporządkowane Moskwie, wypowiadając się przeciw działalności powstańczej, tracą coraz bardziej jakiegokolwiek wpływy na rzecz grup trockistowskich lub prochińskich.

Historię aspiracji rewolucyjno-imperialnych ZSSR od roku 1917 można z grubsza podzielić na 3 okresy. Najwcześniejszy — za życia Lenina i wpływów Trockiego, kiedy polityka państwowa podporządkowana była celom międzynarodowej rewolucji komunistycznej. Okres stalinowski — kiedy Komintern i ruch komunistyczny służył umacnianiu ZSSR i jej imperialnym celom, wreszcie okres postalinowski, zwłaszcza od upadku Chruszczowa, gdy partie komunistyczne i hasła polityczne komunizmu spełniać mają funkcję *zachowawczą* — umacniania zdobytej przez ZSSR pozycji w świecie. W szczególności, obrona kierownictwa sowieckiego przed zaborczymi apetytami Chin, stała się czołowym zadaniem jakie Kreml stara się postawić partiom komunistycznym do wypełnienia. Rola Chin jest co najmniej równie ważnym elementem stępującym aspiracje imperialne ZSSR wobec do niedawna jego tradycyjnych przeciwników — państw kapitalistycznych.

Procesy socjalne wewnątrz ZSSR rozwijały się niezależnie od stosunków chińsko-sowieckich, natomiast oziębienie ich, a później otwarta wrogość między dwoma supermocarstwami komu-

nistycznymi pozostaje w pewnym związku z rosnącą rolą średniej warstwy biurokratycznej w Rosji i jednocześnie próbą ograniczenia jej wpływów w Chinach. Aspiracjom tej warstwy w Rosji — jej tendencjom zachowania stabilizacji wewnętrznej i równowagi w świecie co znalazło swój wyraz w tezie „koegzystencji”, towarzyszyła w ciągu ubiegłych lat rosnąca wrogość kierownictwa Partii Chińskiej, która weszła w szczytową fazę w momencie generalnej rozprawy grupy Mao Tse-tunga i Lin Piao z jej oponentami o decydujące wpływy we władzach. Grupa ta trafnie oceniła źródła socjalne nowych tendencji dążących do stabilizacji owoców rewolucji chińskiej i odnalazła je w rosnącym i potężniejszym aparacie partyjno-państwowym Chin, który podobnie jak i w ZSSR stawał się siedliskiem tendencji zachowawczych.

Wraz ze wzrostem i zwiększonymi wpływami biurokracji, grupie Mao Tse-tunga i Lin Piao groziło stopniowe rozcieńczenie dotychczasowej absolutnej władzy kierownictwa i dzielenia jej z nową potężniejącą warstwą. Proces ten musiał postępować naprzód w miarę rozwoju gospodarczego nowych Chin. Stalinizm ze swym despotyzmem i całkowitą władzą nie tylko nad narodem ale i nad biurokracją, pozostał w przekonaniu Mao i jego zwolenników dalej godnym do naśladowania wzorem. Ten system rządów przywódcy chińscy postanowili za wszelką cenę utrzymać. Jako kryptonimu dla zwalczania wpływów aparatu partyjno-państwowego użyli oni hasła walki z burżuazyjnym rewizjonizmem.

Tak zwana „rewolucja kulturalna” była ciosem w chińską biurokrację komunistyczną. Oczywiście nie leżało ani w zamiarach ani możliwościach Mao Tse-tunga jej całkowite zniszczenie, ponieważ w efekcie przyniosłoby to paraliż funkcji produkcyjnych państwa. Strategia grupy Mao selekcjonowała najbardziej niebezpieczne polityczne siedliska „rewizjonizmu”, w miarę możliwości starając się nie doprowadzić kraju do anarchii. W praktyce nie było to łatwe, ponieważ rozpętany ruch nabrał chwilami cech żywiołowych i często wyłamywał się spod wszelkiej kontroli. To jednak, że cała akcja nie była spontaniczna, ale czuwali nad nią wytrawni reżyserzy, nie budzi wątpliwości.

Fakt, że grupa Mao zmobilizowała do rewolucji kulturalnej młodzież — w wieku od 15 lat do co najwyżej dwudziestu kilku, ma oczywiście swoją logikę. Grupa Mao i jego najbliższych ludzi reprezentuje przeciętny wiek powyżej 65 lat. Średni wiek aparatczyków partyjno-rządowych w Chinach wahał się prawdopodobnie w granicach 35-45 lat. Starcy z kierowniczego Areopagu, znakomicie wykorzystali konflikt pokoleń wiedząc, że masy młodzieży i niedorostków doskonale dadzą się użyć do kampanii, w której ekstremizm łączył się z kultem przywódcy. Rzecz jasna, że poparcie wojska czyli po prostu mówiąc, korpusu oficerskiego zostało zapewnione.

Cele „Rewolucji Kulturalnej”, którą propaganda chińska przedstawiła jako żywiołowy bunt „rewolucyjnych chłopów, studentów, robotników i żołnierzy” przeciw rewizjonistyczno-burżuazyjnym tendencjom niektórych przywódców, nie została należycie

zrozumiana przez wielu obserwatorów Zachodu. Wydaje się, że cel jej polegał na zachowaniu absolutnej władzy Politbiura, kierowanego przez Mao i Lin Piao poprzez przeciwstawienie młodzieży średniej warstwie komunistycznej Chin, zdradzającej podobne tendencje do tych jakie widoczne są u biurokracji sowieckiej. Zrozumiałe, że w tej sytuacji rozpetano ostrą kampanię antysowiecką choć źródła konfliktu między dwoma supermocarstwami były i są głębsze niż wewnętrzne fermenty i przemiany socjalne w obydwu Państwach.

„Rewolucja kulturalna”, która przechodziła fazy zaostrzenia i uspokojenia, przeżywa obecnie, jak się wydaje, swój zmierzch, co jest zgodne z wolą grupy Mao. Spełniła w ich przekonaniu swe zadanie, ograniczając rolę aparatu, który w wyniku ponad dwuletniej masowej historii żyje prawdopodobnie w stanie permanentnego terroru i obawy, że akcja ta może być wznowiona.

Z punktu widzenia interesów amerykańskich „Rewolucja kulturalna” była pomyślnym wydarzeniem. Po pierwsze dlatego, że w perspektywie historycznej zwolniła na jakiś czas rozwój gospodarczy Chin i ich potencjału militarnego. Po drugie przez to, że doprowadziła do dalszego zaostrzenia stosunków z ZSSR, pogłębiając jeszcze bardziej różnice dzielące dwa mocarstwa.

Nie wydaje się jednak, żeby na dłuższą metę grupa Mao mogła zahamować wzrost biurokracji i jej wpływów. Rozwój społeczeństwa komunistycznego wraz z jego totalitarnym systemem ma swą logikę. Biurokracja państwowa i aparat partyjny muszą mieć w tym państwie kluczową rolę. Wynika to po prostu z funkcji jaką pełnią one w ekonomii nowoczesnego Państwa. A takim nowoczesnym państwem stają się Chiny i jest to pragnieniem wszystkich walczących ze sobą frakcji. Grupa Mao albo musi zrezygnować ze swych ambitnych i nierealnych celów ograniczenia biurokracji i ustawicznego instygowania przeciwko niej młodzieży albo walkę tę przegra. Może to być kwestią miesięcy lub najbliższych lat, ale rezultat można uznać z góry za przesądzony. Dlatego obecna koniunktura korzystna dla USA może nie potrwać zbyt długo. Jeśli bowiem frakcja Mao ze swymi hiperrewolucyjnymi a zarazem antybiurokratycznymi hasłami, które utrudniają normalny proces rozwoju przemysłowego, odejdzie albo zmuszona będzie przy zachowaniu pozorów, do rezygnacji ze swych zamiarów utrzymywania absolutnych prerogatyw kierownictwa na drodze „permanentnej rewolucji” wewnątrz Chin, może to spowodować złagodzenie na pewien czas napięcia chińsko-sowieckiego. Oczywiście zasadniczego konfliktu, mającego głębsze i trwalsze źródła, nie usunie.

Nie należy bowiem sądzić, że różnice w strukturze władzy i odmienny pogląd na rolę społeczną aparatu partyjnego i biurokracji wraz z dalszymi skutkami socjalnymi są zasadniczymi przyczynami rosnącego antagonizmu między Chinami i Rosją. Różnice te zaostrzyły tylko konflikt, ale nie stanowią one jego genezy. Korzenie jego tkwią w aspiracjach imperialnych i terytorialnych Chin; rosnących ambicjach kierownictwa ChPK świadomego tego,

że sprawuje ono niemal absolutną władzę nad 800-milionowym narodem o wysokich zdolnościach organizacyjnych, o ogromnej liczbie ludzi odznaczających się nieprzeciętnymi talentami na skalę światową i o niespożytej pracowitości całego narodu i nieporównywalnym w stosunku do ludów Zachodu niskim standardzie potrzeb. Do tego dochodzą tradycje jednej z najstarszych kultur na świecie. Jeśli się przy tym uwzględni dziesiątki lat historii, w czasie których Chiny ustawicznie upakarzane pozostawały na łasce sąsiadów, to wszystko razem czyni obecnie aż nadto zrozumiałymi ambicje kierownictwa KPChin, zmierzającego do rozrzerzenia władzy na nowe strefy świata.

W pewnej mierze ambicje przywódców chińskich przypominają aspiracje nacjonalistów japońskich z lat poprzedzających wybuch II Wojny Światowej z tym, że występują tu dość istotne różnice. Przedwojenna Japonia miała dwa kierunki ekspansji wynikające z równoległe istniejących dwóch palących potrzeb: 1) niesamowystarczalna surowcowo Japonia dążyła do opanowania naturalnych bogactw Południowo Wschodniej Azji; 2) ludność jej stłoczona na wyspach potrzebowała przestrzeni życiowej. Opanowanie przeludnionych Chin nie leżało w jej interesie. Natomiast podbój wybrzeża i Mandżurii był potrzebny dla późniejszych planów opanowania Wschodniej Syberii, która była i jest krajem niezagospodarowanym o rozległych możliwościach kolonizacyjnych. Próby zagospodarowania jej, podjęte przez Chruszczowa i kontynuowane przez jego następców, nie zostały, jak dotychczas, uwieńczzone powodzeniem.

Chiny nie potrzebują surowców. Nie są też na etapie rozwoju przemysłowego Japonii z lat czterdziestych. Natomiast potrzebują nowych terenów. Ich terytorialne aspiracje, zrozumiałe z punktu widzenia demograficznego, harmonizują z ambicjami imperialnymi.

Ekspansja Chin w kierunku południowo-wschodnim wiąże się z próbą zdobycia dominującej roli nad narodami tej strefy i ewentualnego rozszerzenia swych wpływów w kierunku terytoriów amerykańskich. Ma więc charakter wybitnie polityczny. Natomiast ekspansja w kierunku wschodnim ma za sobą racje polityczne i gospodarcze. Dlatego imperializmem Chin na najbliższe lata jest zagrożona przede wszystkim Rosja.

Każde z trzech supermocarstw zdaje sobie sprawę, że nie będzie w stanie wytrzymać naporu dwóch połączonych przeciw sobie potęg. Byłoby wbrew logice, która w jakiejś mierze rządzi rozwojem historii, utrzymanie trzech kontrahentów tej miary co Chiny, ZSSR i USA w stanie wzajemnego permanentnego ostrego antagonizmu. Taki stan nie jest do utrzymania na okres najbliższego dziesięciolecia.

Ponieważ w obecnej chwili Rosja, która ograniczyła swe ambicje imperialne, sama jest zagrożona ekspansją Chin, USA byłby dla niej idealnym sprzymierzeńcem. To co w tej chwili dzieli ZSSR od Stanów na arenie międzynarodowej — to jedynie *tradycje* nieprzyjaźni, stanowiące relikty okresu ekspansji Rosji z lat

czterdziestych i pięćdziesiątych. Odmienność ustroju w warunkach kiedy ambicje rozszerzenia rewolucji komunistycznej na cały świat stanowią dawno zapomnianą przeszłość, nie mają już żadnego znaczenia. Mimo oczywistości tej sytuacji, którą szczególnie wyraźnie zarysowała się zarówno w latach poprzedzających II Wojnę Światową jak i w ostatnim ćwierćwieczu, mit solidarności państw komunistycznych z racji ich rzekomych wspólnych celów ideologicznych pokutuje nadal w umysłach wielu badaczy problemów komunizmu.

Żeby raz na zawsze rozwiązać ten mit, wystarczy odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania. Brzmiały one: Jaki jest aktualny charakter więzi między państwami komunistycznymi i jakim przyczynom należy tę więź przypisać? I drugie: czy istnieje jakaś solidarność między państwami komunistycznymi z tej racji, że są one komunistyczne w większym stopniu niż między krajami kapitalistycznymi z tej racji, że są one kapitalistyczne?

Przy próbie odpowiedzi na te pytania należy wyłączyć wczesny okres rewolucyjny ZSSR do roku 1921-23, ponieważ ten właśnie krótki okres, w którym przywódcy sowieccy wierzyli, że państwo sowieckie nie może przetrwać w izolacji, był czasem, w którym cel samego przetrwania, a nie aspiracje imperialne wymagał rozprzestrzeniania ideałów komunistycznych na cały świat i wspierania tych rządów rewolucyjnych, które powstawały. Ten wczesny rozdział historii ZSSR nie ma nic wspólnego z późniejszymi dziejami tego państwa, a zwłaszcza z ostatnim ćwierćwieczem.

Gdzie i kiedy występowała pomiędzy krajami komunistycznymi solidarność wynikająca ze wspólnych interesów ideologicznych? We Wschodniej Europie nie ma żadnej więzi solidarności. Jest jedynie stosunek podporządkowania słabszych państw ZSSR. Ten sam stosunek starają się zachować Chiny wobec Korei Północnej, Północnego Wietnamu.

Stosunki chińsko-sowieckie we wczesnym okresie po wypędzeniu Czang Kai-szeka nacechowane były przyjaźnią i współpracą, które znalazły wyraz we wspólnie zaaranżowanej inwazji Południowej Korei. Współpraca ta wynikała z przekonania, że połączone potencjały ludnościowe obydwu krajów wraz z potęgą przemysłową, którą Chiny będą rozwijać przy pomocy Rosji, umożliwi im w przyszłości panowanie nad światem. W czasie tych miodowych miesięcy, które obydwa mocarstwa przeżywały, przywódcy Chin i ZSSR wierzyli raczej w przyszłą potęgę swego arsenału i niezliczone dywizje swych wojsk niż w atrakcyjność spleśniałych, głoszonych przez siebie, ideałów. Na tych samych zasadach oparta była w okresie II Wojny Światowej przyjaźń japońsko-niemiecka. Solidarność chińsko-sowiecka została w późniejszych latach rozbita na skutek zmian wewnętrznych w obydwu krajach i uświadomienia sobie przez przywódców chińskich, że Rosja dla Chin stanowi bliższy i realniejszy teren ekspansji niż reszta świata w spółce z przywódcami sowieckimi. Początkowa solidarność i przyjaźń, gdy okazało się, że obydwaj partnerzy byli zbyt po-

teżni, aby jeden mógł narzucić drugiemu swoją wolę, zamienić się musiała w ostry konflikt i nienawiść.

Mit solidarności państw komunistycznych trzeba raz na zawsze porzucić. Ściśle biorąc solidarność ta jest taka sama jak między państwami kapitalistycznymi. Nie większa ani mniejsza. Uzaledźniona jest wyłącznie od konfiguracji międzynarodowej i krzyżujących się interesów.

Przyczynkiem do tego może być problem zjednoczenia Niemiec. Pozornie wygląda na to, że zjednoczenie tego kraju rozbija się o kwestię jakie mają być Niemcy: kapitalistyczne jak chce Zachód czy komunistyczne jak życzy sobie ZSSR. W istocie jednak zjednoczonych Niemiec zarówno kapitalistycznych jak i komunistycznych nie chcą ani Francja ani Anglia. Jednocześnie jednak komunistycznych zjednoczonych Niemiec nie życzy sobie, wbrew pozorom, i ZSSR. Jest rzeczą oczywistą, że komunistyczne Niemcy ze swymi możliwościami produkcyjnymi i blisko 75 milionową ludnością nie mogłyby być w żadnym wypadku satelitą Rosji. Stałyby się partnerem. Ale Rosja nie życzy sobie partnerów w obozie komunistycznym. Jak uczy doświadczenie, stosunki między państwami komunistycznymi (zwłaszcza sąsiedzkimi lub pozostałymi w tej samej strefie geograficznej), jeśli nie są oparte na jednostronnej zależności, stają się wrogie. Należy przypuszczać, że tak by się również ułożyły i stosunki między potężnymi komunistycznymi Niemcami i ZSSR. Naiwna wiara, że Rosja chce w istocie zjednoczenia Niemiec pod berłem Ulbrichta czy innego komunistycznego przywódcy jest oczywistym błędem.

Obecnie za jedną z najbardziej zapalnych stref, gdzie krzyżują i ścierają się interesy sowiecko-amerykańskie uchodzi Bliski Wschód. Mimo to nie należy traktować rosnącego napięcia arabsko-izraelskiego jako potencjalnego zarzewia wojny, która może doprowadzić do zbrojnej konfrontacji między USA a ZSSR. Pozycja USA wobec Izraela jest prosta. Wspierają ten kraj, ale nie zamierzają ani nie mają potrzeby walczyć za Izrael. Stosunek ZSSR do państw arabskich jest nieco bardziej skomplikowany. Rosjanie chętnie zachowaliby rolę protektorów narodów arabskich, umacniając w tej strefie swe wpływy, ale i oni nie zamierzają walczyć za Arabów i nie wyjdą poza granicę pomocy gospodarczo-wojskowej. Przyczyna jest dość prosta. ZSSR zdaje sobie doskonale sprawę, że nawet w wypadku, gdyby doszło do powtórnej konfrontacji, zdruzgotania armii izraelskiej i wymazania tego kraju z mapy świata, co jest oczywistym marzeniem większości rządów arabskich, nie oznaczałoby to bynajmniej zakotwiczenia ZSSR w tej strefie i umocnienia jego wpływów podobnie jak to miało miejsce w Europie Wschodniej. Odwrotnie — Rosja tak długo potrzebna jest rządowi arabskim jak długo istnieje problem Izraela. Nasser, Boumedienne, Atassi i inni odwróciliby się do swych sprzymierzeńców i protektorów plecami następnego dnia po zwycięstwie, a ZSSR byłoby absolutnie bezsilne wobec objawów niewdzięczności swych podopiecznych.

Kierownictwo sowieckie doskonale wyczuwa tę sytuację wie-

dząc, że możliwości umacniania wpływów rosyjskich będą istnieć tak długo, jak długo istnieje Izrael i wynikające z jego istnienia konflikty z sąsiadami. Obecnie częściej niż kiedykolwiek przywódcy sowieccy podkreślają, że Izrael jako państwo powinno istnieć i że występują tylko przeciwko ekspansjonistycznym tendencjom jego rządów. ZSSR nie jest zainteresowany w wypadku ponownej konfrontacji ani w trzeciej z kolei klęsce krajów arabskich ani w ich zwycięstwie. Klęska oznaczałaby ostateczną kompromitację przywódców arabskich zaangażowanych w wojnie i równocześnie z nimi — ich rosyjskich protektorów. W efekcie przynieść by to musiało całkowitą zmianę orientacji państw arabskich i szukania wyłącznego oparcia na Zachodzie. Z drugiej strony, zwycięstwo krajów arabskich oznaczałoby likwidację problemu izraelskiego i całkowitą dalszą bezużyteczność ZSSR jako alianta. Dlatego najlepszą drogą dla ZSSR, przedłużającą jego penetrację Bliskiego Wschodu, jest chroniczne utrzymywanie stanu zapalnego i powstrzymywanie państw arabskich przed próbą roztrzygnięcia wojkowego.

Związek Sowiecki nie jest zainteresowany w takim zakończeniu wojny w Wietnamie które przyniosłoby całkowite zwycięstwo Hanoi i NLF. Wbrew temu co głoszą gazety rosyjskie, Moskwa nie życzy sobie bynajmniej zwycięstwa NLF, ponieważ kredyt za to zwycięstwo przypadnie nie jej, ale Chinom. Z tego samego powodu Moskwie nic nie przyniesie utrata prestiżu USA wobec ludów Azji i Afryki, ponieważ straty amerykańskie oznaczałyby obecnie automatyczne zyski polityczne Chin².

Rosjanie dostarczają broni NLF-owi i to stwarza fałszywy pozór, że dążą do zwycięstwa Hanoi i zjednoczenia Wietnamu pod władzą Północy. W istocie zaopatrują oni NLF tylko w taką broń, którą by oferowali Hanoi Chińczycy, gdyby ZSSR zaprzestało dostaw. Istnieje szereg typów broni, których Rosjanie odmawiają Wietnamczykom wiedząc, że nie ma ich w arsenale chińskim. Z tego wszystkiego zdaje sobie dość jasno sprawę administracja waszyngtońska, szukając słusznie pomocy Rosjan w wymanewrowaniu USA z wojny wietnamskiej z zachowaniem możliwie mało uszczuplonych interesów amerykańskich w tej części świata lub też w przewleczeniu całej sprawy przy zredukowaniu do minimum działań wojennych. Temu jednak usiłują przeszkodzić Chińczycy i prochińska rządząca frakcja w Hanoi, która po śmierci Ho-Chi-Minha umocniła jeszcze bardziej swe wpływy i której się to jak dotąd całkowicie udaje.

Uwzględniając fakt, że Europa przestała być również terenem ścierających się interesów sowiecko-amerykańskich, co najmniej od momentu odejścia Chruszczowa tzn. od chwili, gdy obydwa mocarstwa uznały, iż nie istnieje żadna szansa zmiany podziału

2. Niezwołocznie po takim zwycięstwie i upokorzeniu USA, Chiny poczułyby się najpotężniejszym mocarstwem świata w Azji. Bezpośrednim tego następstwem stałoby się dalsze zaostrenie apetytów ekspansjonistycznych wobec Wschodniej Syberii i wzrost zagrożenia Rosji.

wpływów, wszystkie te względy czynią ZSSR w perspektywie najbliższych lat nie głównym przeciwnikiem Ameryki, ale kandydatem na jej sojusznika.

Przy dalszych rozważaniach na temat możliwości tego sojuszu w stronę, którego kieruje Amerykę logika rozwoju wydarzeń, należy oczywiście uwzględnić alternatywę konkurencyjną: przymierze z Chinami przeciw ZSSR. Nad ewentualnością takiego aliansu nie łatwo jest się zastanawiać, ponieważ zasięg aspiracji Chin na świecie trudny jest do zdeterminowania. Trudna też byłaby do rozpoznania pozycja Japonii, najpotężniejszego gospodarczo państwa w tej strefie, które, dzięki polityce amerykańskiej w swych możliwościach polityczno-wojskowych, jest czymś w rodzaju pozostającego w stanie hibernizacji giganta.

Wydaje się, że w obecnej chwili Chiny nie odrzuciłyby możliwości aliansu z USA przeciw Rosji, ponieważ po jej zniszczeniu stałyby się dominującą potęgą w Azji. W takiej jednak konfiguracji wpływy amerykańskie w południowo-wschodniej Azji stałyby się jeszcze bardziej problematyczne. Bez względu na wszelkie ewentualne umowy z Chinami, zagroziłyby one wszystkim krajom tej strefy. To wszystko wskazuje na to, że tego rodzaju sojusz byłby korzystniejszy dla Chin niż dla USA.

Stany Zjednoczone, które w tej chwili mają możliwości przetargowe w południowo-wschodniej Azji, a nad niektórymi krajami utrzymują pełną kontrolę, mogą je w niedalekiej perspektywie utracić. Przy tym wszystkim Stany Zjednoczone zachowują swą nieuszczipioną potęgę, ponieważ niepowodzenia w Azji nie mogły naruszyć w sposób istotny amerykańskiego potencjału wojskowo-przemysłowego. Z tego punktu widzenia klęskę amerykańską w Wietnamie można uważać za porażkę głównie prestiżową. Ale przeciwnikom USA — Chinom i podporządkowanym im rządom Północnej Korei i Północnego Wietnamu chodzi o zadanie Ameryce przede wszystkim *tego rodzaju klęski*. Wypróbują one jednocześnie morale Stanów Zjednoczonych i ich niechęć do unikania otwartej konfrontacji, poprzez prowokacje typu incydentu z „Pueblem”. Brak natychmiastowej reakcji ze strony Waszyngtonu i długie deliberacje nad tym co uczynić, umacniają ich w przekonaniu, że przeceniały przeciwnika. Wydaje się, że wydarzenie z „Pueblem” i późniejsze z samolotem amerykańskim, zestrzelonym na wodach międzynarodowych przez siły zbrojne Północnej Korei, były większą klęską Ameryki niż wszystkie jej niepowodzenia wietnamskie.

Imprezę wietnamską USA przegrywają psychologicznie, ponieważ militarnie mogłyby całą wojnę w Wietnamie zacząć od nowa, a nawet zniszczyć przeciwnika bez użycia broni nuklearnej. Praktycznie jednak jest to już przy obecnych nastrojach w Ameryce zbyt trudne. Dyskusje, które toczą się ostatnio, wskazują wyraźnie na to, że dla znacznej części członków Kongresu, Senatu i osobistości, wywierających wpływ na życie publiczne w Ameryce, nie jest już otwartą kwestią czy wycofać się z Wietnamu czy nie, ale *jak* się z niego wycofać. Opinia amerykańska w swej większo-

ści wydaje się być za pozostawieniem Wietnamu i całej Południowo-Wschodniej Azji swojemu losowi. Albo nie zdaje ona sobie w pełni sprawy z tego, że w takim wypadku o losie tej części świata zaczną w niedalekiej przyszłości decydować Chiny albo zdając sobie z tego sprawę, godzi się z ograniczeniem roli USA w świecie.

Rząd waszyngtoński prawdopodobnie nie podziela stanowiska wielu polityków i opinii publicznej, domagającej się zakończenia imprezy wietnamskiej i próbuje przewlec operację wycofywania wojsk. Zmuszony liczyć się z rosnącą presją opinii, która, w jego przekonaniu, zajmuje stanowisko krótkowzroczne, prowadzi politykę zygzaków, która czyni wrażenie chwiejnej i niezdecydowanej. Waszyngton nie chce się wycofywać z Wietnamu rozumiejąc, że w dalszej perspektywie oznaczać to może utratę nie tylko Tailandu, ale i Filipin jak również ewentualność odrodzenia wpływów komunistycznych w Indonezji. Efekt tej polityki, w której koncesje czynione na rzecz opinii i niektórych wpływowych osobistości przeplatają się z próbami nowej inicjatywy militarnej, jest wysoce niekorzystny. Ostatnio zastosowana strategia „ani wojny ani pokoju”, którą zadeklarował Waszyngton jako możliwe wyjście z kryzysu wietnamskiego, ma jedną podstawową wadę. Wymaga kooperacji przeciwnej strony, na którą USA nie mogą liczyć, ponieważ NLF i Pekin nie zamierzają ratować pozorów i chronić prestiżu USA — lecz przeciwnie — chcą go podważyć wobec ludów Azji i Afryki.

W wypadku ostatecznego zwycięstwa Hanoi-Pekinu, ZSSR stałby się naturalnym sojusznikiem Ameryki. Oczywiście aktualnymi aliantami USA przeciw Chinom są już obecnie takie kraje jak Japonia, Australia i Nowa Zelandia. Są to jednak państwa, które należy dopiero przestawić na stopę wojenną, co potrwałoby szereg lat. Poza tym Japonia jako ewentualny partner jakiejś antychińskiej koalicji wystawiłaby prawdopodobnie Waszyngtonowi gigantyczny rachunek do spłacenia, włączając do niego część celów wojennych, które przyświecały militarystom japońskim w okresie późnych lat trzydziestych.

Dlatego aktualnym aliantem USA — w wypadku ostatecznego wycofania się z Wietnamu, byłoby tylko ZSSR. Sojusz ten miałby tę niewątpliwą zaletę, że to USA mogłoby stawiać warunki Rosji, a nie Rosja Stanom Zjednoczonym, ponieważ w zasięgu ekspansji chińskiej, zgodnie z poprzednio przedstawioną argumentacją znalazłaby się przede wszystkim wschodnia Syberia³.

3. Po ewentualnym wycofaniu się Ameryki z rejonu południowo-wschodniej Azji, poszczególne kraje tej strefy mogą po prostu stać się łupem Chin na drodze wewnętrznych ruchów powstańczych przy umiarkowanym zaangażowaniu się militarnym ze strony Pekinu. Przykład rządu sajgońskiego, którego żywot będzie niezmiernie krótki po opuszczeniu południowego Wietnamu przez ostatnie jednostki amerykańskie, podziela przypuszczalnie jak generalne hasło do ataku na reżymy tej strefy. Wydatną pomoc stanowią będą wielomilionowe mniejszości chińskie w tych krajach, dyskryminowane często

Stany Zjednoczone mogą istnieć bez kontroli Południowo-Wschodniej Azji, natomiast Rosja — jako mocarstwo nie może utracić połowy swego azjatyckiego terytorium. Jej klęska oznaczałaby rozruchy na Ukrainie, Białorusi i in., nie mówiąc już o groźbie eksplozji w państwach satelickich, gdzie ruch rewolucyjny znacznie by się zaktywizował.

Wielu doradców i ekspertów problematyki komunistycznej w okresie rządów Johnsona zalecało i zaleca obecnie wycofanie się USA z Południowo-Wschodniej Azji nie tylko dlatego, że zachowanie roli „antykomunistycznego żandarma” tych krajów jest nie do utrzymania ale dlatego, że umożliwi to powtórne zaangażowanie się USA w sprawę europejskie.

Wydaje się, że w omawianej przeze mnie konfiguracji koniunktura taka mogłaby się rzeczywiście otworzyć, z szansami uzyskania znacznie większych korzyści dla Polski, Węgier, Czechosłowacji, Bułgarii, Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy i Białorusi niż dawniej. Powtórne bowiem zaangażowanie się Ameryki w sprawę europejskie nie oznaczałoby wcale wznowienia „zimnej wojny” z Rosją. Przeciwnie — USA mogłyby wystąpić tym razem jako sojusznik ZSSR, chroniąc ją przed inwazją chińską, ale jako sojusznik warunkowy.

Konferencja jałtańska, w czasie której żądania stawiał ZSSR przy oporze Churchilla i ugodowej postawie Roosevelta, odbywała się w momencie kiedy Niemcy hitlerowskie były już praktycznie biorąc zdruzgotane i nie stanowiły już dawnego niebezpieczeństwa ani dla Rosji ani dla pozostałych aliantów.

Nowa „Anty-Jałta” mogłaby mieć miejsce w warunkach całkowicie odmiennych kiedy nad Rosją zawisnie już bezpośrednio groźba inwazji Chin; gdy Kreml znajdzie się w pozycji petenta szukającego ratunku. Atuty będą wówczas w rękach mocarstw Zachodu — przede wszystkim zaś Ameryki. Jej stanowisko zaważyć może wówczas na przyszłym losie Europy Wschodniej*.

Zbigniew BYRSKI

Październik 1969 r.

brutalnie przez lokalne władze. Państwa tej strefy staną się prawdopodobnie dojrzałym owocem, który wpadnie w ręce Komunistycznej Partii Chińskiej bez nadmiernego wysiłku z jej strony.

* Zamieszczamy niezmiernie ciekawy artykuł Zb. Byrskiego, ale nie zgadzamy się z jego końcowymi wnioskami. Nasz punkt widzenia jest przedstawiony w artykule J. Mieroszewskiego. Polityka neutralności USA, w razie konfliktu sowiecko-chińskiego — przynajmniej w pierwszej jego fazie — wydaje się bardziej celowa dla interesów USA i Wschodniej Europy. (*Redakcja*).

Kronika angielska

POZIOM I JAKOŚĆ

Większość partii politycznych bez względu na ich nazwę i hasła — należałoby określić jako konserwatywne. Może sprawiedliwiej byłoby powiedzieć, że partie z każdym miesiącem stają się coraz bardziej staroświeckie — co o tyle nie jest dziwne, że na wszystkich wielkich partiach politycznych ciąży przemożnie XIX wiek do którego — jego dziedzic tzn. wiek XX — jest najzupełniej nie podobny.

Kilka tygodni temu ukazała się książka profesora London School of Economics Dr. E. J. Mishan pt. „Growth: The Price we Pay”. Osobiście interesuje mnie nie tyle cena, jaką płacimy za postęp ekonomiczny — ile wzrastająca masa problemów, które odkładamy do szuflady. To co określamy przepaścią pomiędzy starym a młodym pokoleniem — tutaj bierze swe źródło. Młodzi przemocą wyciągają na światło dzienne szuflady — do których my, starzy, odkładamy wstydliwie problemy, z którymi nie wiemy co zrobić.

W chwili gdy piszę tę notatkę w NRF odbywają się wybory. Niemcy są najbogatszym państwem w Zachodniej Europie. Robotnik niemiecki zarabia więcej niż robotnik francuski czy brytyjski. Lecz rządząca koalicja nie potrafiła wytworzyć owego społecznego „ruchu na wyż””, który cechuje zdrowe, dynamiczne ustroje demokratyczne. Na uniwersytetach zachodnoniemieckich synowie i córki robotników stanowią zaledwie 5 % ogółu uczącej się młodzieży. Co robotnikowi z wysokiej stawki jeżeli za pieniądze, które zarabia nie może zapewnić wyższego wykształcenia swoim dzieciom?

Poziom życia robotnika brytyjskiego jest niższy niż robotnika niemieckiego — lecz *jakość* życia robotnika brytyjskiego jest znacznie wyższa niż robotnika niemieckiego.

Zasadniczym składnikiem jakości życia są perspektywy awansu społecznego. Braku owych perspektyw nie można wyrównać poziomem stopy życiowej.

Wszystkie partie polityczne w zachodniej Europie wysuwają na czoło swych programów wzrost ekonomiczny. W imię owego wzrostu żąda się oszczędności, dyscypliny pracy itd. itp. Ekonomisci argumentują, że z chwilą gdy państwo pozbędzie się swoich długów — gdy eksport zacznie przewyższać import — wówczas wszyscy będą mieli wysokie płace i mnóstwo towarów do wyboru. Ekonomisci opierają swe rozumowanie na XIX-wiecznej przesłance, że poziom życia i jakość życia to są synonimy.

Co komu z 15-tu typów samochodów oferowanych przez producentów — jeżeli w Londynie nie ma możliwości wozu zaparkować, a w całej Anglii nie ma takiego miejsca, gdzie można by pojechać i w ciszy przyrody samotnie wypocząć. Na szczęście jeszcze nie wszyscy mają samochody — lecz wszyscy wdychają gazy spalinowe, które zatrują powietrze. W pewnych okresach roku owe gazy w połączeniu z dymem z kominów fabrycznych — wytwarzają tzw. *smog* — żrącą mgłę, która co roku powoduje śmierć tysięcy ludzi chorych na płuca.

Niedawno odbył się w Londynie kongres botaników brytyjskich. Botanicy stwierdzili, że w ostatnich latach wyginęło doszczętnie ponad 70 gatunków roślin i krzewów na Wyspach Brytyjskich. To samo dotyczy pewnych gatunków ptaków i zwierząt.

Zatrucie rzek, jezior a nawet oceanów zaczyna przybierać wymiary światowej katastrofy. G. Nelson w swojej źródłowej pracy pt. „The National Pollution Scandal” przytacza przerażające cyfry. Według opinii rzeczoznawców Wielkie Jeziora (*Great Lakes*) w Ameryce, które stanowią największy na naszej planecie rezerwar słodkiej wody — w obrębie najbliższych 10 lat przemienia się w cuchnącą trupiarnię. Rzeka Monongohela, która przepływa przez górnicze i wysoko uprzemysłowione obszary zachodniej Wirginii i Pensylwanii niesie z sobą rocznie 200.000 ton kwasu siarkowego. Ów kwas siarkowy łąduje w rzece Ohio, która dostarcza wody dla dziesiątków milionów ludzi.

Podobnie zarzynane są wszystkie rzeki i jeziora w Stanach Zjednoczonych i w Zachodniej Europie. Trujące substancje pochodzące z *pollution* znajdują się w tkance kostnej ryb łowionych w Pacyfiku a nawet w kościach pingwinów żyjących w kole podbiegunowym.

Niemniejszy problem stanowią preparaty służące w rolnictwie do zwalczania owadów. W Ameryce posypuje się ziemię uprawną 700 milionami funtów trutek rocznie. Owe trutki, których głównym składnikiem jest DDT, poprzez wodę, ryby, jarzyny, zwierzęta (mleko, mięso) dostają się do organizmów ludzkich. Jeżeli woda morska zawiera DDT w proporcji jeden do biliona — pewne gatunki krabów i ryb zaczynają wymierać.

Na powyższe tematy istnieje dziś obszerna literatura. Wszyscy rzeczoznawcy uważają, że zatrucie powietrza, ziemi i wody na naszej planecie — już w następnym pokoleniu stanie się centralnym zagadnieniem ludzkości.

W mojej opinii to nie jest cena, jaką płacimy za naszą technologię. To jest cena jaką płacimy za naszą filozofię. Chrześcijaństwo wychowało człowieka w przekonaniu, że jest koroną stworzenia. Przyroda winna służyć człowiekowi. Marks był wprawdzie entuzjastą Darwina i chciał mu zadedykować „Kapitał” — niemniej darwinowskiej myśli nie zrozumiał. Przejął natomiast chrześcijański antropocentryczny pogląd, że człowiek powinien być panem i władcą przyrody.

W rzeczywistości człowiek nie jest koroną stworzenia tylko częścią stworzenia — nie jest władcą natury tylko częścią natury — częścią współzależną od całości naturalnego systemu.

Oczywiście tę samą technologię, która zatruwa ziemię, wodę i powietrze — można by z powodzeniem zastosować do wielkiego dzieła oczyszczenia naszej planety. To jest tylko kwestia przydziału odpowiednich sum pieniężnych i przeprowadzenia przez parlamenty określonych ustaw. Lecz politycy wolą wyborcom obiecywać wzrost ekonomiczny niż oczyszczenie naszej planety z ruin spowodowanych wzrostem ekonomicznym. Obserwując klęskę *pollution* trudno nie przyznać racji McLuhan’owi, że „politycy mają wczorajsze odpowiedzi na dzisiejsze pytania”.

W I E T N A M I Z A C J A

Wyda mi się, że podstawowym błędem, który zaciążył na polityce amerykańskiej w stosunku do Wietnamu — był brak rozróżnienia pomiędzy

sytuacją rewolucyjną a rewolucją. Można walczyć z rewolucją lecz nie z sytuacją rewolucyjną. Sytuację rewolucyjną można rozładować programem odpowiednich radykalnych reform.

I punkt drugi. Nie można budować demokracji metodami antydemokratycznymi. Gdyby w Anglii ponad jedna trzecia ludności głosowała na komunistów — nikomu do głowy by nie przyszło wyłączyć partię komunistyczną z parlamentu. W Anglii nie ma komunistów ani w parlamencie ani w rządzie, ponieważ tylko minimalny odsetek wyborców głosuje na partię komunistyczną.

W południowym Wietnamie sytuacja kształtuje się inaczej. Według ocen amerykańskich, które na pewno nie są przesadzone — zwolennicy NLF (Front Wyzwolenia Narodowego Wietkongu) — stanowią 35 % ogółu ludności południowego Wietnamu. Wietnamizacja musiałaby się zacząć od przyznania prawa do politycznej reprezentacji NLF w proporcji do poparcia społeczeństwa. Dopóki to nie nastąpi, południowy Wietnam będzie parodią demokracji lecz nie demokracją. Czy warto by 150 do 200 Amerykanów ginęło każdego tygodnia w obronie parodii demokracji?

Gdyby w Polsce odbudowano ustrój demokratyczny — sądzę, że tylko mały odsetek wyborców głosowałby na komunistów. Osobiście walczyłbym jednak o to, by partia komunistyczna nie była zakazana i posiadała w Sejmie reprezentację proporcjonalną do ilości zdobytych głosów. W rzetelnym ustroju demokratycznym każdemu wolno być komunistą, esperantystą czy Świadkiem Jehowy — dopóki przestrzega konstytucji i obowiązujących ustaw.

Antykomunizm niedemokratyczny jest czymś równie złym jak komunizm. Rząd, który sięga po środki antydemokratyczne w walce z mniejszością antydemokratyczną — identyfikuje się z komunistycznym systemem rządzenia, który jak wiadomo nie uznaje opozycji politycznej. Należy bronić demokracji przed komunizmem czy faszyzmem — ale jaki jest cel obrony jednego systemu policyjnego przed drugim systemem policyjnym? Prezydent Thieu kazał uwięzić licznych opozycyjnych polityków, którzy z komunizmem nie mieli nic wspólnego. Również powierzenie stanowiska premiera generałowi służby stałej — nie wydaje się posunięciem zmierzającym do demokratyzacji południowego Wietnamu.

Wietnam jest przede wszystkim problemem politycznym a dopiero w następnej kolejności wojskowym. Wietnam jest problemem politycznym nie tylko w Wietnamie ale i w Stanach Zjednoczonych.

Wietnamizacja — tak jak ją widzi amerykański dziennikarz Maynard Parker — jest operacją mającą na celu zaoszczędzenie kłopotu obu prezydentom tzn. prez. Nixonowi i prez. Thieu. Znaczący przedmiot sądzą, że polityczną bombę wietnamską w Stanach Zjednoczonych można by rozbroić — wycofując co miesiąc 10.000 żołnierzy z Wietnamu. W ten sposób można by przetrwać do roku 1972 — tzn. do następnych prezydenckich wyborów. W chwili wyboru nowego prezydenta ciągle jeszcze byłoby ćwierć miliona żołnierzy amerykańskich w Wietnamie. Dla prez. Thieu wietnamizacja tak zaprojektowana oznaczałaby, że nikt nie będzie zmuszał go do poszerzenia rządu, pertraktowania z komunistami itd.

Dwie cyfry czynią wietnamizację projektem nierealnym. Po pierwsze — 35 % społeczeństwa południowowietnamskiego sympatyzuje z NLF i po drugie — odsetek dezertów w armii południowowietnamskiej wynosi nadal 20 %. Należy jeszcze dodać, że stosunki pomiędzy armiami amerykańską i po-

łudniowowietnamską są tak napięte, że dowództwo amerykańskie opracowało plany na wypadek gdyby w chwili całkowitej ewakuacji Amerykanie byli zmuszeni walczyć przeciw armii południowowietnamskiej.

Byłoby niełatwo bronić Czechosłowacji przed inwazją sowiecką gdyby 35 % Czechów i Słowaków sympatyzowało z Breżniewem i co piąty żołnierz czechosłowacki rzucał broń i uciekał. W Czechosłowacji — podobnie jak w Wietnamie, istniała sytuacja rewolucyjna. Lecz w Czechosłowacji partia i rząd realizowały rewolucję i dlatego za Dubczekiem i jego ludźmi opowiadał się cały naród. W południowym Wietnamie rząd reprezentuje wyłącznie koła zachowawcze i wojskowe. Lewicowcy i postępowcy siedzą w więzieniach.

Autentyczna sytuacja rewolucyjna — w przeciwieństwie do spisku czy zamachu stanu — musi być zrealizowana w programie radykalnych reform. Sytuację rewolucyjną można czasowo uśmierzyć czołgami i terrorem. Lecz wówczas trzeba by zająć zbrojnie cały Wietnam, tak południowy jak północny. Trzeba by również znaleźć wietnamskiego Dubczeka, który potrafiłby zbudować w Wietnamie „socjalizm z ludzką twarzą”. Tylko wówczas wietnamizacja byłaby polityką realną.

Nikt nie chce być satelitą sowieckim, amerykańskim czy chińskim. W południowo-wschodniej Azji — Ameryka jest daleko, lecz Chiny blisko. Z tych przyczyn byłoby możliwe popierać reżymy choćby komunistyczne, które pragną zachować niezależność zarówno od Rosji jak i od Chin. W interesie amerykańskim leży, by w południowo-wschodniej Azji było jak najwięcej „Jugosławii” i do tego należy dążyć.

E U R O P E I Z A C J A

Polacy są zwolennikami zjednoczonej Europy. Oczywiście zjednoczyć mogłaby się tylko Zachodnia Europa, ponieważ Wschodnia Europa jest już „zjednoczona” pod berłem Kremla.

W politycznie zjednoczonej Zachodniej Europie Niemcy odgrywałyby czołową rolę. Był czas kiedy Niemcy zachodnie były słabe i wówczas można było zmusić rząd w Bonn do uznania granicy na Odrze i Nysie. Wystarczyłoby gdyby partnerzy Niemiec z Ameryką włącznie — oświadczyli, że Zachód popierać będzie ideę zjednoczenia tylko wówczas jeżeli Niemcy uroczystie i oficjalnie zrezygnują z roszczeń terytorialnych, wybiegających poza granice obu republik. Lecz wówczas kiedy Niemcy były słabe — „zimna wojna” była w swojej szczytowej fazie i żadne koncesje na korzyść bloku państw komunistycznych nie wchodziły w grę.

Obecnie Niemcy są zbyt potężne, by można je było zmusić do czegokolwiek. Wydaje mi się jednak, że politycy niemieccy popełnili zasadniczy błąd domagając się zarówno zjednoczenia obu republik jak i ziem nad Odrą i Nysą. Do tej sprawy wrócimy za chwilę.

Dynamem ruchu zjednoczeniowego w Europie Zachodniej było zagrożenie sowieckie. Zagrożenie nie zmalało — lecz w rzeczywistości zagrożony jest ten, kto czuje się zagrożony. Sowietolodzy przekonali zachodnich Europejczyków, że najazd na Czechosłowację był objawem słabości a nie manifestacją agresywnej siły. Niepewni siebie przywódcy na Kremlu przerazili się iskierki wolności w Pradze i chcąc ratować swoje, rozpadem zagrożone, im-

perium — wylali brutalnie ocean wody, by ugasić ową maleńką iskierkę. To nie Europa Zachodnia tylko Rosja czuje się zagrożona od wschodu i zachodu.

Dopóki władzę we Francji sprawował gen. de Gaulle — „eurokraci” w Brukseli mieli gotowe alibi. Nie możemy się zjednoczyć bo... de Gaulle. Nie możemy przyjąć Anglii do wspólnego rynku bo... de Gaulle itd.

Generał de Gaulle wycofał się z życia politycznego lecz sprawa zjednoczenia Europy nie posunęła się ani o krok naprzód. W Anglii rośnie z każdym tygodniem procent ludzi, którzy zwątpili w sens małżeństwa Wielkiej Brytanii z kontynentalną Europą.

Bez względu na to czy się to komuś podoba czy nie — należy uznać, że Stany Zjednoczone wywierają silny wpływ na Europę Zachodnią. Prez. Nixon szuka nie tylko koniunkturalnego odprężenia z Sowietami — lecz dąży do rozszerzenia pola porozumienia z Kremlem w sprawie ograniczenia wyścigu zbrojeń.

Jeżeli Ameryka chce mieć *détente* z Sowietami — dlaczego Europa Zachodnia nie miałaby mieć również *détente* z Sowietami? Trwałe odprężenie umożliwiłoby dalsze obniżenia w budżetach zbrojeniowych — co odbiłoby się korzystnie na gospodarce i na finansach. Nie wszyscy w Europie Zachodniej mają tak twardą walutę jak marka niemiecka.

Co właściwie stoi na przeszkodzie w szukaniu trwałego odprężenia z Sowietami. Warunkiem odprężenia — jak powszechnie wiadomo — jest uznanie i ratyfikowanie *status quo* w Europie Wschodniej. Sowiety nie wysuwają żadnych nowych roszczeń — nie domagają się włączenia Austrii do swojej strefy wpływów i pogodziły się nawet ze *statusem* Jugosławii.

Istnieje tylko jeden problem, który komplikuje sprawę uznania *status quo*, a mianowicie Niemcy wschodnie. Amerykański *Newsweek* zauważył ostatnio, że „nie będzie przełomu (*breakthrough*) w kierunku trwałego pojednania w Europie dopóki nie nastąpi formalne, dyplomatyczne uznanie obecnych granic — włącznie z dyplomatycznym uznaniem przez Zachód komunistycznego reżymu w Niemczech wschodnich. Biorąc pod uwagę fakt, że Niemcy wschodnie są obecnie siódmą potęgą przemysłową świata — dyplomatyczna fikcja, że Niemcy wschodnie nie istnieją — staje się coraz bardziej nie do utrzymania”. Tyle znany tygodnik amerykański *Newsweek*.

Jeszcze kilka lat temu tego rodzaju „trzeźwy realizm” w prasie amerykańskiej byłby nie do pomyślenia. Dziś pisze się otwarcie, że jeżeli ceną za odprężenie w Europie jest uznanie Ulbrichta włącznie z jego berlińskim murem — należy to zrobić.

Niemcy zachodnie są zbyt potężne, by koncepcja zjednoczenia napawała entuzjazmem zachodnich Europejczyków czy Amerykanów. Bezpieczniej jest mieć na mapie Europy dwa państwa niemieckie niż jedno super-mocarstwo niemieckie.

Niemniej uznanie reżymu wschodnioniemieckiego stanowiłoby jednostronny sukces stalinowskiego kierownictwa na Kremlu. Zachód nie otrzymałby niczego w zamian.

Niebezpieczeństwo tego typu „Realpolitik” polega na tym, że w umysłach przywódców na Kremlu utrwaliłoby się przekonanie, że Europa Zachodnia gotowa jest płacić haracz za odprężenie i pokój. Stawką, którą mamy zapłacić jest uznanie Ulbrichta. Jeżeli dziś uznamy reżym NRD — jakiego haracz za pokój i odprężenie zażądają Sowiety za 5 czy 10 lat?

Sfederalizowana Europa Zachodnia byłaby zamkniętym klubem bogatych, wysoko uprzemysłowionych narodów. Gdyby kiedyś — na skutek wojny rosyjsko-chińskiej, rewolucji, czy z innych przyczyn — państwa wschodnioeuropejskie odzyskały niezależność — istniałaby przepaść między systemami gospodarki i bogactwem zjednoczonego Zachodu i rozproszkowanego wschodu Europy. Eurokraci w Brukseli od dwóch lat debatują czy przyjąć Wielką Brytanię do wspólnego rynku — a emigracyjni entuzjaści wyobrażają sobie, że Polskę z jej fikcyjną walutą przyjęliby z otwartymi rękami. Sfederalizowany kapitał zachodnioeuropejski uważałby wówczas Wschodnią Europę za teren nadający się do eksploatacji i za nic więcej. To byłaby gra tak nierównych partnerów, że nie moglibyśmy jej korzystnie rozegrać. Federacja ubogich z bogatymi nigdy nie wychodzi na dobre ubogim. Europa Wschodnia musi być wprawdzie scalona gospodarczo i politycznie by mogła szukać powiązań z Europą Zachodnią jak równy z równym.

SURREALIZM TRIUMFUJĄCY

Jednym z niewielu uroków świata komunistycznego jest fakt, że dzieją się tam rzeczy jakie zawodowym filozofom się nie śniły. Rodzona córka Stalina podarła paszport sowiecki i stara się o obywatelstwo amerykańskie a prof. Schaff — wyrocznia marksizmu — ląduje na ławie oskarżonych obok Kuronia, Modzelewskiego, Mieroszewskiego, Kołakowskiego i sporej garści innych. Aby było zabawniej, powołano Mieroszewskiego na świadka oskarżenia w procesie przeciwko Schaffowi.

Nie poczuwam się do koleżeństwa z prof. Schaffem — niemniej dzieję z nim obszerną ławę oskarżonych w książce (300 stron!!) Walerego Namiotkiewicza pt. „Myśl polityczna marksizmu a rewizjonizm”.

Przed kilku laty, w Bibliotece *Kultury* ukazała się moja książka pt. „Ewolucjonizm”. Można powiedzieć, że aparatczycy w kraju wyświęcili „Ewolucjonizm” do rangi klasycznego dzieła rewizjonizmu. Nie sądzę by jakakolwiek inna książka napisana na emigracji była tylkrotnie cytowana i omawiana w prasie i w publikacjach krajowych. Uznano bowiem zgodnie, że ewolucjonizm stanowi najbardziej perfidną odmianę rewizjonizmu. Trudno się dziwić tej opinii — jeżeli ofiarą tej perfidnej odmiany rewizjonizmu padł sam prof. Schaff, jak stara się to udowodnić Walery Namiotkiewicz, uczony w piśmie i były osobisty sekretarz Gomułki.

Nieszczęśny prof. Schaff napisał w *Przeglądzie Kulturalnym*, nim owe pismo zlikwidowano — co następuje:

„Uważam p. Mieroszewskiego za wyjątkowo inteligentnego i błyskotliwego publicystę politycznego. Niejednokrotnie też pisze on rzeczy ciekawe i oryginalne politycznie, które — niezależnie od zgody na zawarte w nich koncepcje — warto by przedrukować u nas ze względu na inteligentną analizę”.

Powyższa pochwała mnie na nic się nie przydała, a Schaffowi niezmiernie zaszkodziła. Namiotkiewicz w oparciu o tę wypowiedź stwierdza, że Schaff odrzuca klasowe kryteria przy interpretacji zjawisk ideologii i polityki. Mało tego, domaga się, by publicystę rewizjonistycznego pisma przedrukowywano w Kraju!

Jak się znosi ciężki to przynajmniej trzeba wiedzieć za co. Gdyby Schaff stanął w obronie Kuronia i Modzelewskiego, gdyby bronił Kołakowskiego, gdyby stanął po stronie studentów w okresie wydarzeń marcowych — jego pozycja byłaby jasno określona. Lecz Schaff nie jest rewizjonistą i nigdy nim nie był. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że prof. Schaff czułby się lepiej pod Dubczekiem niż pod Gomułką. Lecz polskiego Dubczeka z całą pewnością, by potępił i dołączyłby do niego dopiero wówczas gdyby był przy władzy.

Namiotkiewicz skrytykował bezlitośnie cały dorobek pisarski Schaffa — książka po książce, artykuł po artykule. Zarzucił mu, że fałszywie interpretuje podstawowe tezy marksizmu i błędnie przetłumaczył pewne wypowiedzi Marksa z oryginału niemieckiego.

Są sytuacje w których nie można zajmować pozycji centrowej. Są sytuacje w których „złoty środek” jest mitem. Trzeba być albo „za” albo „przeciw”. Schaff nie był dostatecznie „przeciw” i nie był dostatecznie „za”. Ponieważ w Polsce nie ma marginesu centrowego — Namiotkiewicz wepchnął go w szeregi tych, którzy są „przeciw”. I tak oto Schaff został rewizjonistą mimo że nawet w snach o tym nie marzył. Przecież to on zapewniał nas tyłkrotnie, że rewizjonizm jest pojęciem martwym.

Sporo miejsca poświęcił *Kulturze* i jej współpracownikom Leszek Gabriel w swojej książce pt. „Imperialistyczna Dywersja”.

Książka Fillera o paryskiej *Kulturze* doczekała się trzeciego wydania. W kraju powstaje specjalna gałąź wiedzy, którą należałoby nazwać „kulturologią”. *Kultury* nie wolno czytać — lecz o *Kulturze* wolno czytać ile dusza zapragnie. Czy ocena zjawisk ideologicznych kryteriami klasowymi polega na tym, że obywatele uważa się za niedorozwiniętych idiotów, którzy nie są zdolni do wyrobienia sobie własnej opinii w żadnej sprawie?

A P E L

Otrzymuję wiele listów od naszych Czytelników z prośbą o informacje, radę czy pomoc w załatwieniu takiej czy innej sprawy. To jest zgodne z polską tradycją i zwyczajem. Przed wojną, w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym*, moi koledzy, którzy pracowali na odcinku lokalnym i mieli swoje „chody” w magistracie, w województwie i w innych instytucjach — byli zasypywani listami od czytelników. W Polsce niepodległej legitymacja prasowa otwierała wiele drzwi trudno dostępnych dla zwyczajnych śmiertelników.

Sprawy powierzane mojej opiece przekraczają często zakres — nie mojej dobrej woli — lecz moich realnych możliwości. Nie potrafię na przykład pomóc przy zamianie domu pod Nowym Jorkiem na dom w Kent. Nie umiem również doradzić jak należy rozwikłać spór naszego Czytelnika w Chicago z towarzystwem asekuracyjnym. Z Kraju proszono mnie o pomoc w opatentowaniu technicznego wynalazku w Wielkiej Brytanii.

Osobną kategorię stanowią listy na temat prześladowań. Pan X — twierdzi, że nie otrzymał pracy bo jest pochodzenia wschodnioeuropejskiego. Pan Y — utrzymuje, że śledzi go Bezpieka, pan Z — uważa, że prześladowuje go jego zwierzchnik, który z pochodzenia jest Niemcem i byłym hitlerowcem. Jest rzeczą zdumiewającą ilu Polaków na tzw. „wolnym zachodzie” uważa, że są prześladowani. Wydaje mi się, że w 80 wypadkach na 100 — sądząc

po wieku odnośnej grupy Czytelników — to jest kompleks wywieziony z łagrów sowieckich i z niemieckich obozów koncentracyjnych.

Jestem zawsze gotów służyć informacją, radą czy pomocą. Chciałbym natomiast zaapelować do Czytelników by nie dołączali do swych listów oryginalnych dokumentów tylko odpisy względnie fotokopie. Polacy mają niezłomną wiarę w listy i przesyłki polecone. List polecony idzie dwa razy dłużej od listu zwyczajnego, a w razie zaginięcia przesyłki poleconej rekompensata jest minimalna. Niemniej Czytelnicy, którzy przysyłają mi oryginalne dokumenty listem poleconym, proszą o zwrot owych dokumentów również listem poleconym.

Nie mam ani biura ani sekretarki, ani budżetu, który umożliwiałby mi pokrywanie tego typu wydatków. Dlatego jeszcze raz serdecznie proszę, by nasi Czytelnicy nie przysyłali mi oryginalnych dokumentów tylko zawsze odpisy lub fotokopie nie podlegające zwrotowi.

LONDYŃCZYK

MARIAN KUKIEL

GENERAL SIKORSKI

Monografia

Cena 30/-, \$ 4,00

Stron około 270

Zamówienia prosimy kierować do:

Księgarnia K.O.W. Veritas,
4-8, Praed Mews, London, W.2., England

Niemcy na zakręcie

NOTATKI Z POWYBORCZEJ PODRÓŻY PO NRF

Jest połowa października. Nad Renem — piękna, złota jesień. W winnicach pęcznieją winogrona. „Rzadki rok, wino będzie dobre” — zapewniają przybysza winiarze i szynkarze. Rzadki rok także i w polityce. Zmiana warty nad Renem wyrwała ten jeszcze do niedawna prawie apolityczny naród z długoletniej drętwoty. Wędrując po URF czuje się niemal fizycznie, namacalnie, jak Niemcy Zachodnie głęboko przeżywają polityczny przełom. Hotele, bary i winiarnie, tradycyjne „sztamtisze”, ba, nawet domy parafialne i nocne lokale huczą polityką. Już nie spotyka się typowych scen z dawnej i niedawnej przeszłości, kiedy to publiczność w gospodzie wołała do właściciela, żeby wyłączył dziennik radiowy czy telewizyjny. W chwili kiedy włączają nowy dziennik gwar nagle cichnie. Wiadomości z Bonn interesują każdego. Posępnego chadeka i optymistycznego socjaldemokratę, zawiedzionego NDP-owca i na pół przegranego i nagle zwycięskiego liberała.

Największe trzęsienie ziemi w samej stolicy. Z białego secesyjnego pałacyku Schaumburg, który napierw zasłynął romansem Wiktorii, leciwej siostry cesarza Wilhelma, z rosyjskim dezertrem i obieżyświatem by po latach stać się siedzibą zachodnioniemieckich kanclerzy, ziele pustką i ciszą. Ostatnim wielkim zbiegowiskiem był przedwyborczy letni raut u Kiesingera. Nikt wówczas spośród tysiąca gości nie przypuszczał zapewne, że to ostatni raut u *grand seigneur'a* z dalekiej Szwabii. Wprawdzie wieczorami świeci się jeszcze w dwóch oknach pałacu, ale eksmisja zbliża się milowymi krokami. Już niedługo zamieszka tu kanclerz Willy Brandt.

W tej zmianie tkwi coś symbolicznego. Odchodzi przedstawiciel mieszczańskiej formacji politycznej, która w latach hitleryzmu poszła na kolaborację ze zwycięskim reżymem, człowiek, który nigdy nie zaznał losu tropionego zwierzęcia z opozycji ani gorz-

kiego chleba emigracyjnego ponieważ. W podwoje Schaumburskiego pałacu wchodzi dziecko ludu, syn praczki z Lubeki, żołnierz republikańskiej Hiszpanii, członek norweskiej antyhitlerowskiej i antyquislingowskiej organizacji podziemnej, a pod koniec wojny i po wojnie oficer armii norweskiej. Dwa razy sięgał po władzę i dwa razy przegrał. Po takich dwóch przegranych trzeba było mieć dużo uporów, żeby jeszcze raz stanąć do walki wyborczej i ubiegać się o krzesło kanclerza. Brandt dopiął swego i teraz szykuje się do stworzenia gabinetu i do kanclerskiego *exposé*, które wytyczy program koalicji SPD-FDP.

Dla wielu Niemców fakt ten jest wciąż jeszcze poważnym wstrząsem. Przywykli w ciągu dwudziestu lat, że Bonn rządzi CDU i że władza spoczywa w jej ręku jak w dynastycznej monarchii. Mimo tego, że po roku 1966 struktura władzy, na skutek wielkiej koalicji, uległa gruntownej zmianie nie odbiło się to bardziej w opinii publicznej. To co nastąpiło po wrześniowych wyborach zaskoczyło połowę społeczeństwa. Ta połowa nie może się oswoić z realiami. Najtrudniej to przychodzi aktywistom dotychczas nieprzerwanie rządzącej partii czy raczej dwóch sprzęgniętych sojuszem i światopoglądem północno-zachodniej CDU i południowej CSU.

Ludzie do niedawna dzierżący władzę nigdy nie liczyli się z przejściem na ławki opozycji. Na ławach CDU-CSU szerzy się nastrój przygnębienia, rozterki, popłochu. Co będzie dalej? — zadają sobie pytanie głośno lub po cichu wszyscy, którzy w ciągu dwudziestolecia związali się z chadekami. Centralna biurokracja już się zaczyna urządzać. W bońskich ministerstwach wieje wiatrem oportunistów. Mało kto jest gotów sabotować nową koalicję. Stanowisko, prestiż, gaża — to potężne siły napędowe, które dyktują ugodową pozycję wobec nadciągających ministrów i podsekretarzy stanu. Nawet w prasie CDU-CSU — z wyjątkiem Strausowskiego *Bayern kurier* — widać osłabienie kursu anty-socjal-demokratycznego.

W samej partii chadeckiej trwa trzęsienie ziemi. Za kulisami, na samej górze, drąży wciąż to samo pytanie: kto winien? Kanclerz Kiesinger spycha winę na generalnego sekretarza i organizatora kampanii wyborczej Hecka, ten zaś obarcza odpowiedzialnością Kiesingera. Przeciwno obydwom rośnie fala opozycji. Strauss trzyma się na uboczu, ale wydaje się, że i on w tej chwili nie bardzo widzi jaki kurs obrać, kogo poprzeć, a kogo zwalczać. Ale już w jego pierwszych opozycyjnych poczynaniach zabrzmiały pewne niebezpieczne nutki nacjonalizmu. Publikuje w gazetach bawarskich płatne, półstronicowe ogłoszenia, zapowiadając w nich nieubłaganą walkę „przeciwko wyprzedaży praw narodu niemieckiego”.

Jak dotąd jest to głos odosobniony. W nadreńskiej CDU, na lewym socjalno-robotniczym skrzydle Katzera, wśród „Młodej Unii” (coś w rodzaju „Legionu Młodych”), a szczególnie w szeregach „Chrześcijańsko-Demokratycznych Studentów” szerzy się opozycja. Młodzi żądają ustąpienia starej gwardii. Rośnie opór

przeciwko pravicowym i nacjonalistycznym tendencjom. Na razie wszystko to się kotłuje, miesza, kipi. Trudno przewidzieć czy tym postępowym siłom uda się zahamować groźący zwrot na prawo, od koncepcji europejskiej ku prądom izolacjonistyczno-narodowym. Do pierwszej wielkiej batalii pomiędzy skłóconymi grupami dojdzie chyba w połowie listopada na zjeździe CDU w Monacji.

A tymczasem nadchodzi godzina przejęcia władzy przez socjaldemokrację z liberalnym jęczyzkiem u wagi, czyli ze słabą FDP. Wielu socjaldemokratów obawia się, że ta nierówna spółka może zakończyć się fiaskiem. Niektórzy nie dowierzają liberałom, posądzając ich — a przynajmniej część frakcji — o ciągotki pravicowo-zachowawcze. Chadeacy czynią wszystko, nie gardząc przynętą synekur, aby utracić nową koalicję. Dotychczas niewiele tym wskórali. W partii liberalnej nastąpił zwrot na lewo, czego chadeacy dotychczas w pełni nie ocenili. Nie znaczy to bynajmniej, że w nowej koalicji nie będzie tarć. Konflikt może nastąpić zarówno na froncie wewnętrznym jak też w dziedzinie polityki zagranicznej. Socjaldemokraci zaangażowali się od dawna w sprawę współrzędów robotniczych w fabrykach. Liberałowie taki system odrzucają. Na tym tle CDU może uknuć zręczną intrygę. W polityce zagranicznej główne niuansy dotyczą Sowietów i NRD. Socjaldemokraci z Brandtem na czele chcieliby raczej najpierw uregulować sporne sprawy z takimi krajami jak Polska i Czechosłowacja, a dopiero potem szukać dróg do odprężenia z Moskwą i Wschodnim Berlinem. Podobno politycy FDP zapatrują się na te zagadnienia wręcz odwrotnie. Nic w tym dziwnego. W tradycjach tej partii leży droga do Rapallo. Oprócz tego na kierowniczych stanowiskach znajdują się tam działacze, którzy swego czasu uciekli z Niemiec Wschodnich. Stwarza to specyficzne warunki, sprzyjające interesom NRD, gdyż działacze tego pokroju gotowi są pójść na koncesje, wynikające z silnego instynktu regionalnego.

Główną sprawą będzie jednak kwestia jaką koncepcję opozycji wybierze CDU-CSU. Jeżeli zwycięży kierunek europejski, to nowy rząd w Bonn będzie miał dość duże pole do manewrów w polityce wschodniej. Jeśli zwycięży tendencja narodowa — wówczas będzie gorzej. Oznaczałoby to swoisty powrót do sytuacji jaka panowała w Republice Weimarskiej w stosunku Europy Wschodniej — z wyjątkiem Rosji — i która faktycznie doprowadziła do zguby republiki. Teza o „wyprzedaży praw narodu niemieckiego”, użyta w celu obalenia koalicji, mogłaby mieć katastrofalne następstwa. Oznaczałoby to, że mimo nieobecności NDP w parlamencie, jej hasła i taktyka przyświecają innej, i to zarówno ilościowo jak i jakościowo, o wiele ważniejszej partii. Należy się obawiać, iż skonfrontowana z taką demagogią narodowców koalicja obrałaby bardzo ostrożny kurs. Ale dla demagogów, istnieje również groźba rozłamu partii na dwa obozy: europejski i nacjonalistyczny.

Bohdan OSADCZUK

Przegląd niemiecki

PO WYBORACH

Wybory z 28 września rb. pozornie mało zmieniły oblicze *Bundestagu*. Nadal reprezentowane będą tylko unia chrześcijańsko-demokratyczna, socjaliści i partia wolnych demokratów. Neo-naziści NPD nie otrzymali ani 5 % ogółu głosów, ani bezpośredniego mandatu i nie wejdą do *Bundestagu*. Na komunistów i inne drobne grupki polityczne głosowało niespełna 1,1 % wyborców. Chadeacy łącznie z socjalistami zwiększyli ilość mandatów z 447 na 466. Wolni demokraci stracili 19 mandatów. Jednak nieznaczne na pozór przesunięcia powodują, że chrześcijańska demokracja, sprawująca rządy od chwili utworzenia po wojnie Niemieckiej Republiki Związkowej, przechodzi do opozycji. Rząd obejmują socjaliści wsparci głosami wolnych demokratów.

Wyborca niemiecki oddaje dwa głosy: pierwszy imiennie na jednego z kandydatów danego okręgu wyborczego, a drugi na jedną z dopuszczonych do wyborów partii. Można oddać pierwszy głos na członka jednej partii, a drugi na inną partię. Taki sposób głosowania nie jest rzadkością. W podziale mandatów z list państwowych uczestniczą partie, które otrzymały co najmniej 5 % ogółu głosów, lub które zdobyły co najmniej trzy bezpośrednie mandaty. Do *Bundenstagu* wchodzi 248 posłów, po jednym wybranym imiennie z każdego z 248 (obecnie) okręgów wyborczych, oraz 248 posłów z krajowych list partyjnych.

Uprawnionych do głosowania było około 17,5 miliona mężczyzn i około 21,1 miliona kobiet. Udział wyborców w głosowaniu wzrósł do rekordowej w Niemczech liczby 88,6 %.

W uprawnieniach parlamentarnych posłowie wybrani imiennie niczym nie różnią się od posłów z list państwowych, ale w ocenie przemian, nurtujących społeczeństwo niemieckie, ilość bezpośrednich mandatów może wiele wyjaśnić. Z powyższego zestawienia widać wyraźny przyrost bezpośrednich mandatów SPD z 94 na 127 i spadek unii CDU/CSU ze $118 + 34 = 154$ na $87 + 34 = 121$. Wyraźnie też zmalała różnica między ilością posłów unii CDU/CSU a socjalistami. W ubiegłej kadencji wynosiła $245 - 202 = 43$ mandaty, obecnie $242 - 224 = 18$.

Geograficzne rozmieszczenie bezpośrednich mandatów wskazuje, że duże miasta i okręgi przemysłowe stają się domeną SPD. Wszystkie duże miasta wybrały z list bezpośrednich wyłącznie posłów-socjalistów. Hamburg — 8, Monachium — 5, Kolonia — 4, Frankfurt — 3, Hanower — 3, Brema — 3, Dortmund — 3, Stuttgart — 3, Norymberga-Erlangen — 3. Wyjątek stanowi Düsseldorf — stolica najbogatszego okręgu przemysłowego — reprezentowany przez czterech socjalistów i jednego chadeka. Podobne wyniki widzimy i w mniejszych miastach.

Badania demoskopijne potwierdzają, że nie tylko warstwa pracobiorców, ale i inteligencja miejska, a zwłaszcza młodsze pokolenie, wykazują wzrost popularyści SPD. Wpływy unii CDU/CSU utrzymują się w starszym po-

koleniu i na prowincji. Wszystko to upoważnia do wniosku, że kierownicze stanowisko w Niemczech przesuwają się z unii chadeckiej na SPD.

Kluczową pozycję w dokonaniu tego przesunięcia dzierży trzydziestu posłów FDP. Wolni demokraci, zorganizowani w 1948 roku w partię FDP, wywodzą swe pochodzenie z dziewiętnastowiecznych liberałów. Są partią polityczną tradycyjnie ulegającą znacznym fluktuacjom. W czwartej kadencji *Bundestagu* mieli 67 posłów, w obecnej szóstej — trzydziestu. Takim wahanom liberałowie podlegali wielokrotnie w swej historii, zapoczątkowanej w 1815 roku, nigdy całkowicie nie tracąc znaczenia, a wielokrotnie odgrywając poważną rolę.

Od 1950 roku w FDP wyraźne były dwa kierunki. Mocniejszy, popierający współpracę z unią chadecką, i słabszy, „lewicowej” barwy. Po kryzysie kanclerskim prof. Erharda, gdy FDP znalazło się w opozycji, tarcia wewnętrzne doprowadziły do zmian w zarządzie partii. Kierunek „lewicowy” (bardzo nieściśle określenie, dlatego podaję je w cudzysłowie) wzmógł się, co uwidoczniło się przy wyborze dra G. Heinemanna na prezydenta. Obecny prezes FDP, Walter Schell, w ostatniej fazie kampanii przedwyborczej, zachowując wszelkie dyplomatyczne możliwości współpracy zarówno z SPD jak i z CDU, nie ukrywał osobistych inklinacji ku SPD.

W czasie wyborów odpadło od FDP sporo szeregowych partyjnych i posłów chadeckiego nastawienia, a proces odpływu do chadecji nie jest jeszcze zakończony. Ale i ruchy w odwrotnym kierunku też istnieją i mogą się dalej rozwinąć. Wybory przyniosły partii utratę 19 mandatów (prawie 40 %), ale ta klęska, jak się wydaje, umocniła „lewicową” spoistość FDP. Z obecnych trzydziestu posłów kilku wykazuje jeszcze chadeckie tęsknoty, lecz niewątpliwie zachowa dyscyplinę partyjną przy tworzeniu nowego rządu. Czy owa „lewicowa spoistość” w ciągu czteroletniej kadencji doprowadzi FDP do nowego wyżu jakościowego i ilościowego, czy spowoduje zniknięcie z areny politycznej — przyszłość pokaże. Na razie FDP zdecydowała poprzeć rząd SPD. Trzeciego października zarządy główne SPD i FDP, poparte decyzjami rządów krajowych, zdecydowały utworzenie koalicji rządowej. Prezesi obu partij, Willy Brandt i Walter Schell, udali się do prezydenta Heinemanna z zawiadomieniem o powziętej decyzji.

Jeżeli nie zajdą jakieś niezwykle wydarzenia to pod koniec października powstanie rząd kanclerza Willy Brandta, poparty przez FDP, a unia ogólnoniemieckiej CDU i bawarskiej CSU, po dwudziestu latach władzy, przejdzie do opozycji.

O skutkach tak zasadniczej zmiany rządów, w najmocniejszym gospodarczo kraju Europy, byłoby przedwczesne mówić obecnie. Można tylko stwierdzić, że nowy rząd nie będzie miał łatwego żywota. Zawitych problemów czekających rychłego rozwiązania jest mnóstwo, a przywykła do władzy i nie posiadająca doświadczenia opozycyjnego chadecja nie będzie skąpić fatygi, aby ten żywot utrudnić. Nie zabraknie też opozycyjnych polityków, których jedyną ważną troską będzie obalenie tworzącego się rządu SPD-FDP.



Wybory wrześniowe rozwiązały skomplikowane zagadnienie jawności partii komunistycznej. Teza kanclerza K. G. Kiesingera, że komunizm w Republice Związkowej należy zwalczać demokratycznymi środkami, okazała się

skuteczna. Znikoma ilość głosów na listy związane z komunistami przesądza, że w obecnych warunkach jawne istnienie tej partii jest mniej szkodliwe od rygorystycznego stosowania jej zakazu.

Prawnie zakaz taki nadal obowiązuje. Został wprowadzony za rządów Adenauera. Początkowo był dość rygorystycznie stosowany i dotychczas nie był anulowany. Po otrzymaniu zobowiązania że komuniści będą honorować paragrafy konstytucji, rząd Kiesingera zezwolił ich przywódcy na powrót do Niemiec Zachodnich i umożliwił jawny udział w wyborach.

Po doznanej porażce wyborczej komuniści będą zapewne przysparzać wiele kłopotów i pracy urzędowi bezpieczeństwa, ale przestają być kłopotem politycznym dla gabinetów ministerialnych.

Druga bolączka społeczeństwa niemieckiego, neonaziści NPD, nie została tak radykalnie zażegnana przez wybory jak komunistyczna. Wprawdzie NPD nie wchodzi do nowego *Bundestagu*, ale milion czterysta dwadzieścia tysięcy głosów oddanych na tę partię dowodzi, że groźba wzmożenia się tej bolączki nadal będzie dokuczać i że może dopiero wybory do parlamentów krajowych uporają się z nią ostatecznie. Na razie trzeba poprzestać na stwierdzeniu, że pięcioprocentowa klauzula konstytucyjna pomyślnie zabezpieczyła Republikę Związkową przed nie dającymi się przewidzieć powikłaniami wewnętrznymi, a może i międzynarodowymi, jakie spowodować mogłoby wejście NPD do *Bundestagu*.

Utworzenie rządu SPD/FDP wyprowadza Republikę Związkową z niezdrowej sytuacji, wytworzonej ostatnio przez brak opozycji stanowiącej alternatywę działającego rządu. Jeżeli unia CDU/CSU, znalazłszy się w opozycji, działalność swoją skoncentruje przede wszystkim na przygotowaniach następnego rządu, lepszego może niż tworzony przez SPD i FDP, a nie na próbach obalenia rządu Brandta, będzie to dowodem ostatecznego ustalenia się w Republice Związkowej, ładu demokratycznego w zachodnim tego słowa znaczeniu, ładu którego istnienie w Niemczech wielu polityków zagranicznych wciąż jeszcze stawia pod znakiem zapytania.



Jestem jeszcze winien odpowiedź panu J. G. Görlichowi na jego list do redakcji, zamieszczony w poprzednim numerze *Kultury*. Dyskusja na temat czy CDU/CSU mogłaby współpracować z NPD jest obecnie — gdy NPD nie weszła do *Bundestagu* — sporem na temat „co by było gdyby...”. Jałowa to dyskusja, ale jeśli pan Görlich ma ochotę ją prowadzić, to będę mu wdzięczny za udzielenie odpowiedzi na pytanie: co by było, gdyby NPD otrzymała o 0,7 % więcej głosów, a gdyby FDP nie wzięła pięcioprocentowej przeszkody przy jednoczesnej nieznacznej przewadze mandatów unii nad mandatami socjalistów. Takie wyniki wyborów były bardzo bliskie urzeczywistnieniu. Poza tym wyrażam panu Görlichowi podziękowanie za światłe pouczenia zawodowego publicysty, udzielone przypadkowemu korespondentowi.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 6 października 1969 r.

Lenin za gumę do żucia

Dworzec „Liverpool Street Station” w Londynie; sobota, dziewiątego sierpnia br., godzina dziesiąta rano. Właśnie odjechał pociąg do Harwich, zabierając ze sobą 31 chłopców i trzech nauczycieli. Dla grupy ze szkoły „City of London” rozpoczęła się wycieczka do Związku Sowieckiego.

Wiek chłopców jest mniej-więcej od piętnastu do siedemnastu lat. Mając piętnaście lat, jestem jednym z młodszych. Jestem również jedynym chłopcem polskiego pochodzenia w naszej grupie.

Pierwszą fazą naszej wycieczki jest dojazd koleją do Moskwy, który ma trwać ponad 50 godzin. Jedziemy popularną dla polonii angielskiej trasą Harwich-Hoek van Holland-Warszawa, ale bez przygód dojeżdżamy tylko do Berlina. Na dworcu „Berlin Ostbahnhof”, gdzie mamy się przesiąść do pociągu z wagonami sypialnymi (pierwszą noc spędziliśmy na dosyć wygodnych kuszetkach), zachodzi mała niespodzianka — pociągu tego nie ma. Okazuje się, że został wycofany przez koleje wschodnoniemieckie, i że trzeba łapać „pierwszy-lepszy” pociąg, który okazuje się pociągiem polskim, nie sypialnym, idącym do Warszawy.

Przez całe Wschodnie Niemcy daje się nam porządnie we znaki kontrola paszportowa, która jest wyjątkowo staranna. Na jedną pieczętkę w paszporcie przypada ośmiu urzędników. Najpierw jeden otwiera drzwi od przedziału i mówi *guten Morgen* (względnie *guten Abend*). Następnie drugi mówi coś w rodzaju *Passkontrolle* i przyjmuje paszporty. Trzeci stawia stempel, a czwarty mówi *auf wiedersehen* i zamyka drzwi, które się znowu otwierają kilka minut później, ponieważ następna czwórka chce sprawdzić, czy poprzednia wykonała poprawnie swoje zadanie.

Pociąg polski jest wyjątkowo luksusowy. Przede wszystkim istotne jest, że znajduje się w nim wagon restauracyjny, z którego większość grupy (mimo wałówek olbrzymich rozmiarów) chciałyby skorzystać. Ponieważ mówię po polsku, zostaję wysłany na zwiady. Dowiaduję się od konduktora, który w czasie postoju w Berlinie zdążył wyskoczyć na kilka głębszych, że „Warsa uruchomią dopiero na granicy”, a do tego czasu „można tylko palce lizać, ha, ha”. Na granicy oczywiście nic nie uruchamiają, jest tylko postój półtoragodzinny, który schodzi na tłumaczeniu jakiegoś ponuremu i nieogolonemu urzędnikowi polskiemu, że mamy bilet i wizę zbiorową, a nie indywidualne, oraz na wypisaniu niezbędnych deklaracji pieniężnych. Gdy wreszcie, o jakiejś jedenas-

tej rano, pociąg wyrusza z Kunowic, udaję się ponownie do „Warsa”. Nic oczywiście jeszcze nie działa. „Za pół godziny”, mówi jakiś dobrze poinformowany facet. „Spróbuj wtedy”.

Parówki à la PKP

Rzeczywiście, gdy o jedenastej trzydzieści znów przychodzę do wagonu restauracyjnego, zastaję tam drzwi otwarte, i nawet jednego kelnera, który informuje mnie tonem lekko podenerwowanym, że oczywiście można teraz coś zjeść. Na pytanie, czy przyjmie w zapłacie za posiłek w funtach, mówi mi tonem jeszcze bardziej zdenerwowanym, że co to za jakieś dowcipy, i że trzeba płacić złotówkami. Informuję go, że takowych nie posiadamy, na co on: „A od czego Orbis?”. Z dalszej rozmowy wynika, że jest na drugim końcu pociągu przedział „Orbisu”, gdzie można zmienić pieniądze. Po dłuższych pertraktacjach kelner zgadza się jednak przyjąć marki niemieckie, które posiadają niektórzy chłopcy. Zadowoleni, siadamy do stołu. Mniej zadowoleni wstajemy po konsumpcji tzw. „drugiego śniadania”. Za dwie parówki, kilka kawałków chleba, i szklankę herbaty rachunek wynosi osiem marek (prawie dwa dolary). Niedosć, żeśmy zapłacili te osiem marek, jeszcze kelner nas zatrzymuje w drzwiach i stara się w nas wmówić, żeśmy nie zapłacili za oranżadę. Tłumaczę mu, że nikt nie pił oranżady. W końcu ulega, zapraszając nas na odchodnym na „bardzo smaczny obiadzik”.

Wreszcie, w niedzielę o szóstej wieczorem, przyjeżdżamy do Warszawy. Pociąg dalej nie jedzie. Następne zadanie: znaleźć pociąg do ZSSR.

Warszawa-Brześć

Dworzec „Warszawa Gdańska”, przyjmujący pociągi z wielu krajów Europy, jest kontrolowany przez jedną panią w wieku bliżej nieokreślonym, która ma na ramieniu opaskę z napisem „dyżurna” a w ręku dzierży, niczym miecz, pałkę z czerwonym kółkiem. Pani „Dyżurna” macha pałką, sztorcuje maszynistów, woła na ludzi żeby zeszli z torów, klnie na czym świat stoi, wreszcie leci do małej, oszklonej budki, gdzie nastawia odpowiednie sygnaly i przyjmuje telefony. Nic więc dziwnego, że nie ma czasu się zająć naszą grupą. Informuje nas tylko krótko i zwięźle, że następny pociąg do Berlina właśnie odchodzi, i oddala się, zanim mogę jej wytłumaczyć, żeśmy właśnie stamtąd przyjechali. Na szczęście zjawia się zbawicielka w postaci pani „Informacji”. Pani „Informacja” nie ma ani opaski, ani pałki z kółkiem — jedyna

rzecz, która odróżnia ją od pospolitej ludności to blok z napisem „Orbis”, który trzyma w ręku. Usłyszawszy w czym rzecz, proponuje żebyśmy wzięli pociąg do Terespoła (pogranicznej stacji po polskiej stronie), którego niektóre wagony przejeżdżają przez granicę do Brześcia (w Brześciu „Inturist” — sowiecki odpowiednik „Orbisu” — ma w pogotowiu sypialne wagony do Moskwy). Ale — dodaje — miejsc jest mało.

Drugie rozwiązanie — to wziąć sypialny rosyjski wprost do Moskwy, ale — tu pani „Informacja” ścisza poufnie głos — trzeba to uzgodnić z konduktorką. „Uzgodnić”, jak się okazuje, to znaczy zapłacić coś w okolicy stu dolarów. Nasz kierownik grupy — nauczyciel rosyjskiego — mówi że nie posiada tyle gotówki, ale „Inturist” może zwrócić koszty w Brześciu. Na to konduktorka się wycofuje i mówi, że nagle sobie przypomniała, że nie ma wolnych miejsc. Jedyna więc odpowiedź — brać polski pociąg.

Łatwo powiedzieć — „wziąć polski pociąg”. Przedziały prawie wszystkie pełne, korytarze wąskie, i w dodatku zastawione stertą walizek. Wrodzona polska natura poleca mi przepchać się przez tłum. W jednym z przedziałów są trzy pozornie zajęte miejsca, które rezerwuję dla siebie i dwóch kolegów. Przedstawiam się współpasażerom jako „turysta z Anglii”, tłumacząc, że moi koledzy nie umieją po polsku. Pasażerowie okazują zainteresowanie, i zadają mi pytania typu „do której klasy chodzisz?”, itp. Tego pytania obawiam się najbardziej i najczęściej słyszę. Odpowiadam, że w Anglii system szkolny jest nieco inny. Wywiązuje się stereotypowa dyskusja nad zaletami obu systemów. Jeden z mych kolegów kieruje wzrok w stronę okna, przez które właśnie widać motocykl. Paniusia siedząca obok mnie nagle okazuje żywe zainteresowanie:

— A u was w Anglii motocykliów to nie ma?

A następnie, po chwili namysłu, dodaje:

— Bo u nas to są.

— Tylko że warczą — odzywa się jakiś głos z kąta.

— Ale są — paniusia na to.

Z kolei rozmowa przechodzi na temat znaczka z napisem „Wilson for ex-premier”, który mam przyklejony do swetra. Przetłumaczywszy napis dodaje, że w Anglii jest wolność słowa, i że mamy prawo mówić, że nie chcemy premiera. Odzywają się głosy podziwu i aprobaty, tylko paniusia nie jest przekonana. Nie mogę jej jednak przekonać, bo w tej chwili zjawia się konduktor.

— Wszyscy do innego wagonu. Tu grupa turystów.

Polacy wolno wstają. Czuję się głupio, że wyrzucam rodaków. Jeden facet próbuje się kłócić.

— A dlaczego my, a nie oni? — na co konduktor z wrodzoną polską uprzejmością odszczekuje:

— Jedni idą, jak im mówią, a są inni, co się głupio kłócą.

Pytam konduktora mimochodem, kiedy dojedziemy do Teresopola. Najpierw chce mnie wyrzucić z innymi, ale widząc moje „*Wilson for ex-premier*” zmienia ton. Odpowiada grzecznie, że za trzy godziny powinniśmy być na miejscu. Zaraz potem zjawia się w przedziale ze znaczkami z napisem „*Kopengagien-Moskwa*” (po rosyjsku) i rozdaje je, dodając, że bardzo ładnie mówię po polsku, i że gdybyśmy chcieli herbatki, to można ją skombinować. Mówię, że dziękujemy, ale wolimy się przespać, z tymi słowami kładziemy się możliwie najwygodniej na siedzeniach.

Nie jest mi jednak dane spać, gdyż ten sam konduktor zjawia się znowu po mniej-więcej dwudziestu minutach i dyskretnie prosi mnie, abym mu towarzyszył w przejściu do przedziału pierwszej klasy. W przedziale tym zastaję naszego kierownika grupy. Przy przyćmionych światłach, które dodają atmosfery, konduktor tłumaczy mi, że któraś z pań którą „przeprowadził” do innego wagonu chce dać zażalenie na niego Polskim Kolejom Państwowym, i on chciałby, żeby nasz nauczyciel napisał — p o a n g i e l s k u i r o s y j s k u — że przeprowadził tę czystkę w naszym wagonie w ramach rozpowszechniania turystyki i — co najważniejsze — zupełnie bezinteresownie. Tłumaczę to możliwie wiernie nauczycielowi, który zgadza się napisać coś w tym stylu. Dokument ten zostaje więc spisany, pod dyktando konduktora tłumaczone przeze mnie.

Nasze konszachty z konduktorami PKP nie kończą się jednak na tym, albowiem już blisko granicy zjawia się jakiś inny konduktor i znów prosi mnie „na chwilę” do owego przedziału, gdzie, za moim pośrednictwem prosi nauczyciela o przeschmuglowanie mu do Brześcia kilku jedwabnych chust. Nauczyciel odmawia jednak, i w ten sposób dojeżdżamy do Brześcia ze znaczkami „*Kopengagien-Moskwa*” i bez jedwabnych chust.

W Brześciu, wydawałoby się, filmują wszystkie filmy o drugiej wojnie światowej. Pociąg jest obstawiony lekką artylerią, a cały dworzec — zwłaszcza o pierwszej w nocy — wygląda jak obóz jeniecki. Ruscy żołnierze, ubrani niechlujnie lecz uzbrojeni po zęby, patrzą ponuro na przybyszów, żując niedopałki papierosów i od czasu do czasu spluwając pogardliwie na tory. Wychodząc z pociągu czujemy się więc niepewnie.

Nagle znajdujemy się w sali istnie carskiej; marmury, żyrandole... i żołnierze. Pośrodku kilku zaspanych, niechętnie otwierających oczy celników.

Dostajemy do wypełnienia deklarację, podobną do polskich, tylko że trzeba oprócz pieniędzy wpisać walizki, filmy fotograficzne, itp. Po tej żmudnej operacji stawiamy walizki na środkowym kontuarze.

Jeden z celników jest szczególnie zainteresowany bagażem. Otwiera walizki, przegląda portfele. Wszystkie filmy fotograficzne i książki kładzie osobno. Niektórzy Żydzi w naszej grupie mają szczególne trudności z otrzymaniem z powrotem swoich biblii po hebrajsku. Celnik wyświetla jeden nieużyty film, konfiskuje niektóre kompletnie „niewinne” *paperbacki*.

Zanim jednak dochodzi do mnie, interweniuje kobieta z ufarbowanymi włosami z „Inturista”. Mówi do drugiego celnika, żeby szybko załatwił wszystkich pozostałych, bo musimy zdążyć na pociąg. W ten sposób deklarację mam osteplowaną bez żadnych pytań ani rewizji.

Interwencja ta jednak nie polepsza sytuacji, bowiem pociągu naszego jeszcze nie ma. Przenosimy się więc do dużej sali, równie carskiej jak poprzednia. Kręcą się tu, oczywiście, żołnierze. Połowa sali jest zastawiona ławkami, na których się usadawiamy. Po jednej stronie jest biuro „Inturista”, dokąd niektórzy się udają w celu wymienienia pieniędzy (kurs: 2,16 rubli za funta), po drugiej znajdują się tzw. toalety, które z zewnątrz wyglądają wprost luksusowo, lecz po wejściu do środka każdy czuje, że gdyby nie obstawa wojskowa, poszedłby raczej do lasu. Siedząc na ławce, słyszę za plecami głos chłopca: „Nie bądź głupia, mamo, to Amerykanie, jadą do Moskwy”, na co znużony głos kobiecy odpowiada: „Nie nudź, syneczku, daj mi spać”. Sam mam zamiar zasnąć, ale w tym momencie jest ogólny alarm i wszyscy lecą jak zwariowani na peron. Po dłuższej chwili niecierpliwego czekania zabiera głos ufarbowana pani z „Inturista”, mówiąc, że oczekiwany pociąg zjawi się lada chwila. Istotnie, nie upływa pół godziny, a nadjeżdża nasz pociąg. Wszyscy, zmęczeni i wyczerpani przebiegiem ostatniego dnia, resztkami sił rzucają się do wagonu.

Tak więc, przespawszy większość dnia w luksusowym przedziale sypialnym pociągu sowieckiego, znajdujemy się w Moskwie w poniedziałek, jedenastego, o czwartej po południu (dokładnie według rozkładu!). Pokrzepieni długim snem i wyjątkowo tłustym rosołem, czujemy się przygotowani na stolicę ZSSR.

Lenin za gumę do żucia

Moskwa przy wyjściu z dworca kolejowego wygląda raczej niepozornie. Na dziedzińcu czeka na nas autokar z napisem „Inturist” na przedniej szybie. Oprócz tego jakieś stare budynki, mały plac. Nie przejeżdżając specjalnie widokiem, wsiadamy do autokaru.

Autokar jest całkiem luksusowy. W środku fotele typu samolotowego, z wysokimi oparciami na plecy, których kąt można dowolnie zmieniać. Dach autokaru zdobią dwa głośniki.

Jedziemy więc do hotelu, który się znajduje, o ile mogę się zorientować, na drugim końcu miasta, na północy. Ogólne zwiedzanie stolicy mamy mieć dopiero jutro, gdyż jest już całkiem późno.

Przejechawszy przez kawał miasta przyjeżdżamy wreszcie do hotelu. Dowiadujemy się, że jest tu blisko tzw. „szkoła specjalna”, ucząca młodzież rosyjską prawie wyłącznie w języku angielskim, i że niektóre dziewczęta z tej szkoły zjawiają się po kolacji, żeby nas oprowadzić po metro, albowiem nie jest to wliczone w nasz oficjalny program zwiedzania. Zanim jednak do tego dojdzie, należy zadomowić się w hotelu i zjeść kolację.

Gostinica „Jarosławskaia” — bowiem tak nazywa się nasz hotel — to olbrzymi kompleks budynków, zwanych *korpusami*. Nasz *korpus* jest oznaczony numerem 7, ma kolor żółto-brunatny, i był chyba zbudowany w okresie Stalina. Przy wyjściu z autokaru jesteśmy momentalnie oblepieni chmarą chłopców proszących o *chewing gum*. Kilku chłopaków posiada gumę do żucia, która zostaje szybko i sprawnie zamieniona na znaczki z Leninem. Następnie handel przechodzi na *ruczki*, i następna seria Leninów ustępuje miejsca długopisom. Dokonawszy pomyślnego *business'u*, chmara ulatnia się momentalnie w różnych kierunkach, a my godnie wstępujemy do hotelu, z klapami zdobionymi Włodzimierzem Iljiczem.

Wielka Siostra Czuwa

Pokoje w hotelu, przeważnie na dwie osoby, są całkiem miłe: dwa łóżka, dzielone przez mały stolik z lampą i radiodbiornikiem, szafa i umywalka (oczywiście bez zatyczki). Na każdym piętrze jest pokój z czerwonym napisem „*dyżurnaja*”, który jest punktem obserwacyjnym na cały *etaż*. Drzwi od tego pokoju są zazwyczaj otwarte, ujawniając potężne ciało płci żeńskiej na małym krześle za równie małym biurkiem. Ciało to udaje albo że czyta *Prawdę*, albo że pisze coś, chyba, że jest szczególnie chamskie, w takim wypadku po prostu patrzy na gości zupełnie otwarcie. Pokoju dyżurnej nie da się ominąć w żaden sposób, ani też się nie zdarzy, żeby w tym pokoju nikogo nie było. Przechodzenie obok niego jest szczególnie żenujące: próbuje się zachować zupełnie naturalnie, czego wynikiem jest oczywiście zachowanie podejrzane — wyjątkowo szybkie przejście, sztuczny uśmiech w stronę dyżurnej, lub nagły zwrot głowy w przeciwnym kierunku. Wszystko razem daje człowiekowi poczucie ścisłej kontroli i ograniczenia, poczucie które, zasiane już na granicy, nie opuszcza go aż do końca.

Chleb i woda

Restauracja, a raczej stołówka, znajduje się o jeden *korpus* dalej. Pierwsza kolacja rosyjska, jak zresztą wszystkie następne, ma rozmiary mamucie: przystawki, zupa, drugie danie, deser, herbata z ciastkami, wszystko to podane w olbrzymich porcjach; do tego jeszcze cała sarta chleba i niezliczona ilość butelek wody mineralnej, do których kelnerka nie posiada „chwilowo” otwieracza. Na szczęście któryś z chłopców posiada taki instrument, który okrąża całą salę.

Entuzjazm chłopców gaśnie nieco przy podaniu kolacji: surowe kiełbasy, mizeria, kiszony ogórek, jakieś zielone śmieci w zupie, to nie ich kuchnia. Woda mineralna też się nie umywa do Coca-Coli. Jedyna nowość, która spotyka się z czymś w rodzaju aprobaty to herbata bez mleka. Również ciastka „nie są takie złe”.

M e t r o

Po, w wielu wypadkach, prawie nietkniętej kolacji, wracamy do hotelu, gdzie czeka już na nas uprzednio zapowiedziana grupa dziewcząt ze „szkoły specjalnej”. Jest ich chyba z dziesięć. Są w naszym wieku, mówią świetnie po angielsku, i są przeważnie ubrane w stosunkowo długie sukienki, chociaż w modne wzory. O jakiejś pół do ósmej wyruszamy wreszcie „w Moskwę”.

Stacja metra znajduje się o kilkaset metrów od naszej *gostinicy*. Jest to końcowa stacja żółtej linii i dojazd do centrum miasta wymaga co najmniej jednej przesiadki. Idziemy bezkarnie środkiem ulicy, towarzyszeni, od czasu do czasu, przez nieodzwonne grupy polujące na gumę i długopisy. Na odzieży od „Marks’a i Spencer’a” Lenin rozmnaża się w przerażającym tempie.

A więc słynne Metro Moskiewskie. Jest ono dokładnie tym samym metrem, opisywanym, ilustrowanym i opiewanym w niezliczonej ilości książek, gazet i broszur. Rzeczywiście — marmurowe kolumny i sklepienia, ogólne uczucie bogactwa i przepychu, a przede wszystkim absolutna czystość — wszystko się zgadza z propagandowymi publikacjami. Nie mamy jednak dużo czasu na podziwianie stacji, gdyż właśnie przyjeżdża pociąg. Tłok jest, jak się okazuje, nawet o ósmej wieczorem, i wejście do środka wymaga stoczenia walki i z pasażerami w środku, i z tymi, którzy chcą do środka wejść. Po wejściu do wagonu widzimy, że jest całkiem luźno, i że cała walka była motywowana tylko wrodzonym rosyjskim instynktem pchania się wszędzie. Drzwi się zamykają za nami, i ruszamy w kierunku południowoschodnim.

Dziewczęta twardo nalegają, żebyśmy wychodzili na każdej stacji po kolei i podziwiali. Na początku jest to, oczywiście, bardzo interesujące — sufity niektórych stacji są zdobione żyrandolami, na innych stacjach widzimy reprodukcje ikon — ale po pewnym czasie zaczyna się wszystko robić monotonne i nudne.

Przesiadka na inną linię. Na ruchomych schodach pędzących na dół w zawrotnym tempie ja, z trzema kolegami, podchodzimy do dwóch dziewczyn. Przedstawiamy się, one także. Jedna nazywa się Natasza, druga — Swietlana (dlaczego się uśmiechamy? — pyta). Proponujemy im, możliwie najdyplomatyczniej, żebyśmy się odłączyli od reszty grupy i wysiedli gdzieś. Natasza i Swieta wymieniają między sobą kilka błyskawicznych słów, następnie sugerują przechadzkę po Placu Czerwonym i nad brzegiem rzeki Moskwy. Zgadza się chętnie, i po kilku minutach wynurzamy się z czeluści metra. Kierujemy swe kroki na Plac Czerwony.

W sercu stolicy

Jest już po ósmej. Ściemniło się trochę. Atmosfera na Placu o tej porze jest dosyć przygnębiająca. Mur Kremla i Mauzoleum po jednej stronie, GUM po drugiej, wszystko w jednakowym brązowym kolorze. Ale jednak całość jest w pewnym sensie imponująca.

Podchodzimy pod Mauzoleum Lenina. Jest to struktura marmurowa, kształtem przypominająca zigurat ze starożytnej Mezopotamii. Nad wejściem, strzeżonym przez dwóch żołnierzy z bagnietami na karabinach, napis „LENIN”. Naokoło — kilka małych drzewek i spora grupa ludzi. Swieta mówi, że za kilka minut będzie zmiana warty, a do tego czasu możemy pójść do grobu nieznanego żołnierza, który znajduje się blisko placu.

Po drodze dowiadujemy się z rozmowy, że obie dziewczyny są pionierkami, a niedługo wstąpią do *Komsomotu*. Pytają się, czy w Anglii jest podobna organizacja, na co odpowiadamy, że nie ma, przede wszystkim dlatego, że mamy kilka partii politycznych. Tak, mówią, o tym wiedzą ze szkoły, ale ich system jest lepszy, bo w Anglii jest się w takiej partii tylko gdy się ma dużo pieniędzy, a w ZSSR do KPSS może należeć każdy. My na to, że w Anglii się do danej partii zazwyczaj nie należy, tylko się na nią głosuje. I pod tym względem, dowiadujemy się, ich system jest lepszy, bo my musimy partię wybierać, a one już mają wybraną. O wiele prościej.

W takim razie co się dzieje, pytamy się dalej (podziwiając przy tym wieczny płomień na grobie nieznanego żołnierza), jeśli

rząd zarządzi coś, co im się nie podoba? Nie mogą przecież wybrać innego. O, to się nie może zdarzyć, pada odpowiedź, gdyż w sejmie jest reprezentacja całego narodu (zwłaszcza, dodają, jest dużo chłopów). Owszem, przyznają, że były ustawy które im się nie podobały, ale jeśli większość kraju je przyjęła...

Pytam się Świeta, czy zapisze się do Partii jak dorośnie. „Jeśli mnie przyjmą”. Na jakich podstawach jest ktoś przyjęty do Partii? Po chwili milczenia Świeta odpowiada: „Muszę być uczciwa, pracowita, i myśleć to, co Partia myśli”. To ostatnie podchwytujemy od razu. „A jak nie myślisz tego, co Partia myśli?”. „To nie wstępuję do Partii, to chyba jasne”, odpowiada Świeta, nieco zdziwiona.

Rozmowę tę, zahaczającą momentami o absurdy, przerywa zmiana warty przed Mauzoleum, po której idziemy nad rzekę.

Rozmowa przechodzi na typowe tematy: szkoła, filmy, itp. Natasza się pyta, czy musimy się uczyć w szkole rosyjskiego; odpowiadamy, że mamy wybór między rosyjskim i niemieckim. „Ja bym nie uczyła się niemieckiego”, mówi z obrzydzeniem Świeta, „Dla mnie to język wojenny, język” — tu szuka odpowiedniego przymiotnika — „psi”.

Przechodzimy przejściem podziemnym, w którym mamy okazję zobaczyć pijaka, wspinającego się z wyraźnym trudem po schodach. Wychodzimy nad rzekę. Dziewczeta ciągle próbują przekonać nas do ich systemu, a my je do naszego. — Czytałam — mówi Świeta — że w Anglii mięso jest droższe od sukienki i że tylko zamożniejsze rodziny mogą sobie pozwolić na mięso codziennie, a nas wszystkich stać na mięso. Mówię, że to żadne porównanie, bo ile mięsa ona porównuje z sukienką? Świeta na to, że nie wie dokładnie ale wie że nie tylko mięso ale wszystko inne jest droższe niż w Rosji. Ciągłe oponując zabieramy się do porównania cen: pytamy się ile zarabia przeciętny robotnik w Związku Sowieckim i również ile kosztuje samochód, np. „Moskwicz”, który porównujemy z angielskim „Austinem 1100”. Cena obu samochodów wynosi, o dziwo, tyle samo tygodni płacy. Wniosek: albo dane dotyczące rosyjskiego aspektu sprawy są fałszywe albo — jak koledzy moi gotowi są już uwierzyć — w Związku Sowieckim jednak nie jest tak źle.

Jest już godzina dziesiąta, dziewczeta mówią, że dostały surowy rozkaz odstawienia nas do hotelu przed jedenastą. Wobec tego wracamy. W przejściu podziemnym widzimy tego samego pijaka, który pół godziny temu próbował wejść po schodach. Leży na dole, twarzą do ziemi. Na białym marmurze mała kałuża krwi. Przechodzą jacyś ludzie, nie zwracają na niego zupełnie uwagi. Świeta mówi: „Chodźcie, już późno. Pójdziemy z drugiej strony”.

Lenin żył, żyje i będzie żyć

Na drugi dzień, nastawieni do Moskwy może trochę bardziej pesymistycznie niż życzyłyby sobie „Inturist”, wyruszamy — po obfitym śniadaniu — na oficjalne zwiedzanie Moskwy. Przed hotelem przedstawiają się nam dwie przewodniczki. Jedna, dwudziestokilkuletnia brunetka, ma na imię Tania i będzie z nami jechała po całej Rosji. Druga, nieco starsza blondynka, ma na imię Ala i będzie z nami tylko w Moskwie.

Ponieważ dziewczęta też jadą z nami, więc dostajemy dwa autokary. Ja jestem w grupie Ali.

Najpierw więc ogólne zwiedzanie miasta z autokaru. Ala siedzi w fotelu na przodzie i mówi przez mikrofon gdzie jedziemy i co widzimy.

Tak jak na Zachodzie widzimy wszędzie ogłoszenia, tak i Moskwa jest udekorowana hasłami i sloganami. Czarne litery na czerwonych transparentach zawieszone w poprzek ulic głoszą: „Wykonamy plan dziesięcioletni!”, „Chwała pracy!”, „Chwała partii!”. Szczególnie często widzimy: „25-lecie zwycięstwa nad faszyzmem”, a najwięcej jest transparentów głoszących „1870-1970; sto lat Lenina” oraz „Lenin żył, żyje i będzie żyć”. Oprócz tych transparentów wszędzie są portrety Lenina z różnymi jego cytataми.

A więc kult jednostki, kult który osiąga szczyt na Placu Czerwonym. Plac Czerwony w świetle dziennym to nie Plac Czerwony o zmroku. Główna różnica — olbrzymia kolejka do Mauzoleum przechodząca przez połowę placu a na końcu zawinięta w pętlę bajecznych rozmiarów. Tego żeśmy się nie spodziewali. Ala tłumaczy nam, że wielu ludzi, zwłaszcza przyjeżdżających spoza Moskwy, chce zobaczyć wielkiego wodza. Nie uwierzyłbym w to, gdybym nie widział na własne oczy. Te setki ludzi potwierdzają słowa przewodniczki. „Kult jednostki” to termin niezadowolającej, religia jest określeniem bliższym prawdy. Mauzoleum to Mekka Związku Sowieckiego, Lenin to Mahomet tej Mekki.

Ustawiamy się w kolejce, chociaż jako grupa turystyczna, nie na samym końcu. Ala mówi, że ci którzy chcą się dostać do Mauzoleum względnie wcześniej zajmują miejsca w kolejce już uprzedniej nocy.

Jeden z chłopców oddał się na chwilę w celu nabycia gazety. Z angielskiej prasy można dostać tylko ultralewicowy *Morning Star*. Podobno pokazuje się też wyjątkowo *Times* ale ten jest momentalnie rozłapywany przez studentów, którzy tylko nań czytają. Nawet *Morning Star*, jak dowiaduje się chłopiec, który go kupił, jest sprzed tygodnia, więc użyty jest tylko do zapisu składu naszej drużyny piłkarskiej, albowiem planujemy mecz z Pio-

nierami w Jałcie. Wybór drużyny rozrywa nas trochę podczas czekania. Resztę czasu (razem czekamy około godziny) rozmawiamy z Tanią, która mówi że muzeum Lenina jest zamknięte aż do przyszłego roku, ponieważ odnawiają je na stulecie urodzin Lenina. Specjalnie to nas nie martwi. Rozmowa toczy się aż do wejścia do mauzoleum, gdzie jest nagły chaos, ponieważ musimy wchodzić trójkami. Po pewnej reorganizacji, przy której odkrywamy że jest między nami jakiś Rosjanin, który chciał wejść bez kolejki, wchodzimy wreszcie do środka.

Dojście do samego Lenina jest, na wzór piramidy Cheopsa, istnym labiryntem i gdyby nie *perpetuum mobile* zwiedzających, znalezienie Włodzimierza Iljicza byłoby czynem godnym Salomona. Przechodzimy przez rozmaite korytarze, schody, przejścia. Za jednym z ostrych zakrętów wpadamy niespodziewanie na żołnierza z karabinem, którego wyłączną funkcją jest syczenie „szsz”, przez zaciśnięte zęby. Sygnał ten oznajmia, że zbliżamy się do samego Lenina. Istotnie, za następnym zakrętem znajdujemy się nagle w dosyć obszernej sali, pośrodku której stoi spora trumna, otoczona przez wartę wojskową z nieodzownymi karabinami i bagnietami.

W trumnie leży sam Lenin. Większość jego ciała jest przykryta jakimś kocem. Widać tylko czysty kołnierzyk, starannie związany krawat, głowę i ręce, które są wzniesione w górę jak gdyby błogosławiąc te setki i tysiące, które przewijają się codziennie przed jego obliczem. Na twarzy, przyozdobionej małą bródką, maluje się lekki, można by nawet powiedzieć — złośliwy, uśmieszek.

Oświetlenie trumny i preparacja ciała nadają mu wygląd trochę woskowaty. Nasuwa się podejrzenie czy nie oglądamy po prostu bryły wosku podczas gdy prawdziwy Lenin leży w jakiejś skrytce obok. Fakt jednak pozostaje: ten Lenin, z wosku czy prawdziwy, to bożyszcze narodu. I dziwić się temu nie można. Ostatecznie przecież lud widzi to w co wierzy. To nie jest jakiś niewytłumaczalny bóg, którego nikt nie widział. To jest Lenin, o którym wiadomo kiedy żył, co robił, gdzie jest i jak wygląda. Lenin, o którym książki, afisze i transparenty są na każdej ulicy, na każdym rogu, w każdym mieście. Lenin, strzeżony przez dzielnych żołnierzy, Lenin, który „ŻYŁ, ŻYJE I BĘDZIE ŻYĆ”.

Kreml i „Mietielica”

Popołudnie schodzi na zwiedzaniu Kremla, z jego licznymi ikonami, skarbami i tronami. Zwiedzanie to jest ukoronowane dłuższą pogadanką o Prezydium Najwyższej Rady i całym rządzącym aparacie. W trakcie wykładu Ala podkreśla trzy razy, że

w sejmie ZSSR jest bardzo dużo chłopów, coś co niektórzy z nas słyszeli już kilka razy poprzedniego wieczoru.

Oglądamy mur Kremla, który jest udekorowany tabliczkami z nazwiskami słynnych obywateli Związku Sowieckiego. Grzecznie udajemy, że znamy wszystkie nazwiska, chociaż jeden z chłopów kompromituje się przez wykrzyknienie, że Michał Kalinin był kosmonautą. Ale nie jest pewna, czy ma to przyjąć jako dowcip czy jako objaw imperialistycznej ignorancji. Zapewniamy ją, że był to tylko żart a potem pytamy się nawzajem czy kto wie kto to był Kalinin. Okazuje się, że nikt nie wie. Dopiero Tania, która usłyszała nasze szept, informuje nas, że był on w swoim czasie członkiem Politbiura i w ogóle bardzo ważną osobą. Już resztę spaceru milczymy i nawet gdy dochodzimy do Gagarina, nikt nie odważa się powiedzieć co on za jeden.

Zwiedzanie Kremla więc za nami. Po kolacji nasza czwórka wybiera się z Nataszą i Swietą do „Mietielicy”, podobno najlepszej kawiarni w Moskwie. Dziewczęta sugerują żebyśmy pojechali tam z fasonem, czyli taksówką.

Postój taksówek w Moskwie to fikcja. Trzeba przyznać, że kolejka jest bardzo mała, ale też nigdy się nie posuwa naprzód. Już taksówka ma zakręcić i zatrzymać się na postoju gdy zza rogu wyskakuje niespodziewanie jakiś osobnik i — zupełnie pod nosem czekających — macha na taksówkę. Dla dodatkowej przynęty pokazuje taki cwaniak często portfel pełen rubli, albo też woła, że chce jechać na drugi koniec Moskwy.

Po półgodzinnym czekaniu, za radą przedsiębiorczej Swietłany i my odwołujemy się do takich metod: tylko jeden z nas czeka na postoju, reszta rozstawia się strategicznie na trotuarze, w krzakach, na rogu, gdzie się da. Rezultat wspaniały! Po kilku minutach mamy nie tylko dwie taksówki, ale nawet jakiegoś „fiata”, który jest gotów zawieźć turystów choćby na koniec świata... za dewizy. Widząc jednak dwie rosyjskie dziewczyny między turystami, „fiat” znika w mgnieniu oka, pozostawiając do naszej dyspozycji dwie taksówki, którymi udajemy się do centrum Moskwy.

W „Mietielicy” mamy stolik na pierwszym piętrze, przy olbrzymim oknie. Kawiarnia jest w super-nowoczesnym budynku. Nieopodal jest kino, w którym idzie film „Czechosłowacja — rok rozruchów”. Dziewczęta mówią, że takie filmy je nie interesują, że w ogóle rzadko chodzą do kina — „chyba, że jest jakiś film amerykański albo angielski”. Martwi je natomiast, że w Anglii filmy rosyjskie nie cieszą się zbytnim powodzeniem.

Czekanie półgodzinne jest widocznie częścią systemu albowiem tyle właśnie czekamy na kelnerkę. Gdy wreszcie przychodzi, wcale nie obchodzi jej co chcemy, tylko stawia na stoliku tacę z lodami o smaku morelowym i oddala się bez słowa. Ponieważ i tak

chcieliśmy zamówić lody, każdy bierze porcję i konsumujemy, rozmawiając przy tym o różnych rzeczach. Zahaczamy między innymi o prasę i skarżymy się, że z angielskich gazet widzieliśmy tu tylko *Morning Star*, która nas nie zadawała ze względu na jej polityczne poglądy i brak informacji. Świeta oponuje: przecież każdy angielski dziennik, jak ją uczyli w szkole, trzyma się jakiejś strony politycznej, a w prasie rosyjskiej nic takiego nie ma. Widząc, że nie można jej przekonać, mówimy, że jakkolwiek różnic politycznych w gazetach rosyjskich nie ma, to jednak brak w nich jest informacji. Na to dziewczęta się oburzają: skąd wiemy jaka jest u nich prasa? To u nas w prasie są kłamstwa! Przytaczam więc główne zdarzenie ostatnich dni — ucieczkę Kuzniecowa na Zachód. Owszem, słyszały coś o tym. A czy prasa rosyjska to podała? „Nie, ale gdyby jakiś angielski pisarz pojechał do Związku Sowieckiego to wasze gazety by o tym też nie pisały. Dla nas takie rzeczy nie są istotne”.

Co jest istotne to to, że kelnerka zjawia się nagle i powstaje awantura o lody. Te lody ona tu postawiła na chwilę (około 15 minut) i wcale nie były dla nas itd., itp. Nagle padają magiczne słowa: „*anglijskije turisty*”, kelnerka momentalnie gaśnie. Za chwilę pojawiają się na stole butelki „*gazirowannoj wody*” o smaku cytrynowym. Kelnerka z szerokim uśmiechem wysiła się na wydobycie swego całego zasobu angielskich słów: *Good morning, please*, i oddala się, dygając krok za krokiem. Jednak ci Rosjanie to miły naród.

WDNCh

Środa, 13. Ostatni dzień w stolicy. Na rano „Inturist” programuje WDNCh — „Wystawę Sowieckich Osiągnięć Gospodarczych”.

A więc na wystawę! Cała czereda jest w wyjątkowo dobrym nastroju. W autokarze śpiewamy cały czas czy to ludowe piosenki angielskie, czy „Rule Britannia”, czy też „Międzynarodówkę” (która utrwała Alę w przekonaniu, że jesteśmy jeśli nie komunistami to na pewno socjalistami).

Wystawa, którą można oglądać okrągły rok, zajmuje spory teren na północy Moskwy, bardzo blisko naszego hotelu. Wyjąc na cały głos refren Międzynarodówki (po francusku) wpadamy przez olbrzymią bramę, przypominającą na pierwszy rzut oka Bramę Brandenburską w Berlinie, do czekających wagoników ciągniętych przez jakiś elektryczny pojazd. Pojazd ten rusza niebawem wraz z wagonikami i jakiś tubalny głos żeński informuje nas po angielsku, przez sprytnie ukryte głośniki, że najpierw zobaczymy powierzchownie całą wystawę a potem dokładnie tylko niektóre

pawilony, ponieważ na zwiedzanie całości potrzebny byłby chyba tydzień. Wystawa rzeczywiście olbrzymia. Mieści się jak gdyby w parku, po którym rozrzucone są rozmaite budynki. Po środku stoi statek kosmiczny Gagarina „*Wostok*”. Głos żeński tłumaczy nam co i jak, przy czym mamy wyborną zabawę bo siedzimy plecami do kierunku pojazdu i kiedy przewodniczka mówi „na prawo” my musimy patrzeć na lewo i na odwrót. Po tej przejażdżce mamy już uwarunkowany odruch, niczym psy Pawłowa, że „na prawo” to „na lewo” a „na lewo” to „na prawo”. W tymże pojeździe poznajemy jakiegoś księdza katolickiego z Irlandii. Nie słuchając już więcej Żeńskiego Głosu, prowadzimy długą dyskusję z księdzem na temat „Papież a Związek Sowiecki”. Tak więc czas przechodzi przyjemnie.

Po ogólnej turze wystawy, chodzimy po różnych pawilonach. Szczególnie interesuje nas „pawilon kosmiczny”, w którym spotyka nas przewodniczka wspaniale mówiąca po angielsku. Na pierwszym planie jest malunek „Jak będzie wyglądał pierwszy kosmonauta sowiecki na księżycu”, a dalej jest model przedstawiający dwa sputniki w orbicie naokoło ziemi, których cechą charakterystyczną jest to, że zamiast się prawidłowo omijać, zderzają się za każdym okrążeniem. Przewodniczka nasza jest nieco zażenowana tym osiągnięciem techniki, więc szybko bierze nas do następnego modelu. Model ten, wymierzony na amerykańskich turystów, przedstawia satelitę „Łunę”, z wnętrza której, po wylądowaniu na księżycu, miała rzekomo wytoczyć się na powierzchnię kula, rozbijając się na tysiące mikroskopijnych fragmentów. Na każdym z tych fragmentów podobno był napis SSSR i data tego wspaniałego wyczynu, która udowadnia, że pierwszy ślad na księżycu zostawili jednak Rosjanie a nie Amerykanie. My się tym faktem zbytnio nie przejmujemy tylko nucimy pod nosem Międzynarodówkę i oglądamy się w stronę autokaru. Zapalona przewodniczka chciałaby nam pokazać całą wystawę ale nawet WDNCh nie może się oprzeć potędze „Inturista” i naszym apetytom. Jest już pierwsza i pociągają nas bardziej sowieckie osiągnięcia kulinarne — zawsze jest nadzieja, że może dostaniemy choć raz coś dobrego. Opędzając się od chmar młodych rosyjskich — jak sami siebie nazywają — *biznesmien*’ów (ku ich zmartwieciu dowiadują się, że nasze zasoby gumy do żucia wyczerpały się kompletnie), godnie znikamy w autokarze. Szybki obiad — niestety nic nadzwyczajnego — ostatni uśmiech do dyżurnej, błyskawiczne pożegnanie i wymiana adresów ze Swietą i Nataszą i po raz ostatni znajdujemy się w moskiewskim autokarze kierując się na lotnisko „Wnukowo”. Odlot do Simferopolu o czwartej po południu.

Konrad BRODZIŃSKI

Polska droga do... (I)

Motto:
PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW...

Mutatis mutandis:
... CZY ZNACIE TEN SYSTEM?

I

Na scenie Października Władysław Gomułka był wspaniały, rola wówczas odegrana wypadła jak najlepiej, sukcesu swego nie zdoła już potem nigdy powtórzyć. Grał z niekłamany patosem, a jednocześnie szczerze, naturalnie. Każdy jego krok, gest, każde słowo były przemyślane, wystudiowane.

„Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym...”.

Nie chował się w głębi sceny, szukał, zdawałoby się fizycznego kontaktu z widownią — stał na proscenium, o krok od widowni. W wielkim monologu zawarł całe swoje credo:

„Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli dzierżących ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawowania władzy w imieniu mas pracujących”.

Widownia krzyczała „brawo, bis!”, a gdy ucichła, wielki aktor kontynuował:

„Kredyt zaufania może być bez przerwy przedłużany jedynie pod warunkiem wywiązywania się ze zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodawców”.

Znów burza oklasków i wreszcie owe słynne zdanie:

„Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy¹”.

Potem, po spektaklu ludzie powiedzą: „Tego jeszcze nie było”.



W dwanaście lat później Gomułka wystąpił w innej roli i z monologiem odmiennej zupełnie treści:

„Słuszność linii generalnej partii nie da się zweryfikować w krótkim czasie. Potrzeba wielu lat, zazwyczaj dziesięcioleci, aby naród mógł się przekonać, że określona koncepcja socjalistyczna, której zawierzył i za którą poszedł, odpowiada jego żywotnym interesom²...”.

Nie było już bisów, ani chóralnego „sto lat”, były oklaski, owszem, ale wyłącznie płatnych klakierów. Zmienił się wielki aktor, zmieniła się również widownia.



Powiadają niektórzy, że Gomułka zawiódł, *zmienił się*, kiedyś był inny — rozumniejszy, światlejszy, bardziej postępowy i demokratyczny. Chciał dobrze, lecz „nie wyszło mu”, nie udało się, przynajmniej nie wszystko. Powstała legenda, że Gomułka, to jednak nie Bierut. Zapomina się, że Bierut, gdyby żył i rządził w Polsce *po śmierci Stalina i po XX zjeździe KPZS — też musiałby zmienić swoje postępowanie, taktykę*. Przynajmniej na jakiś czas. On również nie byłby w stanie oprzeć się olbrzymiej presji mas w 1956 roku, poszedłby niechybnie na jakieś ustępstwa. Ale brońliby z takim samym uporem *wszechwładzy partii i jej koncepcji społeczno-ekonomicznych*, jak później uczynił to właśnie Gomułka. Trzeba powiedzieć jasno i wyraźnie: *polityka gospodarcza Gomułki stanowiła kontynuację skompromitowanej polityki Bieruta*, tyle tylko, że w innych warunkach, w innym czasie. Przyjrzyjmy się tej polityce przez pryzmat planów gospodarczych, a zatem przez pryzmat kryteriów uznawanych przez partię za najważniejsze. Więc plany od początku...

II

Zadania trzyletniego planu odbudowy (1947-1949) zrealizowano pomyślnie, z dużą nadwyżką. Zachęciło to biuro polityczne do ustalenia bardzo wysokich zadań na okres planu sześcioletniego (1950-1955), o wiele wyższych w stosunku do wytycznych zatwier-

1. Władysław Gomułka. *Przemówienia, październik 1956 - wrzesień 1957*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1957.

2. „Referat I sekretarza KC PZPR tow. Władysława Gomułki”, V zjazd, *Nowe drogi*, nr 12/1963.

dzonych przez Kongres Zjednoczeniowy w grudniu 1948. Historyk w przyszłości będzie mógł napisać, że od tej pory wszystkie uchwały zjazdów partii wytyczające kierunki rozwoju gospodarczego, były systematycznie zmieniane — bez zgody tej najwyższej instancji politycznej. Uchwały zjazdów, odbywających się jak wiadomo co 4-5 lat, korygowane będą w przyszłości po roku, najdalej dwóch od chwili ich podjęcia... W praktyce wytyczne w tej dziedzinie podejmowane będą nie przez partię, jako całość, ani nie przez zjazd, jako najwyższą jej władzę, nawet nie przez komitet centralny — lecz przez nieliczne gremium biura politycznego, w którym absolutna władza spoczywała najpierw w rękach Bieruta, a potem Gomułki.

Tak więc w 1949 r. zadania planu sześcioletniego zostały podwyższone. Wydawało się, że słusznie, albowiem zadania roku 1950 wykonano pomyślnie. Skłoniło to biuro polityczne do jeszcze jednej korekty — zadania na następne lata ponownie podwyższono. Ale już w 1951 roku stało się widoczne, że popełniono błąd, że oparto się na błędnych przewidywaniach — plan okazał się nierealny, niemożliwy do wykonania. Od tej pory w gospodarce polskiej zaczęły dziać się rzeczy, o których filozofom, w tym również Marksowi — się nie śniło. Później, znacznie później, ekonomiści polscy nazwą lata 1951-1953 „okresem rozpasania inwestycyjnego”. Szastano miliardami bez żadnego rachunku ekonomicznego, jak gdyby były one darem niebios, a nie plonem ciężkiej pracy ludzkiej. Oddajmy w tej sprawie głos człowiekowi w tym przypadku niewątpliwie bezstronnemu, Gomułce:

„Na rozbudowę przemysłu zaciągnęliśmy poważne kredyty inwestycyjne... — poważna część tych kredytów w postaci maszyn i urządzeń nie znalazła dotychczas zastosowania (tzn. w 1956 r. — A.G.) w produkcji i przez długie lata zastosowania takiego nie znajdzie, a część w ogóle należy uznać za bezpowrotnie przepadłą. Po dziś dzień nadchodzą jeszcze zamówione maszyny czy urządzenia na obiekty dawno wykreślone z planów gospodarczych³”.

Prawdę mówił wówczas Gomułka, zbudowano wiele zgoła zbytecznych zakładów produkcyjnych, a jednocześnie nie zdołano rozpocząć bądź zakończyć budowy zakładów, na które gospodarka czekała, nastąpił olbrzymi wzrost zapasów nikomu niepotrzebnych. To właśnie wtedy po raz pierwszy wyrosła monstrualna „bariera surowcowa”, z którą gospodarka polska borykać się będzie przez następne lata.

Realizacja planu sześcioletniego, jak wiadomo, zakończyła się całkowitym niepowodzeniem, żeby nie powiedzieć klęską. Warto przypomnieć niektóre dane liczbowe, aby tym lepiej uzmysłowić sobie wydarzenia lat następnych. Otóż w myśl planu dochód narodowy (do podziału) miał być w 1955 r. wyższy w stosunku do 1949 r. o 112,3 %. Tymczasem według oficjalnej statystyki osiągnięto tylko 77,2 %⁴. Produkcja rolna miała się powiększyć w

3. W. Gomułka: *Przemówienie wygłoszone na VIII Plenum KC PZPR*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1956.

4. VII Plenum KC PZPR 18-28 lipca 1956, KiW, Warszawa, 1956.

omawianym okresie o 50 %, faktycznie osiągnięto zaledwie 19 %. Wydajność pracy w przemyśle winna była wzrosnąć o niecałe 65 %, partia ogłosiła z triumfem, że plan w tej dziedzinie został przekroczony, przyrost wydajności pracy wyniósł bowiem 74,8 %⁵. Prawda była jednak inna. Po pierwsze, niemałą część przyrostu wydajności pracy uzyskano w wyniku znacznego wydłużenia dnia pracy robotników — liczba godzin nadliczbowych przypadająca średnio na 1 robotnika grupy przemysłowej stanowiła 10-15 % normalnego czasu pracy, a w wielu wypadkach robotnicy pracowali po 18-20 godzin na dobę! Zauważmy na marginesie — od tej pory godziny nadliczbowe staną się trwałym zjawiskiem chorobowym przemysłu polskiego. Po wtóre, pomiary wzrostu wydajności pracy dokonane były w oparciu o błędny wskaźnik produkcji globalnej, wskutek czego część produkcji liczono wielokrotnie. Taka, za przeproszeniem, metoda pomiaru wydajności pracy będzie również stosowana w latach późniejszych, już za czasów Gomułki... Rzeczywisty wzrost wydajności pracy uzyskany w latach planu sześcioletniego okazał się dużo niższy, zdaniem niektórych ekonomistów polskich wyniósł tylko 28-30 %⁶. Znajduje w przemyśle w latach 1949-1959. *Studia Ekonomiczne*. 1961, nr 6. to zresztą potwierdzenie w ponadplanowym wzroście zatrudnienia. Oczywiście, nie dotrzymano zobowiązań w dziedzinie poprawy stopy życiowej mas — płace realne, zamiast o 40 % jak obiecano, wzrosły w okresie sześciolecia ledwo o 13 %⁷.



Październik *musiał nadejść*, ekipa zaś przedpaździernikowa *nie mogła pozostać* — *Gomułka dobrze o tym wiedział*. Postanowił więc utożsamić się z Październikiem i odgradzić od jawnie stalinowskiej, doszczętnie skompromitowanej ekipy. Tylko w ten sposób mógł uspokoić wzburzone masy i pozyskać ich zaufanie. Masy domagały się jednak nie tylko zmiany polityki, przede wszystkim pociągnięcia do odpowiedzialności ludzi winnych zarówno łamania praw, jak i niebываłego marnotrawstwa gospodarczego. Gomułka zdawał sobie z tego sprawę i dlatego na VIII Plenum KC oświadczył:

„Trzeba bowiem jasno sobie powiedzieć, że za złą politykę gospodarczą musi płacić klasa robotnicza. A Komitet Centralny partii nie zdobył się na to, aby przynajmniej wyciągnąć konsekwencje partyjne do ludzi, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten stan rzeczy⁸...”.

Mówił to z miną człowieka, który w zwrotnym momencie historii bierze na siebie ciężkie brzemię odpowiedzialności za naprawę polityczną i gospodarczą, z twardym postanowieniem rozliczania

5. Tamże.

6. Patrz m.in. Z. Fiejka: „Zmiany wydajności pracy i zatrudnienia

7. VII Plenum KC PZPR 18-28 lipca 1956, Wyd. cyt.

8. Władysław Gomułka. *Przemówienia*. Wyd. cyt.

się przed partią, przed narodem, a zwłaszcza przed klasą robotniczą ze swojej polityki.

III

Październik dał Gomułce wielką szansę — otworzył przed nim *polską drogę do socjalizmu*. Zdobył liczące się w Moskwie poparcie czołowych partii komunistycznych — z chińską, włoską i francuską na czele. Kreml w tym okresie zajęty był wewnętrznymi rozgrywkami, uwikłał się w awanturę węgierską — był skłonny do pewnych ustępstw ideologicznych w dziedzinie polskiej polityki wewnętrznej. I najważniejsze, w społeczeństwie polskim wzbierała fala patriotyzmu, niekłamane go entuzjazmu. Podobny nastrój panował już kiedyś w Polsce, tuż po wypędzeniu hitlerowców, kiedy robotnicy, bez odgórnych dyrektyw, z własnej nieprzymuszonej woli dźwigali z ruin fabryki. W 1956 r. wśród załóg fabrycznych zauważyć można było nienotowany wzrost inicjatywy, gospodarności, pomysłowości.

Niektóre dane o rozwoju gospodarczym Polski⁹

	1955	1956	1957	1958
Dochód narodowy wytworzony rok poprzedni = 100	108,0	107,0	111,0	106,0
Przeciętne zatrudn. w gospod. nar. rok pop. = 100	103,0	104,0	102,0	100,0
Wskaźnik kosztów utrzymania 1955 r. = 100	100,0	99,4	105,0	107,1
Wskaźnik przeciętnej miesięcznej płacy realnej 1955 roku = 100	100,0	111,6	120,09	124,8
Wydajność pracy w przemyśle na 1 robotnika grupy przemysłowej, rok poprzedni = 100		103,5	105,2	107,8
w tym:				
w kopalniach węgla		94,2	95,1	103,9
w przemyśle metalowym ..		99,3	109,8	110,7
w przemyśle materiałów budowlanych		101,4	104,2	108,2
w przemyśle poligraficznym.		102,8	110,4	110,9
Sprzedaż w handlu detalicznym (w cenach 1961), rok poprzedni = 100	111,0	117,0	117,0	105,0
Wkłady oszczędnościowe w PKO w mln zł.	1274	2230	5400	7202

9. Opracowane na podstawie *Rocznika Statystycznego 1968*, GUS oraz *Rocznika Statystycznego Przemysłu 1945-1965*, GUS.

Nagle, niczym za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, na rynku pojawiły się towary wytworzone w wyniku tzw. wówczas produkcji ubocznej. Dziesiątki, setki zakładów przynoszących latami planowy deficyt, raptem zaczęły dawać zyski, przestały być obciążeniem dla państwa i społeczeństwa. W fabrykach i kopalniach powstały rady robotnicze, w przemyśle energicznie przystąpiono do eksperymentów ekonomicznych mających na celu przygotowanie nowego modelu przedsiębiorstwa *socjalistycznego*. Podkreślam to słowo, albowiem wbrew insynuacjom zaślepionych stalinowców, Październik nie był próbą restauracji kapitalizmu. Klimat, nastroje z lat 1956 i 1957 były widoczne gołym okiem i wymierne przy pomocy wskaźników statystycznych.

Nie trzeba być ekonomistą żeby zauważyć krzywą opadającą w dół w 1956 roku, w roku wiecowania, szczytu frustracji społecznej — w roku krwawej rozprawy z robotnikami Poznania. Łatwo z tych wskaźników odczytać ustępstwa władz — spadek kosztów utrzymania, wzrost płacy realnej oraz podaży towarów rynkowych. Gomułka nigdy ekonomistą nie był, ale jak każdy działacz partyjny potrafi odczytywać wskaźniki statystyczne. Zrozumiał sens wskaźników z lat przedpaździernikowych i ich wymowę w okresie burzliwego 1956 roku. Najważniejszą jego troską było przywrócenie dyscypliny pracy, powstrzymanie spadku wydajności pracy. Postanowił zatem zaprezentować klasie robotniczej coś, co specyfikuje jej bojowy, rewolucyjny nastrój:

„To, co w socjalizmie jest niezienne, sprowadza się do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka. Drogi do osiągnięcia tego celu mogą być i są różne. Warunkują je różnorodne okoliczności czasu i miejsca. Różny też może być model socjalizmu. Może być taki, jaki został stworzony w Związku Radzieckim, można go kształtować tak, jak widzimy to w Jugosławii, a może też być jeszcze inny. Tylko na drodze doświadczeń i osiągnięć różnych krajów budujących socjalizm może powstać najlepszy w danych warunkach model socjalizmu¹⁰...”.

Oświadczenie to, jak rychło pokaże czas, było szczytem obłudy, już wtedy bowiem Gomułka z niechęcią, jeśli nie z nienawiścią, odnosił się do marszałka Tito i do jugosłowiańskich doświadczeń społeczno-ekonomicznych; już wówczas zgoła obca była mu myśl poszukiwania własnych, polskich dróg do socjalizmu i zdecydowanego odejścia od obcego mentalności społeczeństwa polskiego bizantyjskiego modelu sowieckiego.



W planie pięcioletnim na lata 1956-1960 założono wzrost dochodu narodowego (w cenach porównywalnych w stosunku do 1955 r.) o 50 %, produkcji przemysłowej o 53-57 %, produkcji rolnej o 25 % oraz udział inwestycji netto w dochodzie narodowym na 17-18,5%¹¹. Na uwagę zasługuje fakt, iż większość nakła-

10. Władysław Gomułka. *Przemówienia*. Wyd. cyt.

11. *VII Plenum KC PZPR*. Wyd. cyt.

dów inwestycyjnych zamierzono przeznaczyć na rekonstrukcję i modernizację istniejących już zakładów. Nie będziemy obecnie oceniali głównych założeń planistycznych, czy proporcje były słuszne, czy planowane tempo wzrostu wskaźników odpowiadało potrzebom gospodarki i społeczeństwa. Ograniczymy się do oceny metod wykonania planu. Można bowiem było przystąpić do realizacji zadań w dwojaki sposób: kontynuując przyjęte w spadku po przedpaździernikowej ekipie zasady zarządzania i planowania, względnie wprowadzając nowe zasady, zgodnie z zobowiązaniami danymi społeczeństwu w Październiku. Zresztą każdy, kto choć trochę orientował się w mechanizmie postępu ekonomicznego, musiał zdawać sobie sprawę, że modernizacja przemysłu wymagać będzie nie tylko nakładów rzeczowych, ale również zastąpienia systemu zarządzania innym, nowym, sprawniejszym. W przeciwnym razie nakłady zostaną po prostu roztrwonione na dalszy ekstensywny rozwój, nastąpi nieuchronnie recydywa „rozpasania inwestycyjnego”...



Lata 1956 i 1957 charakteryzowały się bardzo silnym naciskiem na rynek szybko rosnącego w owym okresie funduszu płac. Partia, chcąc osłabić tą presję, dokonała redukcji nakładów inwestycyjnych, zmniejszając ich udział w dochodzie narodowym do 14,8 %, chociaż według innych danych udział był jeszcze niższy, wyniósł mniej niż 14 %¹². Partia spodziewała się, że dzięki temu zabiegowi wzrośnie podaż artykułów rynkowych, zwiększy się spożycie, nastąpi zrównoważenie bilansu płac i towarów rynkowych. Tak mogłoby się stać, gdyby w zakładach wytwórczych zaczęły działać nowe zasady gospodarowania, stymulujące wzrost jakości wyrobów, zmiany w strukturze asortymentów — jednym słowem, gdyby produkcja zakładów zaczęła być zgodna z popytem społecznym. Stało się jednak inaczej.

Zamiast odczuwalnego wzrostu spożycia w wyniku osłabienia tempa inwestycji, nastąpił niespodziewany i nieplanowany wzrost zapasów — ich udział w dochodzie narodowym nagle podniósł się z 5,8 % w 1956 r. do 7,9 % w 1958 r.¹³ W 1958 r. zapasy w przemyśle miały osiągnąć 3 mld zł, a faktycznie wzrosły ponad trzykrotnie, do ponad 10 mld zł. Partia zaplanowała wzrost zbytu towarów, tymczasem stało się wręcz przeciwnie — nastąpiło zahamowanie zbytu, a niesprzedane towary zalegać zaczęły magazyny. Wprawdzie partia powie na XII plenum KC w 1958 r., że „przeważająca część dochodu narodowego w latach 1956-1958 została zużyta na poprawę położenia materialnego klasy robotniczej i

12. „Rada Ekonomiczna przy Radzie Ministrów — Główne problemy sytuacji gospodarczej kraju”. *Materiały IX posiedzenia R.E. PWG*, Warszawa, 1958.

13. Tamże oraz Wł. Gomułka w referacie na XII plenum KC 15. X. 1958 wydrukowanym w zbiorze: *Materiały XII Plenum KC PZPR*, KiW, Warszawa 1958.

chłopstwa", prawda była jednak inna¹⁴. Mimo bowiem niższego udziału inwestycji w dochodzie narodowym, i mimo „zbilansowania” na papierze przyrostu funduszu płac i towarów, wzrost zapasów wyrobów, które nie znajdowały uznania konsumentów, pochłoniął zaoszczędzone inwestycje. Sytuacja nie uległa poprawie w następnych latach planu pięcioletniego — nieplanowany przyrost zapasów stał się głównym czynnikiem hamującym wzrost funduszu spożycia. W efekcie, chociaż rosła wartość produkcji globalnej, podnosiła się wydajność pracy robotników i również wielkość funduszu płac, przemysł nie był jednak w stanie zaspokoić rosnącego również popytu — struktura popytu nie pokrywała się ze strukturą podaży dóbr materialnych i usług. Pogłębił się proces inflacji, rosła frustracja społeczeństwa.

Dochód narodowy, zamiast o 50 %, powiększył się w 1960 r. tylko o 37 %. Za to przemysł, podobnie zresztą jak w poprzednim okresie i jak dziać się to będzie w późniejszych latach, przekroczył plan produkcji *globalnej*, osiągając wartość o 59,6 % wyższą niż w 1955 roku¹⁵. Mimo to, jak już wspomniano, przemysł nie potrafił się wywiązać ze swojego głównego zadania — zaopatrzenia rynku wewnętrznego. Co więcej, nie zdołał też osiągnąć założonej w planie obniżki kosztów materiałów. Identyczna niemal była sytuacja w budownictwie. W ostatecznym rachunku, po przejściowym spadku kosztów utrzymania w 1956 r., od 1957 r. zaznaczył się ponowny ich wzrost i znowu, podobnie jak w okresie planu sześcioletniego, nie zrealizowano zamierzonego wzrostu płac realnych i przeciętnych dochodów na głowę ludności rolniczej. Najgorszy był ostatni rok planu pięcioletniego, tzn. 1960, kiedy wszystkie niemal założone w planie proporcje „wzięły w łeb”. Nastąpiła kumulacja skutków przyspieszonego odwrotu od idei Października.

Wprawdzie większość wskaźników tabelki dotyczy tylko przemysłu, ale po pierwsze determinuje on sytuację w całej gospodarce, a po wtóre w innych dziedzinach nie działa się lepiej, więc można je tutaj pominąć. Zwróćmy przede wszystkim uwagę na słabnące tempo wzrostu zatrudnienia, które w 1960 r. osiąga prawie punkt zerowy. Dalej. Dynamiczny, jeśli wierzyć statystyce opartej na wskaźniku produkcji globalnej, wzrost właśnie produkcji globalnej przemysłu, to znaczy w warunkach słabnącego przyrostu zatrudnienia — szybki wzrost wydajności pracy. Tymczasem zmniejszała się stopa wzrostu spożycia, słabło tempo wzrostu płac nominalnych i, rzecz jasna, również realnych. W roku 1960 przyrost wydajności pracy robotników był najwyższy w całym pięcioleciu, a jednocześnie wzrost płac był najniższy, w istocie nastąpił spadek! To drastyczne pogorszenie się sytuacji mas pracujących nie spotkało się, o dziwo, z jawnym protestem klasy robotniczej. Owszem, „protestowała” przy pomocy zwiększonej ilości braków w produkcji, osłabieniem dyscypliny pracy,

14. Uchwała XII plenum KC PZPR. Wyd. cyt.

15. Sprawozdanie Komisji Planowania przy Radzie Ministrów z 1963 r. oraz dane z *Rocznika Statystycznego 1968* GUS.

mniejszą dbałością o gospodarkę zakładu, poprzez wzmożoną płynność kadr. Ale nie zaprotestowała tak, jak zdołała to uczynić w historycznym 1956 roku.

*Niektóre wskaźniki realizacji planu pięcioletniego.
Rok poprzedni = 100¹⁶*

	1956	1957	1958	1959	1960
Zatrudnienie w gospodarce społecznej	104,6	102,3	100,3	101,8	101,0
Przeciętna miesięczna płaca realna w gosp. uspoł.	111,6	108,2	103,3	103,0	98,5
Stopa wzrostu spożycia na 1 mieszkańca	108,7	108,0	101,2	106,1	98,9
Produkcja globalna w przemyśle	109,0	110,0	110,0	109,0	111,0
Wydajność pracy w przemyśle na 1 robotnika grupy przemysłowej ..	103,5	105,2	107,8	107,2	111,3
Przeciętna płaca miesięczna brutto na 1 robotnika grupy przemysłowej	110,9	119,4	105,8	107,5	102,3
Dynamika zatrudnienia w przemyśle	104,2	103,8	101,3	101,4	100,4

IV

Można dzisiaj śmiało powiedzieć, że partia pod wodzą Gomułki przygotowała przemysłany plan ataku na zdobycze Października, obliczony na „przywołanie do porządku” klasy robotniczej, jak również przywrócenie ograniczonej w 1956 roku władzy aparatczyków. Zamiast zebrać siły do przeprowadzenia generalnych zmian w życiu społeczno-ekonomicznym, partia skierowała je przeciwko zmianom. Partia uderzyła jednocześnie w kilku kierunkach, z których trzy zasługują na szczególną uwagę.

Jak pamiętamy, w Październiku Gomułka stwierdził, że:

„... tylko na drodze doświadczeń i osiągnięć różnych krajów budujących socjalizm powstać może najlepszy w danych warunkach model socjalizmu...¹⁷”.

Innymi słowy, trzeba będzie przystąpić do eksperymentów ekonomicznych w przedsiębiorstwach wytwórczych. Nie była to myśl odkrywczą, eksperymenty takie przeprowadzano już we wczesnej fazie rozwoju kapitalizmu — w okresie manufaktury,

16. Opracowane na podstawie *Rocznika Statyst. 1968* oraz *Rocznika Statyst. Przem. 1945-1965*. Wyd. cyt.

17. *Władysław Gomułka. Przemówienia*. Wyd. cyt.

intensywność ich wzrosła w XIX wieku. Doświadczenia dotyczyły m.in. racjonalizacji procesów produkcyjnych oraz form materialnych bodźców oddziaływania na załogi fabryczne. Zwłaszcza ten ostatni problem był, i jest nadal, przedmiotem dużego zainteresowania we wszystkich bodaj krajach uprzemysłowionych. Tym niemniej wspomniane oświadczenie Gomułki sprawiało wrażenie nowości. W Polsce bowiem, korzystającej z gotowych wzorców sowieckich, do 1956 r. nie stosowano żadnych absolutnie doświadczeń ekonomicznych. Toteż pierwsze eksperymenty narodziły się wraz z wybuchem powszechnej krytyki centralistyczno-biurokratycznego systemu zarządzania i planowania. Już sama wola eksperymentowania była wyrazem dezaprobaty dla sowieckich wzorców i przejawem wzrostu swobód demokratycznych, m.in. demokracji gospodarczej. Niektórzy ludzie ostrzegali jednak, że w pewnych warunkach eksperymenty ekonomiczne mogą stać się wygodnym pretekstem do odroczenia reform na czas nieokreślony. Historia przyznała im rację!

Faktem jest, że 1957 r. w każdej niemal gałęzi przemysłu liczne zakłady zainicjowały eksperymenty ekonomiczne. Liczbę takich zakładów szacowano wówczas na kilkaset. Na ogół eksperymentatorzy stawiali sobie następujące cele: zastąpienie wskaźnika dyrektywnego wartości produkcji globalnej wskaźnikiem syntetycznym, odzwierciedlającym rzeczywisty nakład sił i materiałów; zamiast kilkudziesięciu wskaźników dyrektywnych, przy pomocy których władze zwierzchnie kierowały działalnością przedsiębiorstw, ograniczenie ich liczby do kilku; wzrost samodzielności i odpowiedzialności administracji przedsiębiorstw i wraz z tym zwiększenie udziału załogi w zarządzaniu przedsiębiorstwem; powiązanie zasady planowania centralnego z samorządnością przedsiębiorstw; zastąpienie metod administracyjno-biurokratycznego zarządzania metodami opartymi na rachunku ekonomicznym i naukowej organizacji pracy. Wspominamy główne cele aby wykazać, że eksperymentatorzy nie mieli zamiaru dokonywać „restauracji kapitalizmu”, przywracać prywatną własność na środki produkcji... Generalny cel był jeden — *ulepszyć socjalizm*.

Charakterystyczny był tutaj przykład Zakładów Wytwórczych Przyrządów Pomiarowych „Era” we Włochach, który jako jeden z pierwszych przystąpił do eksperymentu. Oto treść apelu rady zakładowej, skierowany do załogi we wrześniu 1956, a więc jeszcze przed VII plenum KC:

„Od dłuższego czasu trwają w naszym zakładzie prace nad projektem eksperymentalnej organizacji i nowych form gospodarowania na lata 1957-1958... W najbliższym czasie, po ostatecznym zatwierdzeniu przez naszego ministra, tow. Jaszczuka (tak, ten sam Jaszczuk — A.G.), projekt ten zostanie przedłożony Prezydium Rządu celem uchwalenia. Nowe formy gospodarowania wprowadzą wiele zasadniczych zmian w życiu i pracy naszego zakładu. Nowe są zasady finansowania przedsiębiorstwa, gospodarowania powierzonymi środkami produkcji i materiałami, nowy będzie system płac pracowników fizycznych i umysłowych, nowy jest system premiowania, nowy

jest system zarządzania zakładem, nowa jest rola i zadania rady zakładowej... Nowy system stwarza konkretne warunki, by cała załoga stała się *faktycznym współgospodarzem* naszego zakładu... Towarzysze! Zwracamy się do całej załogi, aby swoim doświadczeniem i inicjatywą poparła ten „Statut¹⁸...”.

Załoga całym sercem, z entuzjazmem poparła inicjatywę eksperymentu i jego zasady. A efekty już po pierwszym roku były wręcz szokujące! Od lat, aż do 1956 r. włącznie, zakład ponosił planowane straty, był zakładem deficytowym, do którego państwo musiało „dokładać”. W 1956 r. straty wyniosły 3,5 mln zł, a w 1957 r. nie tylko zlikwidowano straty, lecz uzyskano zysk w wysokości 8,5 mln zł. Podobne efekty były udziałem większości zakładów eksperymentujących. Wyroby tych zakładów zaczęły torować sobie drogę na eksport, znajdowały uznanie na rynku wewnętrznym, rosła produkcja, podnosiła się wydajność pracy i, oczywiście, powiększały się płace załogi. Było więc nad czym się zastanowić, było czemu się przyjrzeć, coś musiało być godnego uwagi w tych eksperymentach, skoro w tak krótkim czasie dawały zaskakujące wręcz efekty.



Tymczasem zaszło coś dziwnego. Już w końcu 1958 r. na mocy odgórnych nakazów ograniczono zakres eksperymentów w dziedzinie udziału załogi w zysku. Skutek był taki, że mimo lepszej pracy załóg w konsekwencji wzrostu zysku przedsiębiorstw, udział załogi w zysku zaczął *maleć*! Oto konkretny przykład.

Dynamika zysku i udział załogi w zysku w ZWUP „Era”¹⁹

	1957	1958	1959
Dynamika zysku w %	100	138	145
Dynamika funduszu zakładowego w %	100	30	55
Procentowy udział fund. zakładowego w zysku	57,9	23,1	21,8
Udział załogi w zysku w tys. zł.....	4,890	3,276	2,670
Średnia nagroda 1 pracownika z tytułu udziału w zysku w zł.	5000	3500	2830

Jest to, jak się wydaje, tabelka, która w wymowny sposób demaskuje sens polityki obranej przez partię po Październiku — *zabić inicjatywę załóg, ostudzić ich aktywność społeczno-polityczną*. I to się powiodło, partii udało się podkopać zaufanie robotników do eksperymentów ekonomicznych. Kiedy grunt został przygotowany, w styczniu 1959 r. — zwróćmy uwagę na datę, później

18. Antoni Gutowski: *Eksperyment gospodarczy „Ery”*. Państwowe Wyd. Ek. Warszawa, 1967.

19. Tamże.

wyjaśni się dlaczego — Rada Ministrów wydała uchwałę Nr 25/59 obwieszczając *zakończenie eksperymentów ekonomicznych w całym przemyśle!* I co najciekawsze, nikt — ani komitet centralny partii, ani rząd, ani poszczególne resorty gospodarcze — nie zadał sobie nawet trudu, aby przed publikacją uchwały, zbadać wyniki eksperymentów. Nikogo nie interesowały! Bo to zresztą zrozumiałe, albowiem efekty doświadczeń w większości wypadków miały wymowę jednoznaczną: *sowiecki model ekonomiczny można zastąpić innym*. A tego właśnie Gomułka obawiał się najbardziej.



W tym samym czasie partia wymierzyła drugi cios — w powstałe w 1956 r. rady robotnicze. Podobnie jak w przypadku eksperymentów, przez cały 1958 r. trwała krecia robota organizacji partyjnych w zakładach i administracji przemysłowej, obliczona na dyskredytację rad robotniczych w oczach załóg. Organizacje partyjne coraz śміalej dublowały, a następnie ograniczały kompetencje rad robotniczych, a równocześnie dyrekcje przedsiębiorstw coraz mocniej przyciągały do siebie co aktywniejszych działaczy rad, wikłając ich w dziesiątki drugorzędnych problemów, przeróżnych dyrektywnych wskaźników planistycznych. Pod koniec 1958 r. w wielu zakładach pracy mówiono już o radach robotniczych, że „zaprzedały się administracji”, że „zagubiły się we wskaźnikach”. Tak przygotowano klimat ułatwiający zadanie ciosu.

W styczniu 1959 r. obok rad robotniczych wprowadzono instytucję tzw. „Konferencji Samorządu Robotniczego”, którą propaganda partyjna ochrzciła mianem „sejmiku przedsiębiorstwa”. Na pierwszy rzut oka KSR wydawała się instytucją bardziej demokratyczną, bo zrzeszającą przedstawicieli wszystkich organizacji społeczno-politycznych przedsiębiorstwa. Faktycznie było wręcz przeciwnie — rada robotnicza, reprezentująca przeciętnie 60-70 % ogółu załogi znalazła się w mniejszości; głos decydujący uzyskali przedstawiciele administracji i władz partyjnych. W istocie rzeczy, z chwilą powstania KSR rady robotnicze przestały się liczyć, stały się ornamentem dekoracyjnym uroczystych akademii. Sytuacja, jak powiedziałyby człowiek bywały, uległa normalizacji — robotnikom pokazano, gdzie jest ich miejsce w przedsiębiorstwie socjalistycznym, tzn. na stanowisku *robotczym*.



I wreszcie trzecie uderzenie na odcinku newralgicznym dla robotników, bo w dziedzinie norm pracy i regulaminów płacy. W 1959 roku — a więc zbieżność dat nie mogła być dziełem przypadku — zorganizowano w przemyśle wielką akcją nazwaną w skrócie NTU, czyli norm technicznie uzasadnionych. I znów, jak w poprzednich dwóch wypadkach, akcja poprzedzona została przygotowaniem psychologicznym. Nagle w 1958 r. partia rozpo-

częła kampanię propagandową wokół rezerw potencjału produkcyjnego. Cel kampanii był przejrzysty — wykazać robotnikom, że można w większym niż dotychczas stopniu wykorzystać istniejący park maszynowy w zakładach, że organizacja pracy mocno szwankuje, że można względnie tanim kosztem podnieść wydajność pracy. Wygrają na tym robotnicy, wzrosną bowiem, zarobki, a praca stanie się łatwiejsza, bezpieczniejsza. Istotnie na skutek istniejącego bałaganu organizacyjnego rezerwy były olbrzymie. Wykorzystanie rezerw wymagało jednak spełnienia kilku warunków, przede wszystkim najważniejszego — właśnie usprawnienia organizacji pracy robotników. Tylko wówczas możliwa byłaby realizacja zadania postawionego przez partię we wspomnianej akcji: osiągnięcie w latach 1961-1965, a więc w okresie realizacji nowego już planu pięcioletniego, przyrostu produkcji przemysłowej w 80 % dzięki wzrostowi wydajności pracy.

W samym tylko przemyśle elektromaszynowym akcją NTU objęto ponad 400 przedsiębiorstw, a do jej realizacji skierowano dziesiątki tysięcy inżynierów, ekonomistów, planistów i również, rzecz oczywista, działaczy partyjnych. Cechą charakterystyczną tej typowej dla biurokratów partyjnych pierwszej i jak się okaże, nie ostatniej akcji, było działanie poprzez tzw. komisje społeczne powołane *ad hoc*, które na okres trwania akcji zastępować miały funkcjonalne komórki administracji przemysłowej i w pewnym zakresie również organizacje społeczno-polityczne. Komisje bowiem, działające w zakładach pracy, podlegały nie miejscowym kierownikom gospodarczym, politycznym, czy samorządowym, lecz wyższym instancjom partyjnym i administracyjnym. Chodziło, rzecz jasna o to, aby komisje nie ulegały presji załóg — powinny być niezauważalne, sprawne w działaniu, bezwzględne w opiniowaniu „możliwości wzrostu”... I takie też będzie oblicze wielu komisji w następnych akcjach. Ale nie wszystkich.

Akcja NTU spełniła swoje zadanie w dwóch tylko dziedzinach — udało się mianowicie wprowadzić nowe, rzekomo technicznie uzasadnione, normy oraz nowy „sprawiedliwszy” regulamin płac. Formalnie zakończenie akcji ogłoszone zostało w 1962 r., faktycznie nigdy nie udało się doprowadzić jej do końca. Najważniejszy warunek wysuwany zresztą powszechnie przez robotników — kompleksowej poprawy organizacji pracy nie został spełniony. W większości przedsiębiorstw robotnicy nadal sami pobierali z narzędziowni narzędzia pracy, tylko w 15 % przedsiębiorstw udało się zorganizować w pewnym zakresie dostawę narzędzi do stanowisk roboczych. Obiecano robotnikom wiele — niezawodność maszyn i urządzeń, zmniejszenie czasu przestojów, rytmiczne zaopatrzenie w materiały niezbędne do procesu produkcyjnego. Ani jeden z tych warunków nie był spełniony²⁰. W tym samym czasie przez przemysł przetoczyła się fala redukcji robotników, przemieszczeń z prac lepiej płatnych na gorzej płatne. Mimo to partia nie ośmiadła oświadczyć, że akcja NTU zakoń-

20. Tamże.

czyła się pełnym powodzeniem, a w dowód uznania ówczesnego ministra przemysłu elektromaszynowego, Franciszka Waniółkę, który zainicjował akcję, awansowała na stanowisko wicepremiera! Dla innych potencjalnych kandydatów do awansu był to znak nieomylny, że karierę robić będą mogli — nie zwolennicy radykalnej reformy systemu zarządzania i planowania, lecz ludzie wprowadzający twardą ręką reżym administracyjno-biurokratyczny.

W takich oto warunkach udało się Gomułce przejść przez swój pierwszy nieudany plan pięcioletni i jednocześnie zahamować reformę społeczno-gospodarczą.

V

W 1959 r. III zjazd PZPR podjął uchwałę o planie pięcioletnim na lata 1961-1965. Przewidywała ona wzrost dochodu narodowego o ok. 40 %, produkcji przemysłowej o niecałe 50 %, produkcji rolnej o ok. 20 % oraz inwestycji o blisko 49 %²¹. Takie były podstawowe założenia, nad przygotowaniem których pracowano usilnie przez czas dłuższy i wokół których na zjeździe toczyła się „wnikliwa i wyczerpująca” dyskusja. Jednakże już w dwa lata później partia, ściślej biuro polityczne, dokonało korekty planu. Oczywiście, nie na zjeździe partyjnym, lecz w tzw. okresie „międzyzjazdowym”. 17 lutego 1961 Sejm w swojej uchwale ustalił nowe proporcje: wzrost produkcji przemysłowej wynieść miał 52 %, rolnej 22 %, nakładów inwestycyjnych 53,2 %. Tak, dokładnie dwie dziesiąte procenta... Ponadto przewidziano wzrost zatrudnienia w gospodarce uspołecznionej o 10,7 % (i znowu z jaką dokładnością), wydajności pracy w przemyśle o 40 % oraz przeciętnej płacy realnej (w gospodarce uspołecznionej) o 23 %²². Rychło się okazało, że większość z tych wskaźników pozostanie na papierze.

Dawno nienotowaną klęskę poniósł przemysł w dziedzinie wydajności pracy już w pierwszym okresie realizacji planu pięcioletniego. W latach 1961-1963 wzrost wydajności osiągnięty został zaledwie w 75 % (15 % zamiast 20 %), a przyrost produkcji uzyskany dzięki wyższej wydajności pracy wyniósł 60 %, a nie jak planowano 80 %²³. Jakie były konsekwencje, można łatwo sobie dopowiedzieć. Liczba zatrudnionych była większa, niż planowano. Wskutek tego zachwiana została uprzednio „dokładnie zaplanowana” struktura zatrudnienia w całej gospodarce narodowej. Np. przemysł winien był przyjąć tylko 253 tys. dodatkowych osób, tymczasem już w czterech latach pięcioletki wchłonął 486 tys.: podobnie działo się w budownictwie i w transporcie. Po-

21. Uchwała III zjazdu PZPR, *Nowe Drogi* 1959, nr 4.

22. *Uchwała Sejmu z 17. II. 1961 r.* KiW, Warszawa 1961.

23. Referat biura politycznego na XIV plenum KC PZPR. *Trybuna Ludu* z 1. XII. 1963.

nadplanowy przyrost zatrudnienia w tych działach gospodarki spowodował z kolei ostry niedobór rąk do pracy w innych działach. Plan wzrostu zatrudnienia np. w obrocie towarowym wykonano zaledwie w 50 %, nie lepsza była sytuacja w innych „nieprodukcyjnych” działach, m.in. w oświacie, nauce, kulturze, w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej²⁴. Zachwianie struktury zatrudnienia wywołało pogorszenie usług dla ludności. Ostatecznie wzrost wydajności pracy w przemyśle wyniósł tylko 24 %, zamiast planowanych 40 %²⁵. W tym miejscu trzeba wnieść pewne zastrzeżenie. Otóż wielu ludzi w Polsce zgodnych jest co do tego, iż wskaźnik 24 % jest nieprawdziwy. Jedni twierdzą, iż rzeczywisty przyrost wydajności pracy był dużo niższy, a partia w obawie przed kompromitacją dokonała pospolitego fałszerstwa. Inni zaś są zdania, że owszem, fałszerstwo miało miejsce, ale wzrost wydajności pracy był wyższy od opublikowanego wskaźnika, tylko że partia — chcąc uzasadnić niski wzrost stopy życiowej, zataiła faktyczny stan rzeczy.



W 1963 r., przeprowadzono inną akcję pod kryptonimem „R”, czyli rezerwy. Główne jej cele były takie same, jak w 1959 r.: zahamować tempo wzrostu płac i jednocześnie zmusić robotników do podniesienia wydajności pracy. Z formalnego punktu widzenia istniały podstawy, aby domagać się od przemysłu lepszej bardziej efektywnej pracy. Rosła bowiem dezorganizacja produkcji, powiększała się, na skutek wadliwej organizacji, liczba godzin zarówno przestojowych jak i nadliczbowych. W wielu zakładach pracy, jak np. w stoczniach okrętowych, część załogi pracowała po 18-20 godzin na dobę bez niedziel i świąt! I tak jak w poprzednich latach, narastać zaczęły nikomu niepotrzebne zapasy, a w sklepach półki świeciły pustką, przed sklepami zaś wydłużały się kolejki ludzi „stojących za” mięsem, mlekiem, obuwem itp.

Akcja NTU zaczęła się u progu nowej pięcioletki, zaś akcja „R” dopiero w trzecim roku realizacji planu. Nie wykluczone, że partia zwlekąła z nową kampanią w oczekiwaniu na wygodny pretekst. W każdym razie zatroszczyła się o to sama natura, najpierw bowiem Polskę nawiedziło „lato pięćdziesięciolecia”, a potem słynna „zima stulecia”. I u schyłku tej właśnie zimy dano sygnał do ataku — przystąpiono do akcji „R”. Najpierw, jak przed laty, powołano komisje społeczne, które skierowano następnie do zakładów pracy. Szacowano wówczas, że uczestniczyło w nich w samym tylko przemyśle kilkadziesiąt tysięcy specjalistów. Zadania komisji były stereotypowe i brzmiały mniej więcej tak: należy ujawnić przyczyny zaburzeń organizacji pracy w każdym z oddzielnych zakładów; wskazać sposoby podniesienia

24. Andrzej Hodoly: *Problemy spożycia w Polsce*, Państw. Wyd. Ekonom., Warszawa 1966.

25. Tamże.

wydajności pracy, zahamowania wzrostu zatrudnienia, zmniejszenia liczby godzin nadliczbowych; określić metody poprawy jakości produkcji, zmniejszenia procentu braków, wzrostu oszczędności materiałów... A jednocześnie przez przemysł ponownie przewalała się fala zwolnień robotników z pracy. Pozornie redukcją obejmowano „bumelantów”, faktycznie chodziło o zmniejszenie zatrudnienia i zastraszenie ogółu załóg robotniczych. Była to szczęśliwa „zima stulecia”, albowiem z dniem 1 kwietnia 1963 r. partia mogła podnieść ceny węgla, energii elektrycznej, gazu, a we wrześniu tegoż roku wzrosły jeszcze ceny mleka i przetworów mlecznych (z wyjątkiem masła) oraz wódek, zapalek, octu...

Darujmy sobie omówienie wyników realizacji innych wskaźników planu 1961-1965, odnotujmy jeszcze jeden: płace realne. Miały one wzrosnąć o 23 %, tymczasem osiągnięto zaledwie 8 %²⁶... Ale Gomułce udało się przebrnąć przez następne pięciolecie i odsunąć na dalszą, ciągle nieokreśloną przyszłość obiecaną reformę.

Antoni GUTOWSKI

(Dokończenie nastąpi)

26. Tamże.

NOTA BIOGRAFICZNA AUTORA

Antoni GUTOWSKI, w latach 1962-1968 publicysta ekonomiczny tygodnika *Polityka*, współpracownik tygodnika *Życie Gospodarcze*, *Agencji Robotniczej* oraz dwutygodnika *Zagadnienia i materiały*. W 1965 r. otrzymał II nagrodę za publicystykę ekonomiczną z Klubu Publicystów Ekonomicznych SDP, a w 1968 r. III nagrodę również z Klubu Publicystów Ekonomicznych SDP". Polskę opuścił 30 listopada 1968 r.

O rewizjonizmie

Marzec 1968 odznaczył wyraźnie pewien okres w historii ostatnich 25 lat Polski, ujawniły się w drastyczny sposób niektóre konsekwencje postaw politycznych i programów. Nikt właściwie nie pozostał poza przemianami, które objęły kraj; nic niemal nie pozostało nietknięte. Zazwyczaj w takich właśnie momentach, wobec pewnych zakończeń i w nadziei nowych początków przychodzi potrzeba refleksji. 25 lat powojennych jest samo przez się wystarczającym pretekstem do podjęcia rozmyślań.

O wydarzeniach marcowych wiemy przede wszystkim, że była tam prowokacja, pozostaje jednak bez odpowiedzi pytanie —

gdzie była opozycja? Parę kolejnych kroków sprowadza nas do tematu — rewizjonizm. O pewnych politycznych konsekwencjach postawy rewizjonistycznej będzie poniżej. W pewnym sensie będą to uwagi poświęcone modelowej sytuacji tzw. liberalnej opozycji wyrastającej wśród frondujących komunistów jeśli nadarzy się po temu sprzyjająca okazja, a czasami nawet i wbrew okazji. W końcu marzec 68 był to prostu konsekwencją października 56.

Partia rewolucyjna z chwilą objęcia władzy staje u początku własnego końca — proces stabilizacji odbiera jej rację istnienia. Nie wystarcza ideologia transcendująca zastany świat, prawdziwą dynamikę nadają jej działania podejmowane aby realizować cele leżące w zasięgu prostego doświadczenia. Nigdy nie kończący się proces podboju w imię Najwyższej Prawdy wymaga codziennych łupów, jedynie niewielu wybranych dosięga Idei kontemplując. Stąd więc krucjaty, herezje i anatemy; walki frakcyjne, czystki i wreszcie teza, że w toku budowy socjalizmu zaostrza się walka klasowa. Ruch z założenia rewolucyjny, wyjąłowy i zakrzepły w anachronicznych instytucjach, musi i nie może równocześnie napotkać przeciwnika: musi — bowiem walka jest istotą rewolucyjnej ideologii, nie może — bowiem jest już bezsilny. Należy więc owego przeciwnika tak „napotkać” aby był i nie był równocześnie. Rewizjonizm pokonał prawo wyłączonego środka.

Naczelny rys październikowej odwilży — spór o spadek mianowicie, rozsądzony został definitywnie w 12 lat później: jedynym spadkobiercą jest aparat ustanawiający porządek totalitarny. Właściwie dla tych, którzy w 56 podjęli płomienną dyskusję na temat „błędów i wypaczeń” ów wyrok historii nie jest, nie powinien w każdym razie być dramatem — po prostu jeszcze jeden błąd. Z czcią mówili o Tadeuszu Krońskim, uznawali w nim swego mistrza, czytali szkic „Faszyzm a tradycja europejska” domyślnie ekstrapolując. Pisał Kroński: niezmiernie trudno jest uchronić się od porażenia doktryną faszystowską, każde podjęcie dyskusji choćby dotyczące części tylko jej zasad jest pierwszym objawem choroby, która niepostrzeżenie rozwijając się — zabija. Trzeba być bardzo rozumnym aby się jej ustrzec. Zabrano więc trupa stalinowskich porządków w 1956 i zaczęto studiować patologię, nikomu nie przyszło do głowy wyjść na świeże powietrze.

Kiedy po pierwszym okresie publicystycznego równouprawnienia nowa ekipa zaczęła organizować porządek publiczny i okazało się, że ów odradzający się socjalizm również wymaga rozmaitych ograniczeń zaczęli organizować protesty. Prędko się okazało, że moralna katharsis anno domini 1956 była niewystarczająca, bowiem należało domagać się instytucjonalnych zmian i gwarancji demokracji a nie głównie, w imię słusznego skądinąd oburzenia, żądać usunięcia „skompromitowanych” ludzi i zaprzestania „skompromitowanych” praktyk. Ze zdziwieniem stwierdzano rosnącą nieprzenikliwość administracji na owe protesty, obserwowano, z pewną może nawet satysfakcją jak stają się one pretekstem do coraz mniej sensownych, coraz głębszych zarządzeń władz.

I nikt nie zadał sobie przez długi czas pytania na temat być może ukrytego sensu postępującego rozdziału między „nami a nimi”. Zadawałało lapidarne zdanko: „My gramy z nimi w szachy a oni z nami w dupaka”. Było nas jednak kilkudziesięciu, którzy graliśmy w te szachy, w dupę zaś wzięło całe społeczeństwo.

Refutacja dogmatycznej tradycji w swej niekonsekwencji doprowadziła do wpłatania się na powrót w klasyczny mechanizm dialektyki „ortodoksji i herezji” wielokrotnie już powielony.

Nieodmienny entuzjazm neofitów i tym razem spisany został na konto rutyniarzy: młode pokolenie wyrosło w latach 56-66 identyfikowało światopogląd marksistowski jako swój własny (choćby w tym sensie, że tak go nazywano) głównie dzięki wysiłkom tych, którzy w 1968 przez nosicieli porządku publicznego i tytułarnych spadkobierców komunistycznej ideologii wyklęci zostali jako wrogowie naczelni — „rewizjoniści”. Hasło — nie ma zbawienia poza Kościołem — z zadziwiającą ślepotą i ci podejmują, którzy później spłoną na stosach.

Pewne charakterystyczne zasady postępowania politycznego tak oto wyglądają: 1) Wszelka krytyka z niemarksistowskich pozycji jest zła, w szczególności kontestacja istniejącego porządku społecznego nie może uderzać w jego socjalistyczne podstawy.

2) Pozostanie w partii jest sensowne — w ostatecznej konsekwencji nadaje mu sens opuszczenie szeregów. Dwie były wersje biografii — ci, którzy zostali wyrzuceni i ci, którzy wystąpili. Wystąpienie było aktem politycznie samoświadomym co znajdowało wyraz w napisanym uzasadnieniu oddania legitymacji; wyrzuceni musieli politycznie usensowniać swoją sytuację przez napisanie odwołania do wyższej instancji. Znany jest jeden przypadek oddania legitymacji wraz z uzasadnieniem niezłożenia uzasadnienia. W owym uzasadnieniu, które w istocie i zamiarze nim nie było szło o to głównie, że ewentualnie złożone uzasadnienie mogłoby zostać przez wrogie ośrodki na niekorzyść Rzeczypospolitej użyte!

3) Wystąpienie krytyczne pomyślane jako politycznie dojrzałe nie może zostać wykorzystane przez tzw. „wrogie siły”, co mogłoby oznaczać, że jest „obiektywnie skierowane przeciwko żywotnym interesom”... Należy wobec tego odciąć się od współcześnie istniejących zagrożeń. Znów więc żadna zewnętrzna próba sformułowania krytyki jest nie do pomyślenia. Nawiasem mówiąc wiele studenckich wypowiedzi i ulotek marcowych zostało napisanych wedle tejże samej, pokręconej świadomości politycznej, która za rzeczywistość przyjmowała kreację demagogicznej frazeologii. Cóż bowiem ma oznaczać na przykład — „odcinamy się od syjonizmu”? Odcinamy się od zmyślenia Mocзара? Czy może kogoś innego? Bo w każdym razie syjonizmu w Polsce anno domini 1968 nie było.

4) Mit obłożonej twierdzy *à rebours*, czyli nie jest ważne co nas dzieli skoro łączy nas wspólny nieprzyjaciel — nie jest przez nas atakowany nikt, kto ma aktualnie trudności z władzami.

Skrajnym przykładem jest tu osoba Schaffa, któremu poświęcony został numer *Nowych Dróg* po popełnieniu przezeń książki „Marksizm a jednostka ludzka” i który obwołany został świętą krową natychmiast potem, przy czym nikt nie miał złudzeń co do wartości książki. A przecież od dawna było wiadomo, że to nie krowa a świnia, co natychmiast znalazło kolejne potwierdzenie, tym razem na pomarcowym plenum kiedy ratując swój fotel w K.C. mówił, jak to już jakieś dwa lata temu donosił był panu tu na sali obecnemu, Prokuratorowi Generalnemu, że ci studenci to jakaś tajna organizacja. Ci studenci siedzieli wtedy w więzieniu. Tym razem więc nie tyle może zmyślenie przyjęte za rzeczywistość, co przekreślony zupełnie tok myślenia, w każdym razie niewiele mający wspólnego z myśleniem politycznym.

5) Partyjnych (czyli na początku niemal wszystkich) obowiązywała partyjna dyscyplina, w szczególności więc kontrowersyjne sprawy dotyczące polityki partii (czyli wszystkie istotne) można dyskutować jedynie wobec partyjnego forum. Komentarz charakterystyczny: „to co powiedział Kołakowski — w X rocznicę października — jest słuszne, tylko dlaczego mówił do studentów a nie na zebraniu organizacji partyjnej?”

Mówiono więc o problemach, które podsuwała partia, językiem którego używała partia, analizując wedle wzorów jakich używała partia, adresowane to było do publiczności jaką wybierała partia, oprócz tego opowiadano dowcipy co trochę ratuje sytuację. I tak trwało sobie to przedrzeźnianie. Warto jednak choćby *a posteriori* przyjąć do wiadomości — uprawianie opozycji było co najwyżej pobożnym życzeniem, ale wtedy nieuchronnie przychodzi pytanie — w jakiej funkcji ortodoksji wystąpiliśmy?

W wielkim skrócie rzecz ujmując i mając w pamięci, że mowa tu tylko o politycznych reperkusjach pewnej postawy światopoglądowej — *nota-bene* nie one są najbardziej dewastatorskie dla polskiej rzeczywistości, może najbardziej spektakularne, bo w krótkim czasie doświadczono ich w wielkim stłoczeniu ale utrwalone zostały w innym planie — zarzucenia refleksji niezarażonej komunistyczną indoktrynacją, zarzucenia tradycji bez nawiązania do której żadna kultura nie może się długo rozwijać — 25 lat duchowego rozwoju Polski Ludowej jest tego wymownym świadectwem, otóż w skrócie należy wyróżnić dwa przede wszystkim aspekty — kanalizujący niezadowolenie i stymulujący ideologiczną linię partii. Tak jak okienko w koszarach mikołajowskich otwierano nie po to aby je przewietrzyć ale po to by zobaczyć kto do niego podejdzie, tak i skupienie ludzi niezadowolonych, potencjalnie mogących myśleć i pracować wbrew ideałom komunistycznej ortodoksji wokół idei zasadniczo porządku nie kwestionujących i praktyk zgoła niegroźnych dla policyjnej dyktatury było znakomitym zabiegiem przeczyszczającym. A z drugiej strony niewyczerpane źródło pretekstów do coraz nowych krucjat ideologicznych albo administracyjnych w zależności od potrzeby. No bo gdzież znaleźć równie dynamiczny element nakrę-

cania koniunktury i rozbudzenia wojowniczej histerii. Wyprawa przeciwko Kościołowi się nie udała, ale za to tysiące robotników „wystosowało” do towarzysza Wiesława tysiące listów potępiających niecnym odszczepieńców a jeszcze przedtem setki młodych aktywistów zacierało ręce na myśl o otwierających się posadach — oczyścić partię i instytucje z rewizjonistów czy syjonistów — świetnie umiemy to nie od dziś. Aktywność i czujność ideologiczna wszak to nie bez kozery naczelne hasła.

I bawili się w tę zabawę przez parę lat. Wykonywano gesty, po to choćby jak się czasem mawiało aby był ruch w interesie, z chwilą jednak kiedy pantomima przerodziła się w dramat okazało się, że aktorzy rzeczywiście są niemi.

Należy i w tym przypadku wyważyć przydział odpowiedzialności za to co się wydarzyło. A jest się nad czym zadumać: likwidacja polskiej humanistyki, likwidacja wydziałów nauk społecznych na uniwersytetach (fala marcowych docentów i asystentów nadaje się raczej do szkół dla policji), utrącenie pierwszemu od wielu lat zdrowemu pokoleniu młodzieży polskiej, nie wykoślawionemu przez konieczności wyborów okupacyjnych, pookupacyjnych, stalinowskich, postalinowskich, możliwości dojrzewania w normalnym klimacie, obrzucenie go pomyjami faszyzującej propagandy, obłudy i kłamstwa i wreszcie potworny, krwiopijczy obłęd, w którego konsekwencji kilkanaście tysięcy Polaków pochodzenia żydowskiego musiało opuścić kraj. Podobne praktyki nie pozostają bez wpływu na biologiczne siły narodu, powojenna kultura niemiecka, a raczej jej nieobecność, świadczy o tym najbardziej. Tak jak ofiary niesposób obarczać odpowiedzialnością za zbrodnię na tej jedynie zasadzie, że samo jej istnienie zbrodnię uczyniło możliwą tak i nieszczęsnych rewizjonistów za dzisiejszy obraz polskiej rzeczywistości nie możemy winić w całości. Byli jednak funkcją systemu, który do tego przerażającego stanu rzeczy doprowadził, dawali preteksty, które pewnie i tak by się w końcu znalazły choć dla nich nie powinno być to wielką pociechą, intelektualnie nie potrafili wyrwać się poza krąg przeklętych problemów, nie potrafili uchronić się od swego rodzaju kolaboracji choć całą moralną i intelektualną nieważkość swoich partnerów (nie przeciwników a partnerów właśnie) widzieli lepiej niż inni.

Znów jednak nauczyliśmy się czegoś. Ta definitywna przegrana ludzi o niezaprzeczalnych walorach intelektu i ducha pokazuje, że nie ma co się spierać kto jest komunistą a kto się nim tylko sam nazywa, kto komunistyczne hasła realizuje a kto się pod nie tylko podszywa, że wszelkie wariacje na temat błędów i wypażeń prowadzą tylko do kolejnych błędów, które się potem nazywa rewizjonizmem, a które w każdym następnym wydaniu są coraz bledsze, do problematyki, która ma dla rozwoju intelektualnego zabójcze konsekwencje — jest martwa.

“Zawodowy Polak”

Pod tym tytułem nieoceniony W. Machejek snuje następujące rozważania w krakowskim *Życiu Literackim*:

„...Zbowidowcy działają na rzecz umacniania przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami wspólnoty socjalistycznej, przeciwstawiają się antypolskiej propagandzie i dywersyjnym próbom osłabiania spójności wewnętrznej narodu i podważania jedności państw socjalistycznych, angażują się w umacnianie i dalsze rozwijanie ludowej obronności, zwłaszcza w systemie powszechnej samoobrony...

Czas idzie naprzód. Na sali obrad znaleźli się komuniści, AK-owcy i to nawet tacy, którzy mieli „na pieńku” z Polską Ludową po wojnie — w imię „Londynu”, i tacy księża w sutannach, którzy mówili że wszędzie są tam, gdzie ojczyzna z wrogiem się ściera.

Niektóre słowa, bynajmniej nie płaszcząc się, znakowały żmudną i zwycięską drogę przeobrażeń wielu bojowników o Polskę. Jak to dobrze powiedzieć, dla jasności, o własnej ewolucji. Mniej boli, gdy sam się zatniesz przy goleniu... Moneta zachodniości uległa u wspomnianych prawie całkowitej dewaluacji. Na tym tle trzeba widzieć odwrotną stronę medalu, czyli zagadnienie prawdziwie owocnych dla Polski sojuszków. Dzięki przeobrażeniom wielu Polaków, odbywających się przecież także z konfrontacjami i ewolucjami zewnętrznymi, Polacy mogą się uważać za sojusznika najbardziej godnego zaufania ZSRR. Oto tak wygląda rzekomy nacjonalizm patriotyzmu polskiego.

Niewątpliwie najbardziej wzruszały przemówienia Polaków — żołnierzy z Zachodu. I znów, moim zdaniem, mają one znaczenie ogólnonarodowe wspierające samopoczucie patriotyczne i socjalistyczne wszystkich. Nie o to więc chodzi, że ZBoWiD potrafił wejść autentycznie w środowiska kombatanckie w zagłębiu Ruhry, we Francji, Anglii, Kanadzie i USA, szantażowane przez emigracyjnych polityków i renegatów z „nowej fali” rewizjonistyczno-syjonistycznej, natomiast chodzi o to, że misję tę spełnił ZBoWiD w imię całego narodu, i o to, że ludzie jeszcze chwiejni i trochę przestraszeni niepolskimi mowami wyrażanymi w języku polskim — via propagandowe tuby zachodnie — mogą się przekonać o utracie monopolu przez szaleńców, wrogów i rewizjonistycznych bałamutów. Jeszcze jeden przykład na to, może skrajny, ale tym bardziej dobitny: coraz liczniejsze rzesze duszpasterzy polskich na Zachodzie w pieśni „Boże coś Polskę” — już nie podejmują zwrotu: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie” — lecz „Ojczyznę wolną, pobłogosław Panie”. Mała rzecz a cieszy? Nie, wielka rzecz i zastanawia. Stwierdza to komunista radujący się zjawiskiem konstytuowania się w skali światowej pojęcia z a w o d o w e g o P o l a k a czującego specjalne powołanie do czynnego kochania ojcowizny-ojczyzny, mimo że uznaje lojalnie państwo w którym żyje. Z a w o d o w y P o l a k bez względu na różnice polityczne i światopoglądowe — dlatego, że silniejsze jest TO, co łączy. Nie interes. Ci co o interesie myśleli — zwiewają gdzie nie pieprz, lecz interes rośnie. Jak ich ta ziemia znośiła? Im mniej takich, tym więcej socjalizmu w Polsce...

Czarna lista

- Wojciech Sulewski: *Partyzancka ofensywa 1944 r.* „Tygodnik Kulturalny”, Nr 39 z 28. IX. 69. Niezręczna próba tworzenia mitu wszechpotęgi AL w czasie okupacji niemieckiej.
- Michał Lang: *Polonia brytyjska — geneza przemiany.* „Argumenty”, 28. IX. 69.
- Wiesław Mysiek: *Nowe zmartwienia „Wolnej Europy”.* „Argumenty” z 28. IX. 69 i poprzednie reportaże na ten temat.
- Jan Drohojowski: „*Mój*” *Rubens* (i większość megalonańskich wspominków). Także „Argumenty”.
- Marek Chmielewski: *Powitanie na polskiej ziemi.* „Trybuna Ludu” z 20. IX. 69.
- Zostali odznaczeni i przyjęli dekoracje nadane im przez PRL następujący Polacy w Wielkiej Brytanii: Jan Płatos, H. Archutowski, I. Czaykowski, J. Dembicki, J. Janowicz, J. Jaworski, J. Kędzierski, A. Krajewski, W. Kwiatkowski, M. Lang, A. Smordowski, Zb. Sołtysik, R. Guthrie-Uchotski, J. Łęcki i płk. St. Sadowski.
- Władysław Grabka: *Swoista lekcja patriotyzmu!* „Słowo Ludu” z 21. IX. 69.
- Janusz Litwin: *Maska spadła.* (O Pelikanie, b. nacz. dyr. telewizji czechosłowackiej). Radio Warszawa.
- Andrzej Jędrkiewicz: *Kto jest kim?* Radio Warszawa, 9. X. 69.
- W „Dniu Wojska Polskiego” (który dziwnym trafem prawie pokrywał się z rocznicowymi uroczystościami UB) Ministerstwo Obrony Narodowej nadało szereg odznaczeń i wyróżnień. Wyróżnienia te obejmują znakomitą większość ludzi zamieszczanych od dwóch lat na naszej „Czarnej liście”. Czy naprawdę w wojsku nie ma ludzi, którzy by nie czuli ciężaru tradycji Armii Polskiej — jednej z najpiękniejszych w naszej historii?

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Podwójne obywatelstwo

Główne źródła konfliktu

Każde państwo decyduje o tym kto jest jego obywatelem, podobnie jak każde stowarzyszenie stanowi o tym kto jest jego członkiem.

Systemy prawne państw posiadają ustawy o obywatelstwie, określające jak się nabywa i traci obywatelstwo. Często opierają się one na odrębnych lub nawet sprzecznych zasadach, a w konsekwencji ich normy prawne posiadają różny zasięg w różnych państwach. Nic też dziwnego iż zdarza się stosunkowo często, że niektóre osoby mogą być uważane za obywateli dwu lub nawet więcej państw.

Konflikty ustaw o obywatelstwie stworzyły zagadnienie tak zwanego podwójnego obywatelstwa. Niejasne to pojęcie i łatwo wprowadzające w błąd przeciętnego czytelnika. Nie należy go rozumieć w ten sposób, że osoba korzysta z uprawnień obywatela w dwu państwach. Podwójne obywatelstwo należy rozumieć raczej, że każde z dwu lub więcej państw uważa na podstawie swego prawa tę samą osobę za swego wyłącznie obywatela, negując takie uroszczenia innych państw i domagając się wyłącznego wypełniania obowiązków jakie obywatelstwo nakłada. Podwójne obywatelstwo — to konflikt prawny ustaw dwu lub więcej państw, konflikt którego bezbronnymi ofiarami są jednostki.

Ustawa z dnia 15 lutego 1962 roku o obywatelstwie polskim, obecnie obowiązująca, zawiera wyraźne co do tego postanowienie (art. 2):

„Obywatel polski w myśl prawa polskiego nie może być jednocześnie uznawany za obywatela innego państwa”.

Kilka jest źródeł konfliktu. Dwa są najważniejsze. Jedno związane jest z nabywaniem obywatelstwa przez urodzenie, drugie — z jego utratą przez naturalizację w innym państwie.

Ustawy wszystkich państw zgodnie stanowią, że nabywa się obywatelstwo przez urodzenie, jednakże różnią się zasadniczo co do tego, jakiego państwa: czy państwa miejsca urodzenia (*ius solis*), czy też państwa którego rodzice (lub jeden z rodziców) są obywatelami (*ius sanguinis*).

Stany Zjednoczone, kraje anglosaskie i niektóre inne uznają zasadę miejsca urodzenia jako podstawę, a zasadę obywatelstwa rodziców za zgołą wyjątkową, stosowaną tylko wtedy, gdy są spełnione określone warunki. Wszystkie dzieci urodzone w Ameryce (wyjawszy korzystające z prawa eksterytorialności) stają się z mocy prawa obywatelami amerykańskimi bez względu na obywatelstwo ich rodziców. Urodzone zaś za granicą dzieci, których rodzice są obywatelami amerykańskimi, nabywają z mocy prawa obywatelstwo amerykańskie tylko wtedy, jeśli ojciec ich był stałym mieszkańcem Ameryki przed urodzeniem się dziecka. Gdy jedno z rodziców było cudzoziemcem stosują się specjalne postanowienia.

Natomiast Polska wraz z wielu innymi krajami europejskimi uznaje zasadę obywatelstwa rodziców. Według obecnie obowiązującej ustawy o obywatelstwie polskim z 15 lutego 1962 r. (Dz. U. Nr 10 poz. 49) dzieci obywateli polskich nabywają ich obywatelstwo bez względu na to w którym zakątku kuli ziemskiej przyszły na świat. Wystarczy przy tym obywatelstwo polskie jednego z rodziców, gdy drugie jest nieznane, jego obywatelstwo jest nieokreślone, bądź też nie posiada żadnego obywatelstwa. Podobną zasadę wyrażały postanowienia uprzednio obowiązujących ustaw o obywatelstwie polskim z 19 stycznia 1951 r. (Dz. U. Nr 4 poz. 25) oraz z 20 stycznia 1920 r. (Dz. U. Rz. P. Nr 7 poz. 44).

Nawet pobieżne zestawienie zasad co do nabywania obywatelstwa przez urodzenie w różnych krajach wskazuje na możliwość powstawania podwójnego obywatelstwa dość często, gdy istnieje żywy ruch ludności między państwami, wyznającymi odrębne zasady nabywania obywatelstwa przez urodzenie.

Nie mniejszym źródłem konfliktów prawnych między ustawami o obywatelstwie poszczególnych państw są ich postanowienia o naturalizacji i prawnej możliwości zrzeczenie się obywatelstwa.

W Stanach Zjednoczonych każdy obywatel posiada „przyrodzone i niepozbywalne” prawo zrzeczenia się obywatelstwa. Istnieje domniemanie zrzeczenia się, jeśli podejmuje on czynności sprzeczne z obowiązkami obywatela, jak złożenie przysięgi wierności innemu państwu, służba w obcym wojsku, oddanie głosu w wyborach powszechnych obcego państwa lub przyjęcia tam publicznego urzędu.

Z drugiej strony dla uzyskania obywatelstwa amerykańskiego w drodze naturalizacji zbyteczna jest zgoda władz państwa dotychczasowej przynależności. Wystarczy jednostronne wyrzeczenie się obowiązku dotychczasowej wierności.

Natomiast w Polsce obowiązują zasady wręcz przeciwne.

Według obecnej ustawy o obywatelstwie z 15 lutego 1962 r.

(Dz. U. Nr 10 poz. 49) obywatel polski nie posiada prawa do jednostronnego zrzeczenia się swego obywatelstwa. Obywatelstwo obce zaś może nabyć tylko „za zezwoleniem właściwego organu polskiego na zmianę obywatelstwa”. Bez takiego zezwolenia nie traci dotychczasowego obywatelstwa polskiego, nawet gdy zostaje obywatelem państwa obcego (art. 13).

Dla naturalizacji cudzoziemca w Polsce też nie trzeba zgody państwa dotychczasowej przynależności, podobnie jak w Ameryce, jednak „nadanie obywatelstwa polskiego może być uzależnione od złożenia dowodu utraty lub zwolnienia z obywatelstwa obcego” (art. 8 ust. 3).

Nie wymieniam zawarcia małżeństwa między osobami o różnym obywatelstwie jako odrębnego źródła konfliktów. Obecnie bowiem nie powoduje ono zmiany obywatelstwa kobiety z mocy samego prawa, lecz stanowi tylko podstawę do uproszczonej i przyspieszonej naturalizacji, zarówno w Polsce jak w Stanach Zjednoczonych. Wspomniana ustawa z 15 lutego 1962 roku stanowi w tym względzie:

„1. Zawarcie związku małżeńskiego przez obywatela polskiego z osobą, nie będącą obywatelem polskim, nie powoduje zmian w obywatelstwie małżonków.

2. Zmiana obywatelstwa jednego z małżonków nie pociąga za sobą zmiany obywatelstwa drugiego małżonka”.

Tylko do dnia 18 stycznia 1951 roku, to jest w czasie obowiązywania pierwszej ustawy o obywatelstwie polskim z 20 stycznia 1920 roku cudzoziemki nabywały obywatelstwo polskie automatycznie, poślubiając obywatela polskiego (art. 7). Od 19 stycznia 1951 roku począwszy, cudzoziemka zawierając związek małżeński z obywatelem polskim nabywa tylko uprawnienie do uproszczonej i przyspieszonej naturalizacji. Obecna ustawa o obywatelstwie polskim stanowi wyraźnie (art. 10):

„1. Cudzoziemka, która zawarła związek małżeński z obywatelem polskim, nabywa obywatelstwo polskie, jeżeli w ciągu trzech miesięcy od dnia zawarcia małżeństwa złoży odpowiednie oświadczenie przed właściwym organem i organ ten wyda decyzję o przyjęciu oświadczenia.

2. Przyjęcie oświadczenia może być uzależnione od złożenia dowodu utraty lub zwolnienia z obywatelstwa obcego”.

Dawna zaś obywatelka polska, która utraciła obywatelstwo polskie przez zamążpójście, może odzyskać obywatelstwo polskie w uproszczony sposób (art. 11 tejże ustawy).

Stanowisko obecnego prawa polskiego nie jest odosobnione. Podziela je wiele innych państw bez względu na ustrój polityczny.

Trudności, a czasem nawet tragedie, wynikające z konfliktów podwójnego obywatelstwa, powstawały od czasu wyłonienia się państw współczesnych. Początkowo rzadkie, wzmagają się liczebnie i wzmagają nadal w miarę zwiększania się emigracji i między państwowej wymiany osób. Trudności mogą okazać się tym bardziej dotkliwe dla jednostek, że są im z reguły nieznane.

Źródła podwójnego obywatelstwa tkwią zazwyczaj w zadawnionej przeszłości, pogrążonej w niepamięci. Trudności wyłaniają się nagle, głęboko wpływając na życie zainteresowanych.

Obywatele zagraniczni, którzy mogą być uważani za obywateli polskich

Każdy obywatel obcy, który odpowiada wymaganiom obecnej ustawy o obywatelstwie polskim z 15 lutego 1962 r., może być uważany w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za obywatela polskiego. Bardziej precyzyjne sformułowanie tego uogólnienia wymaga cofnięcia się do dwu ustaw o obywatelstwie polskim które obowiązywały uprzednio. Art. 1 obecnej ustawy stanowi bowiem:

„W dniu wejścia w życie niniejszej ustawy obywatelami polskimi są osoby, które posiadają obywatelstwo polskie na podstawie dotychczasowych przepisów”.

Sięgając do poprzednio obowiązującej ustawy o obywatelstwie polskim z 8 stycznia 1951 r. (Dz. U. Nr 4 poz. 25) znajdujemy tam postanowienie art. 2 liczba 1, który głosił:

„Z dniem wejścia w życie niniejszej ustawy są obywatelami polskimi osoby, które:

1) posiadają obywatelstwo polskie na podstawie dotychczasowych przepisów”...

Ustawa ta weszła w życie 19 stycznia 1951 roku (art. 19).

A więc, od 15 sierpnia 1962 roku są uważani za obywateli polskich wszyscy, którzy według pierwszej ustawy o obywatelstwie polskim z dnia 20 stycznia 1920 roku (Dz. U. Rz. P. Nr 7 poz. 44), obowiązującej od 31 stycznia 1920 roku, byli obywatelami polskimi w dniu 19 stycznia 1951 roku. Nie wchodząc w szczegóły prawnych definicji tej ustawy, można powiedzieć z pewnym uproszczeniem, że nadal mogą być uważane za obywateli polskich wszystkie osoby, posiadające obywatelstwo polskie przed wojną, z wyjątkiem tych, które do dnia 18 stycznia 1951 roku nabyły obywatelstwo jakiegokolwiek państwa obcego.

Ważny ten wyjątek wymaga szczegółowego wyjaśnienia. Otóż na mocy pierwszej ustawy o obywatelstwie polskim z 20 stycznia 1920 r. (art. 11 liczba 1) traci się obywatelstwo polskie przez „nabycie obcego obywatelstwa”. Zezwolenie władz polskich nie było wymagane przez cały okres czasu jej obowiązywania, a więc do 18 stycznia 1951 roku. Sam fakt nabycia obcego obywatelstwa wystarczył dla utraty obywatelstwa polskiego. Sytuacja zmieniła się z dniem 19 stycznia 1951 roku. Z tym dniem prawo polskie zaczęło wymagać zezwolenia władz polskich dla nabycia obywatelstwa obcego przez obywatela polskiego. Wymaganie takie wprowadziła ustawa z 19 stycznia 1951 r. (art. 11), a obecnie obowiązująca ustawa z 15 lutego 1962 roku utrzymała je nadal w mocy (art. 13 ust. 1).

Dodać trzeba dla usunięcia możliwych wątpliwości, że przedwojenni obywatele polscy, którzy nie uzyskali obywatelstwa państw obcych a są narodowości polskiej, mogą być uważani według prawa polskiego za obywateli polskich nawet wtedy, gdy przez cały czas przebywali i nadal przebywają za granicą. Według polskiej ustawy o obywatelstwie jest bez prawnego znaczenia, że osoby te stały się „bezpaństwowcami”, uzyskały paszporty Nansenowskie lub inne dokumenty osobiste w miejsce przedwojennych paszportów polskich. Ustawa ta bowiem nie uznaje możliwości zrzeczenia się obywatelstwa. A z wyraźnego postanowienia ustawy o obywatelstwie polskim z 8 stycznia 1951 r. (art. 4 łącznie z art. 2 liczba 1) wynika, że należy uważać za obywateli polskich osoby, które posiadały obywatelstwo polskie w dniu 19 stycznia 1951 r., choć stale mieszkają za granicą, jeżeli są narodowości innej niż rosyjska, białoruska, ukraińska, litewska, łotewska, estońska lub też niemiecka.

Z rozważań narzucają się konkluzje.

Przedwojenni obywatele polscy, którzy nabyli obywatelstwo obce 19 stycznia 1951 roku lub później, mogą być uważani przez władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za jej obywateli, chyba że uzyskali zgodę władz polskich na nabycie obcego obywatelstwa. Liczba tych osób jest zapewne znaczna.

Co więcej, dzieci tych osób mogą być również uważane za obywateli polskich.

Według art. 4 obecnie obowiązującej ustawy o obywatelstwie polskim:

„Dziecko nabywa przez urodzenie obywatelstwo polskie, gdy:

- 1) oboje rodzice są obywatelami polskimi albo
- 2) jedno z rodziców jest obywatelem polskim, a drugie jest nieznane bądź nieokreślone jest ich obywatelstwo lub nie posiada żadnego obywatelstwa”.

Ponadto zgodnie z art. 6 tej ustawy:

„1. Dziecko rodziców, z których jedno jest obywatelem polskim, drugie zaś obywatelem innego państwa, nabywa przez urodzenie, obywatelstwo polskie. Jednakże rodzice w oświadczeniu złożonym zgodnie przed właściwym organem w ciągu trzech miesięcy od dnia urodzenia się dziecka mogą wybrać dla niego obywatelstwo państwa obcego, którego obywatelem jest jedno z rodziców, jeżeli według prawa tego państwa dziecko nabywa jego obywatelstwo.

2. W braku porozumienia między rodzicami każde z nich może zwrócić się w ciągu trzech miesięcy od dnia urodzenia się dziecka o rozstrzygnięcie do sądu.

3. Dziecko, które nabyło obywatelstwo obce zgodnie z ust. 1 lub 2, nabywa obywatelstwo polskie, jeżeli po ukończeniu szesnastu lat, a przed upływem sześciu miesięcy od dnia osiągnięcia pełnoletności, złoży odpowiednie oświadczenie przed właściwym organem i organ ten wyda decyzję o przyjęciu oświadczenia”.

Jak widać znaczną liczbę obywateli obcych, którzy mogą być uważani nadal w Polsce za obywateli tego kraju, powiększa ich

potomstwo. Trudno ocenić ich liczbę. Można przypuszczać, że obejmuje liczne tysiące.

Skutki podwójnego obywatelstwa

Gdy objęta nim osoba pozostaje poza obszarem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, i nie posiada tam stosunków prawnych rodzinnych czy majątkowych, podwójne jej obywatelstwo nie posiada żadnego praktycznego znaczenia. Po prostu postanowienia obowiązującej ustawy o obywatelstwie polskim z 15 lutego 1962 roku nie mogą znaleźć zastosowania i pozostają martwą literą prawa na obszarze Polski.

Sytuacja zmienia się zasadniczo, gdy osoba taka znajdzie się na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej albo innej rzeczypospolitej ludowej lub socjalistycznej, która rozstrzyga na korzyść Polski konflikty, powstające między ustawą o obywatelstwie polskim a ustawą o obywatelstwie innego państwa. Wówczas bowiem osoba, podlegająca podwójnemu obywatelstwu, może być uznana za obywatela polskiego i poddana wszystkim obowiązkom i ograniczeniom, które stosują się do obywateli polskich. A więc, mogłaby być pozbawiona swego zagranicznego paszportu państwa obcego, możliwości opuszczenia terytorium Polski, poddana obowiązkowi służby wojskowej oraz wszelkim innym obowiązkom, które prawo miejscowe nakłada na obywateli polskich.

Zapewne jej nabyte obce obywatelstwo mogłoby uzasadnić interwencję na drodze dyplomatycznej u władz polskich ze strony rządu państwa obcego, którego jest obywatelem. Następcza jednak duże trudności, gdyż istota podwójnego obywatelstwa polega właśnie na tym, że ustawa o obywatelstwie każdego z państw wchodzących w grę usprawiedliwia roszczenia każdego z nich.

W praktyce międzynarodowej wymiany osób trudności nie zdarzają się często, mimo że sytuacja prawna nie przedstawia się dostatecznie jasno. Cudzoziemiec, zamierzający udać się do Polski, musi otrzymać wizę polską na swym paszporcie zagranicznym. Udzielenie takiej wizy pociąga za sobą obowiązek udzielenia mu pieczy prawnej zgodnie z powszechnie uznaną normą prawa międzynarodowego. Co więcej, polska ustawa o cudzoziemcach z 29 marca 1963 r. (Dz. U. Nr 15 poz. 77) stanowi (art. 2):

„Cudzoziemiec posiadający obywatelstwo dwóch lub więcej państw powinien być traktowany jako obywatel tylko jednego z tych państw”.

Udzielenie wizy na obcym paszporcie zagranicznym oznacza, że dawny obywatel polski został potraktowany jako obywatel obcy.

Nie jest jednak wcale rzeczą jasną, czy pewną, że oznacza to również pośrednie wyrażenie zgody na zmianę obywatelstwa. Niejasność ta wynika stąd że „wiz udzielają za granicą polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne i urzędy konsularne” (art. 4 ust. 1

ustawy o cudzoziemcach). Natomiast o zezwoleniu na zmianę obywatelstwa polskiego orzeka Rada Państwa na wniosek Ministra Spraw Wewnętrznych, z tym jednak, że „Rada Państwa może upoważnić Ministra Spraw Zagranicznych do udzielania zezwoleń na zmianę obywatelstwa polskiego osobom zamieszkałym za granicą, jak również wyrazić zgodę na przekazanie przez Ministra Spraw Zagranicznych decyzji w tych sprawach kierownikom niektórych urzędów konsularnych” (art. 16 ustawy obecnej o obywatelstwie).

Niejasność ta daje możliwość znacznej swobody interpretacji władzom miejscowym i może utrudniać skuteczność interwencji władz państwa, które nadało swe obywatelstwo obywatelowi polskiemu.

Uznanie obywatela obcego za obywatela Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pociągałoby za sobą na obszarze tego państwa także daleko idące skutki prawne, zarówno w dziedzinie prawa karnego jak cywilnego, i to nie tylko na przyszłość lecz w wielu wypadkach również wstecz sięgając czasu gdy obywatel obcy był jeszcze obywatelem polskim. Innymi słowy, okres obywatelstwa obcego, uzyskanego za granicą przez naturalizację lub urodzenie z obywateli polskich, nie liczy się jako przerwa w ciągłości obywatelstwa polskiego.

A więc, władze polskie mogłyby uznać, że osoby takie podlegały przez cały czas pobytu za granicą polskiemu kodeksowi karnemu i ustawom go uzupełniającym i to nie według zasad odpowiedzialności cudzoziemców za granicą, lecz jako obywatele polscy. Rozciągnięcie bowiem pozaterytorialnej mocy obowiązującej kodeksu karnego na obywateli polskich, przebywających za granicą, znalazło wyraz zarówno w nowym kodeksie karnym z 19 kwietnia 1969 r., obowiązującym od 1 stycznia 1970 r. (art. 113), jak i dotychczasowym kodeksie z 1932 r. (art. 4 par. 1). Odpowiedzialność ta jest bezwarunkowa. Ograniczają ją tylko ustawy amnestyjne w granicach ich zastosowania. Ostatnia, szósta z kolei ogłoszona została w 1969 roku.

Podobna zasada obowiązuje w dziedzinie prawa małżeńskiego, jeżeli chodzi o zawarcie małżeństwa, stosunki osobiste i majątkowe małżonków oraz rozwód. Niesposób przedstawić tutaj, ani nawet wyliczyć trudności, i komplikacji, które mogą się wyłonić. Ogólnie można powiedzieć, że ustawa z 12 listopada 1965 r. o prawie prywatnym międzynarodowym (Dz. U. Nr 46 poz. 290) wymaga stosowania prawa polskiego do obywateli polskich jako ich prawa ojczystego, nawet jeśli stale przebywają za granicą. Art. 2 par. 1 tej ustawy stanowi:

„Jeżeli ustawa przewiduje właściwość prawa ojczystego, obywatel polski podlega prawu polskiemu, chociażby prawo innego państwa uznawało go za obywatela tego państwa”.

W wielu państwach jak Stany Zjednoczone, Meksyk i inne, stosunki z prawa małżeńskiego z rozwodem łącznie, podlegają nie prawu osobistemu (prawu państwa którego jest się obywatelem),

leczyć prawo miejsca zamieszkania lub nawet prawo miejsca czasowego pobytu. W Polsce stosunki te podlegają prawu polskiemu jako prawu ojczystemu, które oczywiście może się istotnie różnić od praw państw, gdzie stosunki te zostały związane przez naturalizowanych tam dawnych obywateli polskich.

Rozważmy dla ilustracji trudności, mogące powstać w związku z rozwodem uzyskanym za granicą. Weźmy wypadek gdy oboje małżonkowie, przedwojenni obywatele polscy, zostali obywatelami obcymi po 19 stycznia 1951 r. bez zgody władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Małżonkowie ci uzyskali rozwód w sądzie państwa, w którym sąd i prawo miejscowe stają się właściwe po upływie jednego dnia, jednego miesiąca czy jednego roku pobytu lub zamieszkania. Rozwiedziony mąż zawarł nowy związek małżeński, udał się z nową małżonką do Polski i tam został uznany za obywatela polskiego.

Otóż według polskiego kodeksu rodzinnego (ustawa z dnia 25 lutego 1964 r., Dz. U. Nr 9 poz. 59) nie może zawrzeć małżeństwa, kto już pozostaje w związku małżeńskim. A unieważnienia małżeństwa z powodu pozostawania przez jednego z małżonków w poprzednio zawartym związku małżeńskim może żądać każdy, kto ma w tym interes prawny, a także prokurator (art. 13 par. 1 i 2 oraz art. 22). Oczywiście, ważność tego nowego, drugiego małżeństwa zależy od ważności prawnej w Polsce rozwodu, orzeczonego przez sąd za granicą według zagranicznego prawa.

Według wspomnianej ustawy o prawie prywatnym, międzynarodowym prawem właściwym dla obywateli polskich w sprawach o rozwód jest, prawo polskie jako „wspólne prawo ojczyste małżonków w chwili wystąpienia z żądaniem rozwodu” (art. 18). Nawet dla małżeństw o mieszanym obywatelstwie właściwe jest prawo polskie, gdy małżonkowie nie mają miejsca zamieszkania w tym samym państwie. Wyjątkowo tylko dla małżeństw mieszanym prawem właściwym w sprawach o rozwód jest prawo państwa ich wspólnego zamieszkania, jeśli oboje małżonkowie mają miejsce zamieszkania w tym samym państwie.

W rozważanym wypadku oboje małżonkowie, choć uzyskali obywatelstwo obce, byli według prawa polskiego obywatelami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W konsekwencji ani sąd za granicą, ani prawo zagraniczne nie były właściwe dla orzeczenia rozwodu. Toteż na skutek powództwa o unieważnienie drugiego małżeństwa, wniesionego przez prokuratora lub osobę mającą interes prawny, nowe, drugie małżeństwo mogłoby być unieważnione.

Jeżeli mąż wiedział, że prawem właściwym dla niego w sprawach małżeńskich było prawo polskie, zawarcie drugiego małżeństwa mogłoby być uznane w pewnych warunkach za przestępstwo bigamii z art. 183 nowego względnie art. 197 dawnego kodeksu karnego, wiążącego obywatela polskiego nawet w czasie jego pobytu za granicą.

Dodać trzeba że według polskiego kodeksu rodzinnego istnieje tylko jedna ogólnie sformułowana podstawa do rozwodu. Miano-

wicie każdy z małżonków może żądać, aby sąd rozwiązał małżeństwo przez rozwód „jeżeli między małżonkami nastąpił zupełny i trwały rozkład pożycia”, chyba że „mogłoby ucierpieć dobro wspólnych małoletnich dzieci” lub też orzeczenie rozwodu byłoby sprzeczne z zasadami współżycia społecznego.

Obowiązki obywateli obcych w Polsce

Obywatele państw obcych, przebywając na obszarze Polski, winni, oczywiście, przestrzegać praw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zgodnie z ogólną zasadą prawa międzynarodowego, uznając we wszystkich państwach międzynarodowej wspólnoty.

Ponadto winni oni stosować się do specjalnych przepisów, określonych ustawą o cudzoziemcach z 29 marca 1963 roku (Dz. U. Nr 15 poz. 77). Dawni obywatele polscy nie stanowią wyjątku.

A więc, obywatel obcy ma obowiązek opuścić obszar Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przed upływem czasokresu ważności wizy (art. 9). Niewypełnienie tego obowiązku stanowi wykroczenie, zagrożone karą grzywny do 4.500 złotych (art. 22).

Cudzoziemiec obowiązany jest dopełnić obowiązku rejestracji przed upływem trzech dni od przekroczenia granicy w komendzie powiatowej lub miejskiej Milicji Obywatelskiej, właściwej ze względu na miejsce pobytu cudzoziemca.

Niezależnie od obowiązku rejestracji cudzoziemiec podlega obowiązkowi meldunkowemu stosownie do przepisów o ewidencji i kontroli ruchu ludności, z tym jednak że pierwszego zameldowania po przybyciu z zagranicy dopełnia w organie Milicji Obywatelskiej jednocześnie z rejestracją (art. 12).

Cudzoziemiec obowiązany jest również stawić się osobiście na wezwanie organu rejestracji w razie potrzeby uzyskania wyjaśnień, związanych z pobytem na terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, lub też przedstawić niezbędne dokumenty.

W wypadku wydalenia z Polski obywatel obcy winien opuścić państwo w terminie określonym, stosując się do trasy przejazdu do granicy oraz przekraczając ją w miejscu oznaczonym.

Organ, który wydał decyzję o wydaleniu, może wyznaczyć cudzoziemcowi miejsce przymusowego pobytu do czasu wykonania tej decyzji oraz nałożyć na cudzoziemca obowiązek zgłaszania się do wskazanego mu organu Milicji Obywatelskiej w określonych odstępach czasu.

Cudzoziemiec może być też niezwłocznie odstawiony do granicy jeżeli nie opuścił terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w terminie albo jeżeli wymaga tego ważny interes publiczny (art. 15).

Niewypełnienie tych obowiązków stanowi wykroczenia, zagrożone karą grzywny do 4.500 złotych.

Józef GIDYŃSKI

O polską sinologię

Niżej podpisany autor tych prostych notatek nie jest sinologiem. Jego zainteresowania nauką o Chinach pochodzą stąd, że był przez 10 lat misjonarzem w Chinach, że spędził dwa lata na szkolnej ławie ucząc się języka chińskiego od chińskich nauczycieli i że się nawet po opuszczeniu Chin prawie nieustannie zajmował nie tyle aktualnymi, ile akademickimi zagadnieniami narodu chińskiego. Z tego powodu, nie roszcząc sobie pretensji do tytułu specjalisty, uważa się mimo wszystko za człowieka mającego prawo powiedzieć przynajmniej kilka słów.

O polską sinologię upomina się zresztą czołowy publicysta *Kultury* rozumiejąc słusznie, że Chiny są narodem zbyt wielkim, by o nich nie zabierać głosu, a jak tu zabierać głos, jeżeli się o Chinach wie tylko tyle, że liczą ileś tam setek milionów ludności i że to kraj o starej kulturze i nic, lub prawie nic, więcej!



Jeden z polskich sinologów — nazwiska nie podaję, bo nie mam upoważnienia — wyraził z żalem w głosie zdanie, że u nas się nikt Chinami nie interesował i że wskutek tego sinologia nie ma wielkich widoków na rozwój. Tak może było dawniej i zapewne nawet teraz jest u nas, jak zresztą wszędzie na świecie, nastawienie na sprawy najbliższe i dzisiejsze. Ale „świat się robi coraz mniejszy” i sprawy dawniej odległe i egzotyczne wkraczają w nasze życie.

Zmarły w roku 1957 Witold Jabłoński, pisał w polskim „Przeglądzie Orientalistycznym” (rocznik 1950, str. 86 nn.), że kandydaci na sinologów natrafiają na dwie przeszkody. Jedna — że ich jest zbyt mało, a więc nie ma się od kogo spodziewać współpracy, tak ważnej w każdej pracy naukowej. Druga — że biblioteki posiadają bardzo mało materiału książkowego. Nic w tym dziwnego, tak zawsze jest na początku. Dzisiaj jest już na pewno lepiej, nawet *Rocznik Orientalistyczny* przemienił się w kwartalnik, a do małego grona dołączyło się co najmniej kilkanaście osób na tyle już kompetentnych, że mogą dokonywać przekładów z chińskiego na język polski, a nie tylko z dokonanych już przekładów na języki zachodnioeuropejskie.

Na wychodźstwie nie można się skarżyć na brak materiału bibliotecznego i to zarówno w języku chińskim jak i francuskim, niemieckim a przede wszystkim angielskim. Językami tymi włada na wychodźstwie prawie każdy kto się zalicza do inteligencji. Brak może tylko zainteresowania.

Zainteresowanie musi jednak przyjść, choćby dlatego, że uniwersytety amerykańskie posiadają już wspaniale nieraz wyposa-

żone katedry nauk o Chinach, a nawet szkoły średnie wprowadzają sinologię do swoich programów szkolnych (jako przedmiot do wyboru). Nasi kandydaci na profesorów mogą więc wybrać właśnie tę gałąź nauki jako swoją specjalność.

To jednak nie rozwiąże potrzeby na naszym *polskim* podwórku, jeżeli ci sinologowie, uczący na amerykańskich uniwersytetach, nie będą równocześnie pisać po polsku. Z tym zaś pisaniem jest i ta trudność, że niestety książka polska na wychodźstwie nie ma wielkich widoków na powodzenie w sprzedaży. I dlatego jedynym sposobem na szerzenie wiedzy o Chinach są tymczasem nasze polskie czasopisma.



Czasopisma nie mogą oczywiście zamieszczać w odcinkach ani słowników ani rozdziałów gramatyki. Mogą za to zamieszczać mniej lub więcej popularnie ujęte eseje, artykuły a nawet urywki z przekładów literatury chińskiej na język polski, choćby to były na początek przekłady „wtórne”, dokonane z istniejących już przekładów na język angielski lub niemiecki. Próbkę takiej popularyzacji dały ostatnio *Horyzonty*, zamieszczając przekład pierwszego rozdziału z chińskiej powieści, podobnej do naszej „Trylogii”. Mniejsza na razie o to, czy ten przekład i dołączony do niego wstęp oraz przypiski są bez zarzutu, grunt że czytelnicy mają przynajmniej próbkę autentycznej literatury chińskiej.

Wielkim szkopułem dla tłumacza jest *pisownia chińskich imion* i nazw miejscowości, których się nie da uniknąć. Język chiński posiada dźwięki, których się nie da idealnie oddać żadnym alfabetem europejskim i nawet najlepsza pisownia „foniczna” nie odda tego, co powinna. Nie ma zresztą naprawdę ustalonej pisowni angielskiej dla słów chińskich, ani francuskiej czy niemieckiej. Każda jest tylko przybliżona. Ponieważ w tej dziedzinie jak zresztą w ogóle w dziedzinie pisowni, miarodajna może być tylko pisownia ustalona w Kraju, więc tam właśnie, w Polskiej Akademii Nauk lub w redakcji polskiego *Przeglądu Orientalistycznego* trzeba by szukać klucza do polskiej transkrypcji słów chińskich. Klucz ten był podobno kiedyś ustalony i przyjęty, niestety został gdzieś w archiwum komitetu i trudno go znaleźć na łamach tego *Przeglądu*. Autorowi niniejszych uwag trudno się na przykład pogodzić z pisownią San Go (Trzy Królestwa — z tytułu powieści), zarówno w szkole jak i ze słowników nauczył się bowiem wymawiać Kuo lub Guo, z przejściowym dźwiękiem „u”. Nie chodzi tu o krytykowanie tłumacza, ale o przyjęcie mniej lub więcej jednolitej romanizacji słów chińskich, możliwie bliskiej prawdzie.



Nasze polskie czasopisma emigracyjne mogłyby się również przyczynić do rozwoju sinologii przez zamieszczanie — od czasu do czasu opracowań, zawierających *podstawowe*, podkreślam *podstawowe*, i faktyczne wiadomości z dziejów Chin.

Wiemy na przykład, że Chiny to naród stary, ale czym potrafiemy wypełnić blisko cztery tysiąclecia jego dziejów? Mało kto potrafi wymienić bodaj dwie dynastie chińskie, a było ich ponoć aż 24! Kto wie, że prawie każda dynastia dochodziła do władzy w wyniku przewrotu trwającego nieraz dziesiątki lat, albo że co najmniej dwie dynastie były najeźdźcze, a nie naprawdę chińskie i że były okresy, kiedy — jak u nas po śmierci Bolesława Krzywoustego — Chiny były rozbite na dzielnice (mniejsza o nazwy, czy to były księstwa czy królestwa)...

Wiele wypowiedzi, ukazujących się w naszych czasopiśmie i gazetach wskazuje, że ich autorzy nie mają o tym wszystkim pojęcia. Jeden z nich napisał na przykład, że w roku 1912 skończyły się rządy dynastii, która rządziła w Chinach ponad tysiąc lat... *De facto* dynastia ta (najeźdźcza, mandzurska) opanowała Chiny nie tysiąc, ale mniej więcej 250 lat przed swoim upadkiem, w roku 1644. Żadna nie przetrwała tysiąca lat, nawet dynastia Czou, której oficjalne daty podawane są jako 1122-249 przed Chrystusem.



Z tego prosty wniosek: niechże każdy, kto się zabiera do pisanja o Chinach, choćby poruszał zagadnienia chińskie tylko ubocznie, otworzy krótką historię Chin. Znajdzie ją łatwo w każdej bibliotece amerykańskiej, nawet w mniejszym mieście, zapewne w Anglii i we Francji nie będzie to zbyt trudne.

Dobre streszczenie dziejów narodu chińskiego podaje *Encyclopædia Britannica* w głównym artykule i w kilku odnośnikach.

Kto zaś pisze o wydarzeniach dawniejszych, ten niech polega przede wszystkim na pracach nowszych, opartych na wynikach wykopalisk podjętych mniej więcej około roku 1930 i prowadzonych do dnia dzisiejszego. Archeologia przesunęła dzieje kultury chińskiej o co najmniej całe tysiąclecie i potwierdziła wiele twierdzeń zawartych w tak zwanej tradycyjnej, ale nie potwierdzonej dokumentami, historii Chin starożytnych. Bibliografia w *Encyclopædia Britannica* i w każdej nowszej książce o Chinach wskaże na prace bardziej specjalne.

Bardzo dobra jest historia Chin napisana przez chińskiego prof. uniwersytetu stanu New Jersey. Jego nazwisko brzmi *Dung J. Li* — tytuł jego książki: *The Ageless Chinese*. Czytelnik znajdzie w tej książce, liczącej 586 stron, zarówno zarys dziejów politycznych narodu chińskiego jak i mnóstwo informacji o przemianach społecznych i kulturalnych i wiele szczegółów, które mógł napisać tylko znawca literatury chińskiej, nie zawsze dostępnej i zrozumiałej dla historyka obcokrajowego. Prof. *Dung J. Li* podaje dość bogatą bibliografię do każdego rozdziału i dlatego nie wspomina tu niezliczonych innych książek, jak np. prof. uniwersytetu Yale *Kenneth S. Latourette*, albo kapitalnej pracy o całym Dalekim Wschodzie „*East Asia, The Great Tradition*”. Napisali ją wspólnie profesorowie *Edwin O. Reischauer* i *J. K. Fairbank* (1960). O przemianach ustrojowych i sprężynach

przewrotów pisze ciekawie sinolog narodowości węgierskiej Etienne Balzas w pośmiertnie wydanej książce *Chinese Civilization*, Yale University Press 1964.



Wreszcie uwaga końcowa: czas najwyższy, żeby nasi uczeni wyszli ze swoich wież z kości słoniowej i oprócz prac bardzo uczonych, super-fachowych, drukowanych w różnych „Rocznikach Akademii Umiejętności” zabrali się do pisania dla tak zwanych zwykłych śmiertelników. Jeżeli to nie jest możliwe, niech się inni pisarze zaborą do popularyzacji tych wielce uczonych ale zbyt trudnych opracowań.

Może to doprowadzi do poszerzenia zainteresowań sprawami nie tak już dalekimi od całej naszej planety. Minęły czasy, kiedy pisano „może nie wiedzieć Polak co to morze — gdy pilnie orze” i „byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna”. Potrzebna nam wiedza o całym świecie, ale na pierwszym miejscu o kraju, gdzie mieszka co najmniej czwarta część całego rodzaju ludzkiego i który jest „sąsiadem naszych sąsiadów”.

Ks. Wojciech SOJKA C.M.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Młodzi w akcji

(WRAŻENIA Z MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI
W HARROGATE, SIERPIEŃ, 1969)

Miasteczko Harrogate w Anglii drzemie wśród soczystej zieleni. Alejkami, wśród różnokolorowych gazonów, przechadzają się siwe panie o trochę szklistym spojrzeniu, tak jakby trzymały się życia tylko czubkami rzęs. Staruszkowie w leżakach czytają *Guardian'a* i *Times'a*. Czas płynie tu powoli, od niedzieli do niedzieli.

Czy było to złośliwością losu, czy żartem, że na to ciche miasteczko spadli młodzi — długie włosy, kolorowe wstążki w poprzek czoła, śmietanka londyńskich intelektualistów i „hippisów”? Na sali obrad, koło tureckiej łaźni, przez dwa gorące dni widownia wrzała, obrzucając się wyzwiskami i papierowymi kulami, a starzy słuchali z rosnącym zdziwieniem, jak szarpano na części ich święte ideały. Czemu młodzież jest tak obrazoburcza? *Is this truly a generation gap*, czy wynik czegoś głębszego, światowego kryzysu, zachwiania się wartości, które każą młodzieży stwierdzać z całą satysfakcją, że „żyjemy w chaosie, stary porządek ginie, nowy się nie narodził”. Ale co na to mają powiedzieć starzy? Chaos nie jest ich hasłem, chaos nie może ich cieszyć.

Literacka konferencja w Harrogate została zwołana z inicjatywy pisarza i wydawcy Nigel Calder'a. Brali w niej udział przedstawiciele humanistyki i nauk ścisłych, świata literatury, teatru i filmu. Najwybitniejszym wśród pisarzy (jakkolwiek nie najlepszym wśród mówców) był William Burroughs, chudy, błądy i sztywny, jakby rzeczywiście nie jadł śniadania (tak o nim napisał *Guardian*). Powszechne zainteresowanie budził Robert Blackburn, wykładowca z London School of Economics, wyrzucony, mimo apelacji w sądzie, za sprzyjanie ruchom studenckim. Wśród młodzieży zwracał uwagę Norman Spinrod, Amerykański *science fiction writer*, wybuchowy jak chłopak, którego wyrzucono ze szkoły.

Eve Figes, powieściopisarka, suchym, rzeczowym tonem próbowała sobie dodać powagi, czemu wyraźnie przeczyła jej młodzięzowa postać. Jeden z pisarzy przyszedł w koszuli rozpiętej aż do pasa. Nikt chyba nie był w krawacie. Nikt nie miał nazwiska w klapie. Wszyscy mówili sobie wprost po imieniu, co utrudniało widzom rozeznanie się w tym, kto jest kim.

Tematów wymienionych w programie było aż za dużo, a więc życie w przyszłości, opanowanie maszyn, alienacja i komunikacja (*communication*), kapitalizm i socjalizm, mózg i umysł, medycyna i anatomia, rola pisarza w świecie, rola sztuki w przyszłości. Taki wachlarz zagadnień budził wątpliwości. Czy wszyscy ci mówcy (około 20-stu osób) w ciągu tak krótkiego czasu (dwa dni) zdążą choć w części wyczerpać temat i zaspokoić ciekawość słuchaczy? Czy będą przeskakiwać z tematu na temat pomijając rzeczy istotne i ślizgając się po powierzchni zagadnień?

W pewnym sensie tak było, przynajmniej drugiego dnia (pierwszy niestety opuściłam). Ale może nie o to chodziło, żeby dowiedzieć się o czymś zgoła rewelacyjnym (życie tak obfituje w rewelacje, że naprawdę już mało co może nas przerazić, lub zdziwić). Rewelacją tu były nie same wypowiedzi do pewnego stopnia szablone (jak np. „treść nie ma znaczenia w sztuce, ważna jest tylko forma. Szkoły są całkiem zbędne” itp.). Rewelacyjną była atmosfera w całej sali.

Już na wstępie drugiego dnia doszło do starcia między podium, a widownią. Kto właściwie i w jakiej mierze ma prawo głosu — mówcy, czy widownia? Widownia zażądała, by mówcy zwracali się do niej, a nie do siebie, padły nawet głosy, by ich zsadzić z podium. Jak bardzo ludzie są uczuleni na to, kto siedzi na podium: Jest w tym dziecinnada, zabawna chęć, by być ważnym; tylko ci, co tak często siedzą na podium, zdają sobie sprawę z tego, jak to mało znaczy. A może chodziło jednak o coś głębszego — zakwestionowanie kompetencji tzw. „specjalistów” — dlaczego oni właśnie, a nie człowiek z tłumu, wiedzą lepiej?

Koniec końców o mało nie doszło do bójki. Jeden z mówców z godnością zszedł z podium, odmawiając udziału w dalszej dyskusji, kogoś obrzucono kulkami z papieru, ktoś krzyczał przez mikrofon, że jednak obowiązują elementarne zasady uprzejmości. Wynik tego interludium był taki, że wszyscy się ożywili i nawiązał się kontakt między mówcami i audytorium.

Jednym z pierwszych tematów, poruszonych drugiego dnia, była rola pisarza w świecie. Padły mocne słowa o pisarzach na Węgrzech, którzy rzucili kraj w powstaniu 1956 roku, o Danielu i Siniawskim więzionych w Rosji za swoją pracę literacką, wreszcie o pisarzach w Czechosłowacji. Czemu ci ludzie mają taki wpływ na swoje społeczeństwa? Czemu społeczeństwo w Anglii jest takie obojętne w stosunku do literatury, czemu tak je trudno poruszyć? Chciałam powiedzieć, że w Anglii jest wprost za dobrze, literatura nie musi zastępować wolnej dyskusji politycznej podając w formie zakamuflowanej to, czego nie można powiedzieć wprost. Ludzie głodni żywiej reagują na chleb. W Anglii ludzie

nie są głodni w tym sensie, w jakim są głodni mieszkańcy Europy Wschodniej.

Rzekoma obojętność społeczeństwa angielskiego na literaturę w ogóle, a zwłaszcza na tzw. „literaturę eksperymentalną” (reprezentowaną na konferencji przez Burns’a i Jones’a) najwięcej budziła sprzeciwu. Padły pod adresem tego społeczeństwa ostre słowa krytyki, a nikt się nie zastanowił, że może sami pisarze angielscy są winni. Jeżeli np. ktoś, według słów własnych, napisał już 8 książek bez żadnego oddźwięku, to nasuwa się myśl, że może książki te po prostu nie zasługiwały na uwagę. Książki dobre na ogół nie przechodzą jednak bez echa. Jest to oczywiście myśl „obrazoburcza” i charakterystyczne jest, że nikt jej nie wypowiedział. Obrona widowni wobec ostrych ataków pisarzy była na ogół słaba. Tak jakby ci ludzie poczuwali się do winy, jak gdyby się wstydzieli, że nie chcą czytać tych utworów „bez wątku i bez akcji”, poświęconych „sex’owi i gwałtom” (*the best theme is sex and violence*). Jeden z pisarzy napisał swoją powieść na luźnych kartkach, które czytelnik miał podobno sam sobie ułożyć według swego uznania (kartki były nienumerowane). Pomysł dość oryginalny, ale czy ktokolwiek z czytelników by zechciał? (Ja np. nie). Przecież chyba nie na tym polega współpraca między pisarzem, a czytelnikiem, aby czytelnik sam układał kartki?

W czasie ataków pisarzy starsi na widowni milczeli, odpowiadali młodzi. Kiedy producent teatralny z Londynu, Marowitz, powiedział, że właściwie nie obchodzi go reakcja widzów na reżyserowane przez niego sztuki, bo uprawia *art for art’s sake*, jeden z młodych wstał i powiedział, że być może dlatego widzów nie obchodzi jego teatr. Nie było to grzeczne, ale zasłużone.

Starsi nie usiłowali protestować, byli zupełnie pobici perspektywą książek nagrywanych na taśmę i układanych przez mózg elektronowy. Wszystko to było za rewolucyjne i przeintelektualizowane, za „mądre” na możliwości starszych słuchaczy wykształconych na koncepcji piękna, dobra i prawdy. Prawda jest relatywna, w dobro nikt nie wierzy, piękno przestało być piękne. Można dziś mówić o ekspresji raczej, niż o pięknie.

Mówcy świadomie chyba szokowali słuchaczy używając szeroko znanych zresztą chwytów.

— Bo proszę państwa — mówił jeden z mówców — czy ktoś z nas dostrzega, że ma ręce? O, te dwie, przed sobą. Może dostrzegamy, kiedy nas coś boli, albo w czasie aktu płciowego, ale poza tym...

W czasie tej przemowy obserwowałam spod oka dwie dystyngowane staruszki. Słuchały z szeroko otwartymi oczyma, zerkając to na mówcę, to na swoje ręce. Ich ręce w każdym razie nie były już potrzebne do aktu płciowego.

Samo ostrze ataku uderzyło nie w publiczność jednak, a w wydawców. Młody bojowy pisarz łamał ręce nad sytuacją na rynku wydawniczym.

— Czy to nie bezczelność? Ile dostaje pisarz, a ile wydawca? To wydawca, nie pisarz, czerpie lwią część zysków.

Pomyślałam w tym momencie, że inicjator tej całej imprezy jest właśnie wydawcą, ale Nigel Calder taktownie milczał. Czy wiedział o tym ataku?

W wyniku ataku powstała propozycja utworzenia kooperatywy pisarzy z własnym domem wydawniczym. Autor projektu miał go ze sobą już wydrukowany i rozprowadzał go po widowni w formie papierowych strzał. Ta forma, niewątpliwie efektowna, choć na ogół niepraktykowana, wywołała dużo radości.

Było znamienne, że dyskusja raz po raz odbiegała od kultury do polityki.

— Może po prostu nie można już dziś o niczym mówić, nie wchodząc w politykę — stwierdził jeden z mówców.

Nie wiem, czy nie można, ale widać było, że poglądy młodych dyskutantów co do polityki były równie obrazoburcze, jak co do sztuki.

— Całe państwo angielskie — powiedział jeden z nich — opiera się na kłamstwie (*The state of England rests on lies*). Kłamstwem jest demokracja, kłamstwem jest parlament, kłamstwem jest wolność.

Można by powiedzieć, że gdyby to wszystko rzeczywiście było prawdą, mówca ów ciężko by zapłacił za swoje słowa.

Może najbardziej namiętnie atakowano szkoły,

— Szkoły paczą umysły. Nauczyciele uczą własnej ignorancji, zabijają w dzieciach talent, niszczą indywidualność. Należy szkoły znieść. Dzieci mogą się uczyć każde w swoim zakresie patrząc na telewizję. — Takie były mniej więcej wypowiedzi.

Dziwny obraz przyszłości — dzieci przed ekranami, literatura na taśmach bez treści, ale z „formą”. I czego się nauczą dzieci? Czy naprawdę trzeba wszystko zniszczyć, żeby coś nowego stworzyć?



Nie wiem, czy konferencja miała swój „głębszy sens”. Nie wiem, czy naprawdę warto było „jechać tysiące mil” (według słów jednej ze słuchaczek), żeby posłuchać o „wielkiej kulturalnej rewolucji naszych czasów”. Słyszeliśmy o tym już tyle, że powoli zaczynamy wątpić w to, że nasze czasy są naprawdę aż tak wyjątkowe. Głębokie przekonanie o własnej wyjątkowości w stosunku do innych epok jest dość niebezpieczne, zbyt łatwo pozwala uwierzyć że skoro jesteśmy wyjątkowi, to znaczy wszystko nam wolno. Każda młodzież zresztą wierzy we własną wyjątkowość i w konieczność przerabiania świata. Dobrze, przerabiamy, ale w jakim duchu?

Już w samym końcu obrad jeden ze starszych panów zwrócił się z tym pytaniem do plenum. Właściwie chodziło mu o to, aby młodzi pisarze zwracali uwagę na pewne wartości duchowe. (Tak się dosłownie wyraził: *spiritual values*). Młodych chyba zniecierpliwiała staroświecka terminologia, bo zareagowali dość gwałtownie:

— *Shit on the spirit!* (G...o na sprawy duchowe!) — krzyknął w odpowiedzi jeden z młodych poetów.

To był ostatni akcent konferencji w Harrogate. Już następnego dnia słoneczne miasteczko drzemało wśród zieleni i kwiatów. Nawet w epokach kryzysów kwitną magnolie i róże i coś właściwie z tego, że gdzieś daleko na świecie płoną lasy?

Danuta Irena BIEŃKOWSKA

Muzyka Europy Wschodniej (2)

(NOWOŻYTNOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ)

Romantyzm oznacza dla kultury krajów Wschodniej Europy o wiele więcej niż dla kultur zachodnioeuropejskich. Nie był on dla nich jedynie mniej lub bardziej twórczym okresem stylistycznym ale epoką, która choć z powodów bardzo różnorodnych, przyniosła niemal wszystkim krajom tego regionu renesans kulturalny.

Być może najistotniejszy przełom jakościowy dokonał się w kulturze rosyjskiej. Rozpoczęta przez Piotra I-go jej planowa okcydentalizacja osiągnęła tu swój punkt ostateczny — rosyjska twórczość kulturalna nie tylko dokonała całkowitej asymilacji form zachodnich, ale osiągnęła dojrzałość, która szczególnie w dziedzinie literatury miała jej odtąd zapewnić trwałą pozycję wśród kultur europejskich.

Wielowiekowa ciągłość kultury o genezie bizantyjskiej została definitywnie przekreślona, jej pozostałości ograniczono do liturgii cerkiewnej traktowanej zresztą zdecydowanie formalnie. Jeśli twórcy rosyjskiego romantyzmu zwracali się zgodnie z tendencją epoki ku źródłom narodowej inspiracji, identyfikowali je nieodmiennie z folklorem. Staroruska przeszłość była już wówczas wartością całkowicie zapomnianą.

Dla innych krajów dzisiejszej wschodniej Europy romantyzm oznaczał przede wszystkim renesans wartości pozostających w ramach tradycji mającej już wielowiekową przeszłość. Trzeba tu zresztą podkreślić, że proces ten dotyczył praktycznie jedynie Polski, Czech i Węgier. Kraje pozostające w obrębie południowych posiadłości habsburskiego imperium czy też powoli wyzwalające się z zależności ottomańskiej dopiero pod koniec stulecia miały ponownie wejść do grona społeczeństw biorących udział w twórczości kulturalnej.

Tak więc choć z różnych przyczyn romantyzm otwierał nowy

rozdział w dziejach kultury krajów obecnej Wschodniej Europy. W muzyce oznaczał on dla twórczości czeskiej odrodzenie narodowej odrębności a dla polskiej i węgierskiej powrót do międzynarodowego poziomu po dłuższej lub krótszej dziejowej cezurze. Dla muzyki rosyjskiej z kolei otwierał on epokę zapewniającą na wiele dziesięcioleci jedną z bardziej twórczych ról w kształtowaniu języka muzyki — *sensu largo* — nowożytności.

Najistotniejszym momentem który zapewnił wschodnioeuropejskiemu romantyzmowi muzycznemu jego pozycję w międzynarodowej kulturze był fakt że nie „nadrabiał” on „opóźnień” w oparciu o mechaniczne powtarzanie wzorów ukształtowanych w środowiskach posiadających ciągłość twórczości, ale że podjął w sposób twórczy i oryginalny zasadnicze problemy epoki. Najpełniejszym tego wyrazem była twórczość Chopina i Liszta. Geneza ich jest już dzisiaj wyjaśniona przez muzykologię w sposób dość wszechstronny, dający obraz metody która pozwoliła obu kompozytorom na przetworzenie skromnych pozornie wartości muzyki polskiej czy węgierskiej ich epoki na styl wysoce oryginalny i jednocześnie wnoszący zasadniczy wkład do awangardowych poszukiwań nowego języka muzycznego.

Oczywiście poważne znaczenie miała tu folklorystyczna „moda” epoki, pozwalająca na eksploatację zupełnie nowych, a poprzednio zupełnie niemal niewykorzystanych źródeł inspiracji. Cokolwiek jednak dałoby się tu powiedzieć, zwłaszcza w odniesieniu do twórczości Chopina, jest oczywiste, że punktem wyjścia jego stylu była także tradycja muzyczna środowiska jego młodości. Źródła tej tradycji, jej geneza i elementy znalazły znakomitą analizę w studiach Jana Prosnaka, poświęconych kulturze muzycznej Warszawy epoki Oświecenia¹, oraz bezpośrednio sąsiadujących z nimi okresów: saskiego i pierwszego dwudziestolecia XIX wieku.

Na tle tych zjawisk twórczość Chopina rysuje się nie jako wynik jedynie wyjątkowej siły talentu kompozytora, ale także jako element renesansu polskiej kultury, który dokonał się w pełni wraz z nadejściem romantyzmu. Celowe działanie epoki stanisławowskiej miało dopiero tu wydać w całej pełni owoce, pomimo że upadek polskiej państwowości niewątpliwie hamował pełny rozkwit kultury.

Momentem na który muzykologia zwróciła uwagę stosunkowo niedawno są związki genezy stylu Chopina z twórczością preromantyków czeskich Tomaška i Voriška².

Kompozytorzy ci, bardzo w swym czasie popularni lecz wkrótce przyćmieni przez bardziej utalentowanych kontynuatorów ich stylu, odegrali w stosunku do Chopina rolę należącą już niejako do tradycji czeskiej muzyki inicjującej także w XVIII stuleciu

1. Jan Prosnak — „Kultura Muzyczna Warszawy XVIII-go wieku”. P.W.M. — Kraków 1956.

2. G. Golos — „Chopin's slavic predecessors”, *The Musical Quarterly*, 1961.

odkrycia stylistyczne muzycznego klasycyzmu aby następnie przekazać ich pełne rozwinięcie innym.

Podobną zresztą inspirującą rolę odegrał w stosunku do muzyki romantycznej inny czeski kompozytor i teoretyk, Antonin Reicha, nauczyciel w paryskim konserwatorium Hectora Berlioz, dla którego koncepcje Reichy stały się punktem wyjścia do nadania samodzielnej i zasadniczej roli kolorystyce instrumentalnej orkiestry, co z kolei otworzyło epokę nowożytnej symfoniki.

Ale, rzecz jasna, o randze twórczości krajów wschodnioeuropejskich zadecydowały jej własne wyniki a nie pośrednie oddziaływanie na styl muzyki innych kompozytorów.

Niewątpliwy awans tej twórczości był jednak zjawiskiem rozwijającym się nierównomiernie i w sposób złożony. Właściwa epoka romantyzmu, sięgająca po lata czterdzieste dziewiętnastego wieku, przyniosła jako zjawiska w pełni dojrzałe jedynie twórczość Chopina i Liszta. Pierwsza zresztą, przerwana przedwcześnie śmiercią kompozytora, mieści się całkowicie w tej epoce, podczas gdy twórczość drugiego z kompozytorów, rozwijana w ciągu długiego życia, przeszła ewolucję od zafascynowania fortepianowym wirtuozostwem do symfoniki, jednej z najbardziej odkrywczych w XIX stuleciu.

Cechą wspólną Chopina i Liszta było działanie poza własnym krajem, wynikające w pierwszym rzędzie z przesłanek zewnętrznych. Wprawdzie sytuacja Węgier pod rządami Habsburgów była bardziej sprzyjająca rozwojowi kultury niż miało to miejsce na ziemiach polskich po Powstaniu Listopadowym, jednakże dla kompozytora miary Liszta brakło w środowisku tym niezbędnych środków działania. Ponowne zacieśnienie stosunków kompozytora z Węgrami nastąpiło dopiero pod koniec jego życia gdy skutki zmian konstytucyjnych przeprowadzonych w habsburskiej monarchii stworzyły Węgrom możliwości szybkiego i wszechstronnego rozwoju.

Tym niemniej twórczość Liszta stanowi niewątpliwie dziedzictwo muzyki węgierskiej i jako taka odegrała ogromną rolę w jej dalszym rozwoju, który następnie poprzez twórczość Erke-la doprowadzić ją miał już w dwudziestym wieku do czołowej roli międzynarodowej, w pierwszym rzędzie dzięki epokowemu zjawisku jakim była twórczość Beli Bartóka.

Wiek XIX był więc dla krajów Wschodniej Europy okresem, który przyniósł poważny awans kultury całego regionu mimo że procesowi temu przeciwdziałało wiele zasadniczych czynników, z których najistotniejszym był brak samodzielności politycznej wszystkich poza Rosją krajów, a do czego w drugiej połowie stulecia dołączyły się silne antagonizmy narodowe, w oczywisty sposób niesprzyjające szerszej dyfuzji kulturalnej.

Tym bardziej godny uwagi jest więc fakt, że mimo tych przeszkód styl muzyki dziewiętnastowiecznej interesujących nas środowisk kształtował się w znacznej przynajmniej mierze o wzajemną dyfuzję inspiracji i wzorów. Dotyczy to w szczególnej mierze muzyki rosyjskiej, dla której tradycje chopinowskie miały

zasadnicze znaczenie i, paradoksalnie, wcześniej zostały twórczo podjęte niż w muzyce polskiej. Wpłynęła na to w znacznej mierze niesynchroniczność rozwoju twórczości w poszczególnych krajach. Rosyjski romantyzm muzyczny *sensu stricto* był w przeciwieństwie do romantyzmu literackiego zjawiskiem spóźnionym, jeśli nawet nie w sensie stylistycznym, to w każdym razie w sensie dojrzałości.

Twórczość rosyjska pierwszej połowy stulecia, której dominantą była muzyka M. Glinki, daleka była od rangi artystycznej poezji Puszkina czy Lermontowa. O ile więc polski czy węgierski romantyzm literacki miał swe odpowiedniki w muzyce, rozkwit rosyjskiego romantyzmu muzycznego przynieść miało dopiero trzecie ćwierćwiecze XIX stulecia.

Mimo wymienionych dotąd czynników natury raczej pozaartystycznej w poważny sposób wpływających na powstawanie przeciwstawności kultury poszczególnych krajów — podkreślić trzeba, że romantyzm wschodnioeuropejski jako całość posiadał wyraźnie zarysowane własne cechy, różniące go pod wieloma względami od romantyzmu zachodnioeuropejskiego.

O ile ten ostatni w szczególnej mierze akcentował autonomiczność sztuki (i to nawet wówczas gdy jak w dramacie muzycznym Wagnera służył tworzeniu etnicznej mitologii) o tyle romantyzm wschodnioeuropejski widział rolę twórczości przez pryzmat potrzeb narodowych. Najbardziej charakterystycznym wyrazem tej tendencji była na gruncie muzyki „opera narodowa”, zjawisko tak szczególnie charakterystyczne dla krajów Wschodniej Europy.

Że powstała ona jako wynik z góry przyjętej koncepcji sztuki nie ulegała to najmniejszej wątpliwości. Idea „narodowej opery” była w pełni sprecyzowanym programem na długo przed jej artystyczną realizacją.

Wystarczy choćby przypomnieć, że była ona głównym tematem kontrowersji między Chopinem a Mickiewiczem już w trzydziestych latach ubiegłego stulecia.

Uproszczeniem więc byłoby widzieć w „operze narodowej” *sui generis* odpowiedź na koncepcje wagnerowskie lub też pochodną stosunków umożliwiających jedynie artystyczną wypowiedź treści, w ostatecznej instancji politycznych.

Opera ta była ważną formą wypowiedzi nie tylko muzyki polskiej czy czeskiej, ale także rosyjskiej, która przecież rozwijała się w zasadniczo odmiennych warunkach. Znamienne zresztą, że tam właśnie przybrała ona postać najbardziej zróżnicowaną także pod względem reprezentowanych tendencji, od „dworskiej” apoteozy przeszłości oper Glinki, po „krytyczny realizm” dramatów muzycznych Musorgskiego.

Dzięki zresztą wyjątkowej skali talentu tego kompozytora wschodnioeuropejska „opera narodowa” stała się zjawiskiem wykraczającym swym znaczeniem daleko poza krąg wartości lokalnych.

Siłą faktu w Polsce i Czechach przybrała ona odmienne oblicze stając się bardziej jednostronnie czynnikiem ożywienia tra-

dycji przeszłości historycznej, lub też (w mniejszej mierze) wartości tkwiących w tradycji folklorystycznej.

Zresztą w obu krajach gatunek ten nie znalazł ciągłości. Zyskawszy stosunkowo wysoką rangę artystyczną dzięki operom Smetany i Moniuszki, uznanym natychmiast za pierwszorzędną wartość narodowej kultury, „opera narodowa” nie znalazła wśród czeskich i polskich kompozytorów godnych następców pierwszych jej twórców. Na Węgrzech natomiast gatunek ten nie przyjął się w większej mierze i nie stworzył wartości odpowiadających tym, które powstały w krajach słowiańskich.

Tym niemniej idea muzycznego teatru, opartego na treściach historycznych i folklorystycznych, zachowała tam szczególnie długo swą żywotność, aby już w naszym stuleciu znaleźć szczytowe pod względem wartości realizacje w twórczości Bartóka i Kodaly'ego. Jednakże mimo swych oczywistych związków z tradycjami przeszłości twórczość ta stanowi trzon muzycznej współczesności i z tego powodu nie może być tu szerzej omawiana.

Natomiast zjawiskiem, które chociaż chronologicznie późne (wkraczające głęboko w dwudzieste lata dwudziestego wieku) stanowi logiczne zamknięcie tradycji czeskiej „narodowej opery” jest dramat muzyczny Leoša Janačka.

Uległ on zresztą w ostatnich latach istotnemu przewartościowaniu (jak zresztą cała twórczość kompozytora) stając się stopniowo jedną z pierwszorzędných atrakcji międzynarodowego życia muzycznego.

Rzecz znamienna, że wysiłki czechosłowackich muzyków i muzykologów zmierzające do dokonania renesansu dzieła Janačka spotkały się z silnym rezonansem na Zachodzie. Klasyczne pozycje dramatu muzycznego kompozytora: „Jenufa”, „Katia Kabanova” czy „Zapiski z Umarłego Domu” zyskały w ostatnim piętnastolecu nie tylko sceny ambitne i poszukujące nowości, ale nawet tak konserwatywne i zasklepione w wyłączności „żelaznego repertuaru” instytucje jak francuskie i włoskie teatry operowe.

Twórczość Janačka, mimo swych niewątpliwych wartości, zyskała za życia kompozytora jedynie ograniczony rezonans daleki od „rangi światowej”... Zresztą, trzeba przyznać, że wiele cech stylistycznych jego muzyki, tak symfoniki jak opery, zdawało się skazywać je na los wartości lokalnej.

Pomijając już libretta jego dramatów muzycznych, silnie prześycone stylistycznymi elementami czeskiego naturalizmu z przełomu stuleci, ich język muzyczny w partiach wokalnych oparty o intonacje morawskiego dialektu języka czeskiego, a w partiach instrumentalnych o bardzo swobodnie traktowaną inspirację folklorystyczną — tworzył zespół cech gwarantujących niemal niekomunikatywność poza środowiskiem w którym powstały.

Fakt więc że „światowy sukces” Janačka przyszedł z tak dużym opóźnieniem jest dowodem zasług czeskiego świata muzycznego, którego przedstawiciele dołożyli szczególnie wiele starań, aby dzieło kompozytora spopularyzować i ukazać w odpowiednim świetle historycznym, niemniej jednak zasadniczym momen-

tem były tu wartości jego dzieł, w pierwszym rzędzie odkrywczą oryginalność ich materii brzmieniowej.

Historia muzyki Janačka posiada także pewną wartość uogólnienia. Wykazuje ona, że muzyka krajów Wschodniej Europy posiada wciąż szereg wartości nieznanych dziś w dostatecznej mierze, a których międzynarodowy awans jest z pewnością możliwy.

Zajmując się w pierwszym rzędzie romantyczną i neoromantyczną „operą narodową” nie miałem bynajmniej zamiaru stwarzać wrażenia, że jest ona główną wartością, powstałą na gruncie muzyki interesujących nas krajów. Tak z pewnością nie jest, gdyż zwłaszcza we wcześniejszym okresie XIX wieku, symfonia Liszta i Smetany oraz fortepianowa twórczość Chopina posiadały wyższą rangę artystyczną niż opera tamtego okresu.

Jeżeli zasługuje ona na szczególne zaakcentowanie, to w pierwszym rzędzie ze względu na jej rolę, jako elementu renesansu narodowej kultury społeczeństw wschodnioeuropejskich.

Twórczość zresztą w innych dziedzinach muzyki posiadała większą ciągłość i odegrała pierwszorzędą rolę międzynarodową. Tak na przykład czeska symfonia od Smetany poprzez Dworaka aż po Janačka zdołała zachować swój szczególny charakter stylistyczny oraz, co niemniej ważne, także ciągłość międzynarodowego znaczenia.

Podobnie muzyka węgierska, dzięki odkrywczej roli Liszta, który nadał ostateczny kształt poszukiwaniom form romantycznej symfoniki, zyskała impuls, pozwalający jej mimo wahań utrzymać ciągłość. Bartók i Kodály nie musieli dzięki temu rozpoznąć w naszym stuleciu od „odrabiania zaległości”...

I wreszcie wartości innego rodzaju, o niekwestionowanym znaczeniu, przyniosła twórczość rosyjskich kompozytorów neoromantycznych, reprezentujących kierunek „kosmopolityczny”: Skriabina i Czajkowskiego.

Wartości to zresztą nierówne gdyż Skriabin mimo mniejszej od Czajkowskiego popularności reprezentuje tak w aspekcie historycznym jak artystycznym o wiele więcej. Jedyną właściwie cechą łączącą tych kompozytorów jest całkowity niemal brak zainteresowania programowym tworzeniem muzyki o inspiracji „narodowej”. Jeśli pierwszy z nich silnie, zwłaszcza na gruncie muzyki fortepianowej, nawiązywał do Chopina jedynym zdaje się tego motywem był chopinowski język harmoniczny, na którym w dużej mierze oparł swe własne odkrycia w tej dziedzinie.

Na tle tej stosunkowo bogatej i zróżnicowanej panoramy słabo zarysowuje się profil muzyki polskiej. W istocie poza moniuszkowską operą nie zdołała ona stworzyć wartości, które choćby w przybliżeniu dałyby możliwość kontynuowania impulsu nadanego jej przez Chopina. Przyczyny tego stanu rzeczy zdają się leżeć w pierwszym rzędzie w istniejących wówczas realiach społecznych, wybitnie niesprzyjających twórczości.

Jak wykazały badania zabytków muzyki polskiej tego okresu nie brakowało talentów, często wybitnych, które jednak w istniejącym wówczas stanie rzeczy nie mogły znaleźć ani odpowiednie-

go ukształtowania, ani też inspirującego twórczość pola działania.

Jedynym kompozytorem tego okresu, który zdołał rozwinąć w większej mierze wrodzone dyspozycje twórcze był działający już u schyłku stulecia Juliusz Zarębski. Oryginalność jego utworów kameralnych i fortepianowych, zapowiadających wyraźnie muzyczny impresjonizm, nie zapewniła mu jednak wybitniejszego miejsca w historii. Przedwczesna śmierć i utrudniająca twórczość kariera wirtuozowska sprawiły, że także jego talent stał się niewykorzystaną szansą.

Późny rozwój polskiej symfoniki wiąże się bez wątpienia z faktem, że dopiero u schyłku XIX wieku powstawać zaczęły na nowo instytucje muzyczne z Filharmonią Warszawską na czele.

W świetle tych faktów tym bardziej uwypukla się znaczenie atmosfery wszechstronnego renesansu kulturalnego, kształtującej osobowość artystyczną Chopina w dobie Królestwa Kongresowego, gdy Warszawa była centrum życia muzycznego o bynajmniej nie prowincjonalnym obliczu, a istniejące przy uniwersytecie studium muzyczne umożliwiało wszechstronne opanowanie sztuki wykonawczej czy odtwórczej.

Jak wykazuje choćby pobieżny przegląd, obraz muzyki krajów Wschodniej Europy XIX stulecia posiada cechy szczególne, zderminowane wieloma czynnikami tak natury artystycznej jak pozaartystycznej.

Za momenty najistotniejsze należy tu uznać powstanie kierunku w mniejszym lub większym stopniu właściwego wszystkim omawianym krajom a następnie pełne włączenie muzyki rosyjskiej w obręb twórczości zachodniej. W sumie bowiem, choć romantyczna i neoromantyczna muzyka Wschodniej Europy wykształciła więcej niż w poprzednich stuleciach odrębności, w sensie historycznym i stylistycznym należy ona do nurtu o zachodniej genezie.

Wejście więc w jej nurt twórczości rosyjskiej (wraz z kulturą plastyczną i literacką) stało się faktem szczególnie ważnym ze względu na pierwszoplanową rolę jaką miała ona odegrać na forum międzynarodowym na przestrzeni przeszło stulecia.

Rolę tę osłabiła dopiero rewolucja 1917 roku powodując emigrację najwybitniejszych twórców ze Strawińskim i Prokofiewem na czele, a ostateczny cios zadał jej żdanowski socrealizm. Spowodowana przezeń głęboka recesja twórczości nie została też po dzień dzisiejszy przezwyciężona.

W muzyce krajów wschodnioeuropejskich o tradycji zachodniej romantyzm i neoromantyzm nie były z pewnością „złotym wiekiem”. Zwłaszcza w zestawieniu z bogactwem czeskiej i polskiej twórczości ubiegłych stuleci trudno tu mówić o powstaniu wyjątkowych wartości. Tym niemniej epoka ta przywróciła muzyce Polski, Czech i Węgier międzynarodowe znaczenie. Bez charakterystyki tego okresu niemożliwe byłoby też objaśnienie następnego, w pełni twórczego okresu — współczesności...

Tibor Déry

Młody buntownik

Pierwszy utwór Déry'ego — krótka powieść pod tytułem *Lia* — ukazał się w 1917 roku, to znaczy w chwili gdy autor miał dwadzieścia trzy lata; mimo to Déry osiągnął pełną dojrzałość pisarską dopiero w wieku czterdziestu lat. To „powolne dojrzewanie” było wynikiem wielu lat spędzonych na dobrowolnej emigracji i podróżach po całej Europie, na próbach znalezienia własnego oblicza, próbach przybierających dramatyczną formę czy to pełnej pasji gry hazardowej, nagłych ucieczek, burzliwych miłości czy też działalności politycznej. W owym okresie Déry usiłował rozwikłać szereg dręczących go wewnętrznych sprzeczności: pochodził z zamożnej rodziny burżuazyjnej lecz po upadku monarchii węgiersko-austriackiej przyłączył się do komunistycznej partii Béli Kun'a; mimo iż nienawidził „godnych”, kontrrewolucyjnych Węgier Horthy'ego, powrócił do kraju w latach trzydziestych, by zaopiekować się matką, osobą w poważnym już wieku; chociaż w zasadzie popierał rewolucję proletariatu, zachowywał się czasami jak intelektualista o upodobaniach i nastawieniach arystokratycznych. Mieszkał w Wiedniu i Feldafing w Bawarii, w Paryżu i Perugii, w Berlinie i Dubrowniku, a po 1935 roku w Budapeszcie. Mimo iż brał udział w socjalistycznym powstaniu w Wiedniu w 1934 roku, mimo iż posiadał liczne powiązania z nielegalną węgierską partią komunistyczną, po powrocie do kraju nie należał do niej i stał się jej członkiem dopiero po wojnie. A w oczach stalinistów był heretykiem gdyż przetłumaczył na węgierski książkę André Gide'a „Podróż do ZSSR”. Chociaż skazano go na krótką karę więzienia za to tłumaczenie (dla ówczesnych władz książka ta była *pro-sowiecką* propagandą!) a jego pierwsza wielka powieść *Niedokończone zdanie* nie została ogłoszona w przedwojennych Węgrzech, jego bunt przeciwko kapitalizmowi miał zbyt wyraźny posmak „subiektywizmu” i „intelektualnego anarchizmu” by wzbudzić zaufanie komunistycznych ideologów, przebywających wówczas w Moskwie. Ten retrospektywny rzut oka pozwala zrozumieć, że Déry mógł uchodzić jedynie za tymczasowego sojusznika komunistów; nie był on „lojalnym” członkiem partii bo jego gwałtowna nienawiść dla niesprawiedliwości i tęsknota za wolnością wybiegały daleko poza nastawienia partii, która domagała się bezwzględnego posłuszeństwa od swoich pisarzy.

Rewolucyjny buntownik

Po „historii z Gide'm” Déry'emu nie udało się przez sześć lat wydrukować żadnego własnego utworu. Żył z tłumaczeń, które

umieszczał często pod pseudonimami. Miało się wrażenie, że wycofał się całkowicie z uczestnictwa w życiu literackim Węgier, a ten stan rzeczy trwał aż do 1945 roku, to znaczy do wkroczenia wojsk sowieckich. Déry, którego prześladowano zarówno z powodu jego pochodzenia rasowego jak i poglądów politycznych, odetchnął wreszcie swobodnie. Ponadto, mógł obecnie oddać do druku swą powieść. Książka *Niedokończone zdanie*, która ukazała się w 1947 roku, cieszyła się powodzeniem nie tylko z powodu swej wartości literackiej, lecz także poruszonego zagadnienia (konflikty młodego intelektualisty, socjalisty, który w dążeniu do zrealizowania sprawiedliwości rewolucyjnej występuje przeciwko własnej klasie). György Lukács odniósł się z uznaniem przede wszystkim do „głębokiego, zdecydowanie krytycznego” realizmu. Déry napisał następnie wspaniały cykl krótkich opowiadań o oblężeniu Budapesztu pod tytułem „Gry podziemia”, który przyczynił się do ugruntowania jego sławy jako wielkiego pisarza. W owym też czasie skrytykował swą wcześniejszą twórczość, szczególnie nastawienia awangardowe z lat dwudziestych, oświadczając, iż „nie umiał wówczas sięgnąć do sedna spraw i zatrzymywał się jedynie na uczuciowej pokrywie zjawiska”. Po napisaniu *Niedokończonego zdania* Déry stał się pisarzem socjalistycznym, który z powodzeniem wchłonał i kontynuował tradycje realizmu. Był więc tym, na którego oczekiwali komuniści w nadziei, iż stworzy literaturę zaangażowaną społecznie i realistyczną.

Wydaje się jednak, że nawet wtedy istniały dwa rodzaje komunistów: typ komunisty „zachodniego” i typ „moskiewski”. Podczas gdy Lukács i Déry należeli bez wątpienia do tej pierwszej kategorii (głównym źródłem natchnienia i nastawień kulturalnych Lukács’a były Niemcy, a więc Hegel), poprzedni filozofowie jak Fogarasi i Rudas, oraz krytycy polityczni jak József Révai, reprezentowali ten drugi typ komunisty. Révai był oczywiście człowiekiem wybitnie inteligentnym i bardzo czytany, lecz jednocześnie należał do fanatyków, którzy wierzyli w bezwzględne podporządkowanie się woli partii. Dlatego też stał się znakomitym przedstawicielem kulturalnej polityki Żdanowa. Po roku 1948, to znaczy od chwili gdy komuniści rozciągnęli całkowitą kontrolę nad Węgrami, polityka kulturalna stała się wyłącznym przywilejem „ludzi Moskwy”. Najpierw zaatakowano Lukács’a zmuszając go do samokrytyki za „niedocenianie” osiągnięć sowieckiego socrealizmu, potem przyszła kolej na Déry’ego. Oskarżono go o „fałszywe przedstawienie rzeczywistości” w książce *Odpowiedź*¹, która miała być pierwszą częścią trylogii poświęconej historii młodych robotników węgierskich i drodze prowadzącej ich w ostatecznym rachunku do partii komunistycznej. Części trzeciej tej trylogii Déry nie napisał nigdy; porzucił tę myśl gdy Révai zaatakował — nadano temu zresztą ogromny rozgłos — drugi tom

1. Pierwszy tom cyklu ukazał się po polsku: Tibor Déry, *Odpowiedź*, tłum. C. Mondral, Warszawa, PIW, 1964.

cyklu i gdy zorganizowano na ten temat dyskusję o charakterze inkwizycyjnym. Naciski i metody użyte wówczas przez Révai'a były tego rodzaju, że podważyły resztki zaufania jakie żywił Déry do „mądrości partii”. Oświadczono mu, że aby udowodnić swą lojalność komunistyczną nie pozostaje mu nic innego jak tylko na nowo napisać książkę. Było to żądanie, na które Déry nie mógł się zgodzić; dlatego też zamknął się w sobie i powrócił do życia publicznego dopiero w 1954 roku gdy, podczas pierwszego premierostwa Imre Nagy'ego, napisał wspianą list, popierający politykę Premiera.

Wystąpienie to, jak również rola jaką odegrał Déry w umysłowym przygotowaniu powstania z 1956 roku, były tylko logiczną konsekwencją jego nienawiści do niesprawiedliwości. *Fiat iustitia, pereat Caesar*. Podobnie jak przedwojenny, na poły faszystowski, reżym, partia i jej przedstawiciele popełnili błąd nie tyle dlatego, że krytykowali dzieło Déry'ego, lecz dlatego, że usiłowali go sterylizować i nie chcieli tolerować realizmu społecznego; partia, która miała uchodzić za awangardę woli rewolucyjnej, przystąpiła w rzeczywistości do bezwzględnego cięmiężenia całego narodu. Déry napisał książkę *Niki*², kilka krótkich opowiadań o charakterze politycznym i stał się wkrótce jedną z czołowych postaci tak zwanego „buntu pisarzy”. W swej nowej, autobiograficznej książce *Bez wyroku* Déry usiłuje ująć z pewnej perspektywy rolę, jaką odegrał w wydarzeniach z 1956 roku. Mówi, że przyjmując na siebie tak rozległą odpowiedzialność wykazał „brak poczucia proporcji”, bo przecież pisarz nie może być przywódcą politycznym. „Przez długi czas wierzyłem, że to co nazywamy prawdą może mieć również znaczenie w polityce i nie wiedziałem, że prawda zmienia natychmiast swe oblicze gdy tylko wejdzie w orbitę polityki”. Dzisiaj nie ma on na ten temat wątpliwości. „Tym niemniej, nawet obecnie” — pisze Déry w *Bez wyroku* — „pochwalam to co powiedziałem podczas mego przemówienia w Kole Petöfi”. (Było to gwałtowne oskarżenie reżymu Rakosi'ego i jego polityki, które kończyło się proroczym ostrzeżeniem: „Pamiętajmy o tym, że przez odsunięcie kulawych koni nie załatwiamy jeszcze sprawy kulawych osłów, które mogą zająć ich miejsce”). Innymi słowy, Déry wyznaje publicznie w 1968 roku program radykalnych reform, wysunięty w 1956. Żałuje tylko, że 1957 roku gdy go aresztowano, a potem, w czasie procesu przy drzwiach zamkniętych, nie miał na tyle odwagi by bronić swego przemówienia.

Narodziny wielkiego człowieka

Wkrótce po zgnieceniu powstania węgierskiego osadzono Déry'ego w więzieniu. Skazano go na dziewięć lat, ale na szczęście (na skutek zdecydowanego wystąpienia Międzynarodowego Pen

2. W przekładzie polskim została wydana przez Instytut Literacki jako 47 tom „Biblioteki Kultury” z przedmową Gustawa Grudzińskiego.

Klubu i innych organizacji) odsiedzieć miał tylko trzy. Lata spędzone w więzieniu były dla niego całkiem znośne: przydzielono mu papier i pióro, zezwolono na czytanie potrzebnych mu książek, i Déry bez wahania zasiadł do pisania powieści. W ten sposób powstała książka *Pan A.G. w mieście X*, rodzaj swiftowskiej anty-utopii, opisującej kraj gdzie ludzie przestali wierzyć w postęp, porządek i inne wartości zachodnie, a usiłują skrócić „nędzę bytowania na ziemi” przemieniając życie w pełną udręki i pustki niedolę. Jest to dziwna i skomplikowana powieść, w której długie opisy nacechowane rozpaczą występują obok wspinających ustępów nasiąkniętych ironią i liryczną serdecznością. W 1961 roku wypuszczono Déry’ego na wolność; po wyjściu jego z więzienia nie wydano jednak od razu tej powieści, lecz tylko zbiór krótkich opowiadań pod tytułem *Rozrachunek*. Nowela, która nosi ten sam tytuł, opisuje dzieje profesora uniwersytetu i studentów biorących zbrojny udział w powstaniu z 1956 roku. Profesor potępia użycie broni lecz, ponosząc częściowo odpowiedzialność za tragiczne wydarzenia, próbuje opuścić kraj nielegalnie. (Historia ta daje Déry’emu okazję do przedstawienia ogólnych nastrojów, owych pełnych oszołomienia walk, a potem masowych ucieczek). Ostatnie zdania opowiadania wskazują jednak, że bohaterowi nie udało się przekroczyć granicy, poniósł bowiem śmierć z zimna w *no man’s land*’zie między Węgrami a Austrią. Chyba nie popełnimy błędu jeżeli dopatrywać się będziemy w tej noweli odpowiedzi jakiej udzielił Déry pokusie by opuścić kraj; nie chciał jednak tego zrobić i tego nie robi. Tym bardziej, iż od 1963 roku nie ma żadnych powodów, by powziąć tego rodzaju decyzję.

Nieomal bowiem wszystko co Déry napisał może obecnie ujrzeć światło dzienne na Węgrzech, które żyją w bardziej tolerancyjnej atmosferze stworzonej przez rząd Kadara. Nawet takie opowiadania jak wzruszająca *Miłość*³ (powrót więźnia politycznego do żony po wypuszczeniu na wolność), zabawna i raczej ironiczna *Gościnność* (bajka, ukazująca całą pustkę wielkich sloganów propagandowych w latach pięćdziesiątych), czy doskonale zrównoważona nowela *Dwie kobiety*⁴ (opis opartego na domysłach życia matki i żony pisarza, który sam znajduje się w więzieniu) znalazły się w dwutomowym zbiorze opowiadań Déry’ego, który ukazał się w 1967 roku. Wydano ponownie *Niki, historię psa*, i o ile nam wiadomo, nie wprowadzono żadnych zmian czy skrótów do innych nowych dzieł Déry’ego, a w szczególności do noweli *Ekskomunikator* (*Kultura* omówiła tę książkę w Nrze 3/245), i do *Bez wyroku*. Ten ostatni utwór, który stanowi ciekawą mieszaninę szczegółów dotyczących własnego życia, wspomnień o miłościach czy przyjaciółach, komentarzy politycznych i świetnie zarysowanych portretów literackich, jest w pewnym sensie ukoronowaniem powojennej twórczości Déry’ego.

3. Ogłoszona w zbiorze, Tibor Déry: *Miłość*, Warszawa, 1967.

4. Ukazała się w Nrze 6/212 *Kultury* (1965), pt. „Synowa”.

Kim są bohaterowie książek Déry'ego?

Nie wiem doprawdy czy realizm sam w sobie jest zaletą czy wadą. Wartość jego zależy prawdopodobnie od nasilenia przeżyć autora, od dobitności jego stylu, od zdolności do stworzenia wiarygodnych i sugestywnych postaci. Specjalnością Déry'ego, gatunkiem gdzie osiąga on pełnię, są krótkie opowiadania. Zaraz po wojnie oraz w latach 1961-63 znajdował się u szczytu formy właśnie jako autor nowel, a opowiadania napisane w tym okresie są niezaprzeczalnym dowodem jego wielkiego talentu. Kim są bohaterowie tych nowel? Są to dzieci, młode dziewczyny, starzy mężczyźni i kobiety. Déry odnosi się ze szczególną serdecznością do młodzieży; jego niezdarny, pełen siły i jednocześnie nieśmiałości chłopak oraz uroczo zuchwała dziewczyna z opowiadania *Olbrzym* pozostają nam na zawsze w pamięci. W nowelach jego, a także w oschłej książce *Pan A. G. w mieście X*, występują również niewinne lecz świadome swego czaru dziewczyny; ma się wrażenie, że dla stworzenia tego modelu literackiego Déry szukał wzoru we własnych doświadczeniach życiowych. W opowiadaniu *Księżniczka portugalska* obserwuje i opisuje z sympatią dzieci-włóczęgi z 1945 roku, podobnie jak młodego bohatera *Odpowiedzi*, Bálint Köpe. Wszyscy oni, jak stwierdził jeden z krytyków, mają „otwarty” stosunek do świata, są pełni gorliwości do nauki, reagują szybko, może tylko są zbyt pochopni, zbyt skwapliwi w dążeniu do zrozumienia wszystkiego (dzięki temu przypominają nastawienia samego autora — był on przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem, które na skutek przewlekłej choroby spędziło długi czas w łóżku). Starsi mężczyźni i kobiety w książkach Déry'ego są również pełni życia; pociąga ich młodzież mimo iż odnoszą się negatywnie do jej braku opanowania i nieumiarkowania; są starzy, lecz wcale nie brzydzy, w każdym z nich tkwi coś godnego miłości. Często, tylko oni zdobywają się na odwagę by walczyć w sytuacji zupełnie rozpaczliwej, jak to robi na przykład stara ciotka Anna w *Grach podziemia*.

Wszystko to wskazuje, że Déry przepada za ludźmi mimo, iż często docieka, pełen podejrzliwości, motywów ich działania i motywów ich ambicji. Dlatego też lubi stawiać ich w drażliwych sytuacjach, które umożliwiają odsłonięcie ich najlepszej czy najgorszej strony charakteru, ich ukrytej siły, próżności czy głupoty. Wiele opowiadań Déry'ego opiera się na zasadzie: „realni” bohaterowie w „egzystencjonalnych” sytuacjach. Mówię tu oczywiście o Déry'm z epoki realizmu; w ciągu bowiem ostatnich pięciu lat jego zainteresowanie światem zewnętrznym poważnie zmalało, obecnie skierował swą uwagę raczej na własne przeżycia i na najbliższe otoczenie niż na losy innych ludzi.

Déry w Tamashegy

W lipcu bieżącego roku odwiedziłem Déry'ego w Tamashegy koło jeziora Balaton. Mieszka w dużej letniej rezydencji z „pięk-

nym widokiem", otoczonej pagórkami pokrytymi winnicami, które okalają spokojną, niebieską płaszczyznę jeziora. Z daleka widać wzgórze Tihany ze starym klasztorem o dwóch wieżach. Wielu pisarzy i artystów posiada domki w tych okolicach. To w Tamashegy Déry napisał książkę *Bez wyroku*. To tu także rozmyśla nad sensem swego życia bogatego w wydarzenia, w starcia z tą czy inną formą władzy, posługującej się środkami represyjnymi.

Déry nie jest już buntownikiem. Wie, że nie zmieni świata, że świat ten nie stanie się bardziej ludzki, bardziej pokojowy czy bardziej socjalistyczny dlatego tylko, że on pragnie by takim był. I wie także jak dalece zmienił się on sam od 1917 roku. Filozofia jego sprowadza się teraz do oświeconego, dobrodusznego sceptycyzmu, a cel, do którego zmierza w życiu można by ująć w powiedzeniu: „Cultivons *notre jardin*” (podkreślenie autora). Obecnie nastawienie Déry'ego jest jakimś dążeniem do utrzymania równowagi opartej na niepewnościach. Kiedyś zauważył on z pewną dozą zniecierpliwienia: „Najbardziej twórczymi chwilami mego życia były te, gdy nie zgadzałem się nawet z samym sobą”.

Równowaga ta opiera się na kompromisie z rzeczywistością; Déry jest teraz przekonany, że nawet w najlepszym społeczeństwie nie da się pogodzić literatury z polityką, że nigdy nie potrafią one współżyć ze sobą; w konsekwencji, zgadza się bez protestów na miejsce jakie wyznaczają literaturze politycy. Z drugiej strony władze węgierskie uznają obecnie po cichu fakt, że literatura posiada swe własne prawa i że powinna dysponować pewnym, dość szerokim, zakresem samodzielności. Od chwili wypuszczenia z więzienia Déry postanowił nie wychodzić poza granice owej samodzielności. Ponieważ nie bierze czynnego udziału w życiu politycznym, wypowiada swe poglądy z taką swobodą na jaką go stać na temat każdego zagadnienia, związanego z nim samym lub z literaturą; dla przykładu mógłbym tu zacytować szereg ustępów z książki *Bez wyroku*. Na początku tego roku rozeszły się pogłoski, że władze starały się wyrzucić na nim pewne naciski czy też uciekały się do gróźb — okazało się jednak, że wiadomości te były nieprawdziwe. „Na ogół” — mówi Déry — „mogę pisać to co chcę. Istnieją pewne ograniczenia, lecz w moim przekonaniu nie powodują one okaleczenia”. I na tle idyllicznego krajobrazu w Tamashegy, w czasie owego słonecznego popołudnia, gdy siedzimy w ogrodzie, stwierdzenie to wydaje się całkowicie wiarygodne.

Czy są jakieś rzeczy dotyczące świata zewnętrznego, które interesują obecnie Déry'ego? W udzielonym niedawno wywiadzie poddał onu w wątpliwość wartość poglądu (czysto marksistowskiego), że walka klas stanowi centralny problem naszego wieku. Następnie wyliczył zagadnienia, które zdaniem jego mogłyby mieć większe znaczenie: walka między kontynentami i poszczególnymi rasami, nie dające się pogodzić sprzeczności między rozwiniętymi i niedorozwiniętymi gospodarczo krajami, przeludnienie. Poza

tym do problemów, którym Déry poświęca wiele rozmyślań, należy sprawa „niebezpieczeństwa rozwoju technologicznego”. Przepaść jaka zarysowuje się między niesłuchaniem szybkim rozwojem technologii a boleśnie powolnym wzrostem racjonalnych i kulturalnych zalet ludzkości napawa go przerażeniem w tym samym stopniu co wielu pisarzy i uczonych. Nie myśli, że maszyny elektroniczne przyniosą najwyższe szczęście światu; natomiast uważa, że sumienie pisarzy może odegrać istotną rolę w walce z odczłowieczeniem.

Déry czyta mało, dokładnie dobiera swą lekturę, która ogranicza się właściwie do pisarzy współczesnych. Woli Ionesco od Dürrenmatta, Prousta i Kafkę od współczesnej prozy „eksperymentalnej”. Szczególnie potępia „nową powieść”, która jego zdaniem jest niezmiernie nudna. Ktoś przysłał mu niemieckie tłumaczenie *Ferdydurke*; zamierza tę książkę przeczytać i wypytywał mnie o Gombrowicza.

Po ukończeniu *Bez wyroku*, Déry napisał bardzo niewiele; nie odczuwa obecnie potrzeby śpieszenia się: siedząc wygodnie, może rozkoszować się kieliszkiem wina, spokojnym zachodem słońca czy obserwować zmieniające się barwy na wzgórzach otaczających jezioro. Ma młodą żonę, piękną rezydencję letnią, zna go cały świat, drukuje się go i czyta wszędzie, na Węgrzech otoczony jest podziwem i są tacy, którzy go naśladowają. W październiku ukończy siedemdziesiąt pięć lat. Gdy byłem u niego wyglądał znakomicie, był opalony, wypoczęty. Gdy piszę te słowa przypomina mi się nagle zakończenie *Bez wyroku*, ów opis domu w Tamashegy (czasami zamienia się on w łódkę), który przygotowuje się na zimę: „Zima? Czy będzie w ogóle zima?” — i widzę z lekka przygarbioną postać Déry’ego, która znika powoli w ciemnościach ogrodu.

George GÖMÖRI

Komunikaty

CHICAGO: „WOMAN OF THE YEAR”

Zgodnie z dosyć upowszechnionym zwyczajem amerykańskim jedno z dwu polskich pism codziennych ukazujących się w Chicago, *Dziennik Chicagowski*, wybiera od wielu lat „The Man of the Year”; ostatni jego wybór padł na kongresmana Romana Pucińskiego. Stwarza to okazję do bankietu, stanowi pomoc dla pisma, przede wszystkim zaś skupia na chwilę światło reflektorów na najbardziej znanej i aktualnie najbardziej czynnej osobistości. W bieżącym roku Polsko-Amerykański Fundusz Stypendialny, dzia-

łający w tym mieście pod kierownictwem Adama Śniechowskiego, wpadł na pomysł, aby „Mężczyźni Roku” przydać odpowiednik płci przeciwnej. Pierwszą „Woman of the Year” ogłoszono Elżbietę Dziewońską-Krzemieńską, współzałożycielkę i kierowniczkę teatru „Nasza Reduta”, aktorkę, reżyserkę i dziennikarkę, współpracowniczkę *Dziennika Chicagowskiego*.

Ogłoszenie przyznawano tytułu odbyło się, stosownie do rytuału przyjętego w „stolicy Polonii Amerykańskiej” i w całej Ameryce, na bankiecie w restauracji The Mangham Château, nb. prowadzonej przez dalszych krewnych Marii Skłodowskiej-Curie. Przewodniczył Jan Krawiec, redaktor *Dziennika Związkowego Zgoda*, który jest organem prasowym Związku Narodowego Polskiego i pośrednio także Kongresu Polonii Amerykańskiej (dzięki unii personalnej przez mec. Alojzego Mażewskiego, prezesa obu tych organizacji). Głównym mówcą był dr Tymon Terlecki, profesor zwyczajny historii literatury polskiej na University of Chicago. Programu zebrania dopełniły występy artystów miejscowych: recytatora, dwójga śpiewaków i dwu pianistek. Laureatce wręczono pamiątkową plakietę i adres podpisany przez wszystkich obecnych, obsypano kwiatami i podarunkami. Przy sposobności Legion Młodych Polek złożył 1.000 dolarów na cele Funduszu Stypendialnego. Nie tylko więc gromadne rozczulenie, ale konkretna pomoc na istotny cel.

Dziewońska-Krzemieńska jest postacią bardzo popularną w polskim Chicago. Mieszka w nim od blisko 25 lat i jest w nim wielostronnie czynna. Jest to aktorka o wcale wysokim standingu artystycznym. Debiutowała w r. 1923 w „Ptaku” na scenie warszawskich „Rozmaitości” pod reżyserią Osterwy, grając obok Majdrowiczówny, Frenkla i Jaracza (Ryszard Górski w przypisach do „Dramatów Zebranych” Szaniawskiego określa prapremierę „Ptaka” jako „wspaniałe widowisko, jedno z najciekawszych w ciągu międzywojennego dwudziestolecia”). Występowała we wszystkich głównych miastach Polski i objeżdżała ją jako partnerka Adwentowicza i Osterwy (Smugoniowa w „Przepióreczce”).

Taki dorobek wywiozła Dziewońska z kraju na emigrację szlakiem wędrownym, prowadzącym przez Bukareszt i Paryż na drugą półkulę. W czasie wojny należała do zespołów, które odwiedzały ośrodki polskie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Po wojnie osiadła wraz z mężem, również aktorem, Lucjanem Krzemieńskim, w Chicago. W roku 1950 założyli oboje w tym mieście stały, półzawodowy, pół-amatorski teatr „Nasza Reduta”. Krzemieński zmarł w roku 1955, ale Dziewońska-Krzemieńska prowadzi ten teatr do dzisiaj, czyli bez małego ułamka lat dwadzieścia. „Prowadzi” znaczy w tym specyficznym przypadku, w szczególnych warunkach polonijnych: wystawia we własnej reżyserii dwie do trzech sztuk rocznie, które po wielotygodniowych próbach są grane zazwyczaj dwa, maksymalnie cztery razy przy nie zawsze pełnej widowni.

Mimo wyjątkowo niesprzyjającej atmosfery teatr Krzemieńskiej swoją nieprzerwaną działalnością pobił bodaj rekord sceny

polskiej, działającej poza krajem. Wystawił około 40 sztuk, dał około 200 przedstawień. Są wśród nich utwory uzyskane drogą rozpisanego konkursu i — ostatnio — „Tango” Mrożka, przygotowane z doskonałym wyczuciem intencji autora, bardzo wyrównane w ujęciu aktorskim.

Wyróżnienie Dziewońskiej-Krzemieńskiej tytułem „Kobiety roku” postawiło na porządku dziennym sprawę teatru polskiego w Chicago. Wegetuje on wbrew wszystkim i wszystkiemu dzięki woli i poświęceniu nielicznych jednostek (oprócz „Naszej Reduty” istnieją jeszcze dwa inne zespoły funkcjonujące na podobnej zasadzie). W kilku ostatnich latach ten teatr stanął wobec konkurencji zespołów przywożonych z kraju przez mało wybrednych a interesownych impresariów. Są to przeważnie zespoły rozrywkowe, typu *Variété*, apelujące do najniższych upodobań publiczności, dobierane czy podsuwane przez odpowiednią instancję urzędową w myśl nieśmiertelnego hasła „Ach te chamy w Ameryce”! Usiłowania lokalne o poważniejszych ambicjach jak teatr Dziewońskiej-Krzemieńskiej, pozostawione samym sobie nie zdają się uporać z tą sytuacją. Wymaga ona wkroczenia czynnika społecznego, mobilizacji opinii i roztoczenia opieki.

To wszystko zdawało się sugerować przemówienie prof. Terleckiego. I dopiero wprowadzenie tego w życie wypełniłoby polonijną miłość do tytułów i obrzędów istotną treścią.



50-LECIE 16. PUŁKU ULANÓW WIELKOPOLSKICH IM. GENERAŁA DYWIZJI GUSTAWA ORLICZ-DRESZERA

II-gie WYDANIE — UZUPEŁNIONE

W związku z całkowitym wyczerpaniem nakładu książki „50-lecie 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich im. Gen. dyw. Gustawa Orlicz-Dreszera” Zarząd Koła pułkowego w Londynie postanowił wznowienie tego wydawnictwa.

Drugi nakład ukaże się z końcem rb., w ilości 200 egzemplarzy i zawierać będzie załącznik („Errata”), opracowany na podstawie nadesłanych przez czytelników I-go wydania sprostowań i uzupełnień. Cena książki: 25/-. Czytelnicy posiadający już I-sze wydanie mogą zamawiać oddzielnie uzupełnienie („Errata”) w cenie 5/6, wraz z przesyłką. Zamówienia w przedpłacie prosimy przesyłać do dnia 10 grudnia 1969 roku.

Czeki przekazy i P.O. (nie przekreślone), należy wystawiać wraz z zamówieniem na adres: Mr. H. Kowalski, 105, Dora Road, London, S.W.19.

Fikcja i fiasco

Od czasu gdy James Bond wkroczył do literatury uzbrojony w niczym nie hamowaną wolę zwalczania wrogich agentów, skończyły się piękne dni starej, dobrej powieści kryminalnej. Miejsce pocziwych przestępców, których celem było pozbawienie kogoś prawowitej własności lub najwyżej życia, zajęły ponure typy planujące jeśli nie całkowite zniszczenie, to przynajmniej podbicie świata. Rynek księgarski zalany został potokami książek, w których, rzecz charakterystyczna, coraz częściej adwersarzami dzielnych obrońców zachodniej demokracji zamiast Rosjan byli Chińczycy wraz z całą perfidną, azjatycką chytrą pomnożoną przez komunistyczną indoktrynację. Temat to zbyt łakomy by przeoczyła go najbardziej skomercjalizowana z dziedzin tzw. kultury masowej, telewizja. Sypnęły się więc filmy i serie telewizyjne, w których fabuły szpiegowskie doszły wkrótce do takiego dna nonsensu, że ocalić je mogła tylko groteska, wyśmiewająca własne płody produkcji telebzdury. Zdawało się, że nie ma wyjścia ze ślepego zaułka, w który zagnała się radosna twórczość autorów i producentów, gdyby nie przysłała na pomoc „literatura”, wtórnie dążąca za filmem. I oto znów pojawiają się powieści szpiegowskie zamykając w ten sposób błędne koło wzbogacone o smutne dziedzictwo najmłodszej z muz.

Nowa powieść W. Kuniczaka* procesu tego może być klasycznym przykładem. Otrzymaliśmy książkę zbudowaną na najbardziej ogranych i płaskich schematach tele-fikcji, pełną w dodatku nonsensów i implikacji, które służyć mogą jedynie jakimś dziwnemu celowi umykającemu pojmowaniu krytyka. „Afera Sempinśkiego” zmienia się w dziwną aferę, której cel i znaczenie zna chyba jeden tylko autor powieści. Aby nie być gołosłownym podaję w skrócie treść książki.

* W. S. Kuniczak, *The Sempinski Affair*, Doubleday, New York, 1969, s. 302, dol. 5,95.

Mamy więc amerykańskiego antykwariusza, uosobienie starokawalerskich obyczajów i codziennej rutyny, który z nagłą wciągnięty zostaje w intrygę mającą na celu wydostanie zza żelaznej kurtyny bezcennych zabytków piśmiennictwa. Kraj, do którego się nasz bohater udaje, nie jest co prawda nazwany po imieniu, wszystkie jednak geograficzne i historyczne szczegółów wskazują, że może to być tylko Polska. Jest to kraina skuta przeźrażliwym mrozem i otulona śniegiem pokrywającym bezkresne przestrzenie, po których hulają stada wilków atakując nie tylko ludzi podróżujących zwykle sankami, ale napadają nawet na luksusowe auta wynajmowane przez rządowe agencje niczego nie podejrzewającym cudzoziemcom. Wystarczy? Posłuchajmy jednak dalej. Bohater nasz wkrótce zapomina o swych poszukiwaniach, staje bowiem do samotnej walki przeciw międzynarodowemu spiskowi na życie przewodniczącego rosyjskiej partii komunistycznej. Spisek planują wspólnie Chińczycy, stalinowcy i neohitlerowcy, wspomagani przez prawicowego amerykańskiego senatora i za amerykańskie dolary. Nasz bohater dostaje się do średniowiecznego zamczyska stanowiącego gniazdo uzbrojonych w super-bronń nędzników, a przy okazji odnajduje cud-dziewczynę, rodzaj super-girl z amerykańskich komiksów, i wspólnie z nią rozpoczyna walkę, choć nikłe ma szanse, tym bardziej, że nie zna języka kraju, w którym jednak doskonale daje sobie radę. Na szczęście zyskuje niespodziewanego sojusznika w cynicznym ale dzielnym oficerze władz bezpieczeństwa i wraz z nim udaremnia niecną spisek...

Nie wiem dlaczego, dla kogo i po co napisał Kuniczak tę książkę. Przykro mi jednak bardzo, że doskonale się zapowiadający autor zszedł na błędne drogi fikcji, niewiele z literaturą mającej wspólnego.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Bibliografia

109. KORPAŁA, Józef: *Dzieje bibliografii w Polsce*. Warszawa, 1969, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, s. 439, 29 ilustr. (faks. i portrety). (Wydawnictwo jubileuszowe z okazji 50-lecia Stow. Bibliotekarzy Polskich).

Znacznie rozszerzone i pogłębione wydanie „Zarysu dziejów bibliografii w Polsce”, uwzględniające szeroko rozwój w 20-leciu międzywojennym i prace podjęte po r. 1945. W podrozdziale o rejestracji poloników zagranicznych

wspomniana jest bibliografia emigracyjna Janiny Zabielskiej, prace Jana Kowalika, bibliografia prac naukowych Polaków w językach obcych w oprac. M. Danilewiczowej i J. Nowakowej, prace śp. W. Turka i in. Książka wydana bardzo starannie, dobrze ilustrowana.

R e l i g i a

110. WAGNER, Jan, wyd.: *Katolicy polscy o Soborze i Synodzie*. Sobór Watykański II i Synod Biskupów w świetle wypowiedzi uczestników ankiet prasy paxowskiej. Opracował... (Warszawa), 1969, Instytut Wydawniczy PAX, s. 305 (3).

Odpowiedzi na cztery ankiety „Słowa Powszechnego” z lat 1964-7.

111. WILKANOWICZ, Stefan: *Dlaczego i jak wierzę*. Kraków 1969, Wydawnictwo Znak, s. 247 (5).

Autor określa swe rozważania jako spóźnioną odpowiedź na ankietę „Tygodnika Powszechnego” z r. 1960 na temat „Dlaczego wierzę, wątpię, odchodzę”.

112. OCHMAŃSKI, Jerzy: *Rewolucyjna działalność Feliksa Dzierżyńskiego na Litwie w końcu XIX wieku*. Poznań, 1969, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, s. 113 (3). (Prace Wyd. Filozoficzno-Historycznego, Seria: Historia, nr 28). (Streszczenie w jęz. rosyjskim).

Rozprawa omawia udział Dzierżyńskiego w litewskim ruchu robotniczym w latach młodości (1894-1900). Autor oparł się na materiałach archiwalnych, do których uzyskał dostęp w r. 1963 w Wilnie.

113. RUSIŃSKI, Władysław: *Rozwój gospodarczy ziem polskich w zarysie*. Wyd. II, przejrane i uzupełnione. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 501 (1), mapy, wykresy, bibliografia.

Opracowanie obejmujące w rozdziałach końcowych „Okres międzywojenny (1918-1939)” i „Drugiej wojny światowej”. Ten ostatni, omawiający m.in. szeroko szkodliwe następstwa Okupacji wydaje się szczególnie wartościowy.

S z k o l n i c t w o

114. STASIERSKI, Kazimierz: *Szkolnictwo polskie na Węgrzech w czasie Drugiej Wojny Światowej*. Poznań, 1969, Uniw. im. A. Mickiewicza, s. 247 (1), ilustr., wykresy, streszczenie w języku angielskim.

Obszerny, dobrze udokumentowany zarys historii szkolnictwa polskiego na Węgrzech oparty m.in. na dokumentach z archiwów państwowych węgierskich (Państw. Arch. w Debrecen, akta XXI Oddz. Węgierskiego Min. Obrony Narodowej, Arch. Centralne w Budapeszcie), archiwach Polskiego Czerwonego Krzyża, Polskiej YMCA na Węgrzech, materiałach wydobytych z prasy uchodźczej i relacjach nauczycieli.

P r a w o

115. RAMUS, Walentyn: *Prawo o obywatelstwie polskim*. Warszawa, 1968, Wydawnictwo Prawnicze, s. 376.

Zbiór przepisów prawnych o nabywaniu, utracie i odzyskaniu obywatelstwa polskiego — od r. 1918 do 1968.

Słownictwo techniczne

116. MILEWSKI, Szymon, red.: *Słownik morski angielsko-polski i polsko-angielski*. Warszawa (1968), Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, s. 246 i 191, ilustr.

Trzecie wydanie słownika, zmienione i uzupełnione. Przydatność szeroka: dla marynarzy, wszystkich związanych ze sprawami morskimi (włącznie z czytelnikami powieści Conrada).

Architektura

117. KOWALCZYK, Jerzy: *Kolegiata w Zamościu*. Warszawa, 1968, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 217 (3), ilustr. plany, streszczenia w języku rosyjskim, angielskim i włoskim. (W serii „Studia i materiały do teorii i historii architektury i urbanistyki”, VI wydanej przez Komitet Architektury, Urbanistyki i Budownictwa PAN).

Monografia kościoła wzniesionego sumptem hetmana Jana Zamoyskiego według planów Bernarda Morando, jako część „idealnego miasta” jakim miał być Zamość. Budowę rozpoczętą za życia fundatora ukończył syn jego, Tomasz, w r. 1637. Kolegiata uważana jest za dzieło architektoniczne tej wagi, co Kaplica Zygmuntowska na Wawelu (dzieło Berrecci'ego).

Muzykologia

118. PERZ, Mirosław: *Mikołaj Gomółka*. Monografia. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, s. 445, ilustr. (faks.), nuty, bibliog.

Monografia wybitnego kompozytora polskiego z epoki Renesansu, znanego przede wszystkim jako autora „Melodii na Psalterz Polski”) opartych na polskim przekładzie psalmów dokonanych przez Jana Kochanowskiego.

Literatura piękna (poezja, powieść, dramat, eseje)

119. LEM, Stanisław: *Opowiadania*. Kraków, (1969), Wydawnictwo Literackie, s. 288 (4).

Wybór z poprzednio wydanych tomów nowel z gatunku *science-fiction*. Obejmuje jedenaście opowiadań.

Historia i teoria literatury

120. WYKA, Kazimierz: *O potrzebie historii literatury*. Szkice polonistyczne z lat 1944-1967. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 362. (Biblioteka Studiów Literackich pod red. Henryka Markiewicza).

Tom otwiera rozprawa pt. „Czas powieściowy” pisana w czasie okupacji i nieukończona. Analizuje ona szczegółowo problemy „czasu narracji” i „czasu zdarzeń powieściowych”, dając prymat pierwszemu. Wymownym zamknięciem tomu są rozważania na temat tendencji do „unaukowienia” historii literatury w stopniu odcinającym ją od wąskiego grona specjalistów i tradycyjnej „rekonstrukcji myślowej treści i kolejności zdarzeń minionych (...) wraz z wyświeczeniem rodowodu, przyczyn i doniosłości genetycznej i przyczynowej tych zdarzeń”.

121. JANION, Maria: *Romantyzm*. Studia o ideach i stylu. Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 361 (3).

Tom obejmuje szkice: „Tragizm Konrada Wallenroda”, „Kraśiński a Hegel”, „Dialektyka historii w polemice między Słowackim a Kraśińskim”, uwagi o listach Kraśińskiego, szkic o Ryszardzie Berwińskim, dociekania nad „Zmierzchem romantyzmu” i analizę sądów Lukácsa o romantyzmie. Pierwotne teksty ogłaszane były w czasopiśmie naukowym w latach 1955-1968. Intencją autorki jest wykazanie, iż romantyzm polski krył w sobie jako jeden z najistotniejszych rysów „połączenie rewolucji z tradycją w nowym narodzie”.

122. SANDAUER, Artur: *Liryka i logika*. Wybór pism krytycznych. Warszawa, 1969, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 422.

Wybór powojennych szkiców krytycznych ilustrujących „metodę wieloaspektową”, próbę pogodzenia postulatów krytyki genetycznej i opisowej”. Szkice dotyczą m.in. Bolesława Leśmiana, Gombrowicza („bez taryfy ulgowej”), Szymborskiej (porównanej „z najwybitniejszą poetką poprzedniej generacji — Pawlikowską”).

123. GÓRSKI, Ryszard: *Dramat ludowy XIX wieku*. (Warszawa, 1969), Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 240 (4). (Instytut Badań Literackich PAN. Historia i Teoria Literatury, Studia, 23).

Autor omawia obszernie tradycje dramatu ludowego („sztuki ludowej”) w Polsce, zatrzymując się dłużej przy dorobku Wład. Ludw. Anczyca i J. K. Galasiewicza. Uważa, że okres rozkwitu i powodzenia przypada na drugą połowę XIX w. — warto przypomnieć iż np. „Wesele w Ojcowie” grane było ponad 700 razy.

124. SIEROCKA, Krystyna: *Polonia Radziecka, 1917-1939*. Z działalności kulturalnej i literackiej. Warszawa, 1968, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 288 (2). Instytut Badań Literackich PAN, Historia i Teoria Literatury, Studia, 21.

Próba monografii oparta na „materiałach dotąd jeszcze nie całkowicie dostępnych badaczowi”. Autorka liczy się np. z możliwością odnalezienia dalszych nieznanych wierszy Brunona Jasińskiego, rękopisu powieści Henryka Drzewieckiego itp. Z bliżej nieuzasadnionych powodów autorka stanęła wobec „konieczności ograniczenia relacji” o Wandurskim, Standem, Jasińskim i Drzewieckim. Książka przynosi charakterystykę środowiska polskiego w Sowietach w okresie międzywojennym, dane o prasie („Kultura Mas” itp.), teatrze, dyskusjach literackich itd.

Wspomnienia z okresu II Wojny Światowej

125. PAWLAK, Zacheusz: *Przeżyłem...* (Warszawa), 1969, Inst. Wyd. „Pax”, s. 256.

Wspomnienia byłego więźnia Majdanka spisane w r. 1966.

126. WALICKA, Mirosława: *Próba wspomnień*. Gdańsk, 1945-1946. (Gdynia), 1968, Wydawnictwo Morskie, s. 320.

Wspomnienia dziennikarki związanej z „Dzien. Bałtyckim” i gdańską rozgłośnią Polskiego Radia. Uzupełnia je kalendarz wydarzeń i liczne ilustracje.

127. WIŚNIEWSKI, Witold: *Otwierają się bramy obozów*. (Przedmowa Seweryny Szmaglewskiej). Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, s. 286 (2).

Pamiętnik męża Szmaglewskiej, spisany w oparciu o notatki i listy z roku 1944/5.

Dzieje Wielkiej Emigracji

128. ZDRADA, Jerzy: *Zmierzch Czartoryskich*. Warszawa, 1969, Państw. Wydawnictwo Naukowe, s. 466 (6), ilustr. (w tym liczne portrety).

Autor charakteryzuje działalność polityczną ugrupowania arystokratyczno-konserwatywnego określanego potocznie nazwą „Hotel Lambert” od paryskiej siedziby ks. Adama Czartoryskiego. Ideą przewodnią obozu było stworzenie skierowanej przeciw Rosji koalicji mocarstw zachodnich w nadziei, iż konflikt zbrojny przyniesie wyzwolenie Polski. Szczytowym okresem wpływów był, według Zdrady, r. 1863, gdy kierownictwo akcji spoczywało w rękach

Wład. ks. Czartoryskiego. Po upadku powstania wysiłki „Hotel Lambert” zmierzały do związania sprawy polskiej z przymierzem francusko-austriackim. Znalazło to konkretny wyraz w niemal urzędowych kontaktach w Paryżu i Wiedniu w latach 1866-70. W planach tych Galicja miała odegrać rolę Piemontu polskiego. Wydarzenia r. 1870 przekreśliły plany polskie i praktycznie uniemożliwiły dalszą akcję „Hotel Lambert”, co autor określa raczej niefortunnie jako „zmierzch Czartoryskich”. Dodaje jednak, iż „klęska polityczna Hotelu Lambert, była niewątpliwie klęską o ogólnym znaczeniu dla konserwatystów polskich”. Rozprawa oparta jest o rozległe poszukiwania archiwalne.

Kampania wrześniowa

129. ZAWILSKI, Apoloniusz: *Bitwa nad Bzurą, 1939*. Warszawa, 1968, Min. Obrony Narodowej, s. 189 (3). (Seria: Bitwy, kampanie, dowódcy).

Autor uważa iż „dzięki inicjatywie operacyjnej dowódcy Armii „Poznań” zdołano zatrzymać parcie Niemców” a „Warszawa mogła się bronić do końca września”. Podkreśla także ogromne znaczenie moralne bitwy.

Subskrypcja na « Dzieła » W. Gombrowicza

I-szą RĄTĘ NA SUBSKRYPCJĘ DZIEŁ ZEBRANYCH
WITOLDA GOMBROWICZA NADESŁALI:

Barr Smith Library, The University,
Adelaida.

Karol Berger, New Haven.

Maria Bielczyńska, Kopenhaga.

British Museum, Londyn.

Maria Bronikowska, Los Angeles.

Bogdana Carpenter, Berkeley.

Adam Czerniawski, Londyn.

Aleksander Freyer, Lund.

Mgr inż. Jerzy T. Frycz, Ottawa.

Inż. Ryszard Głodkowski, St-Max.

Danuta i Henryk Hiż, Philadelphia.

Alicja Iwańska, Santiago de Chile.

Dr inż. Michał Lawina, Zürich.

Dr Feliks Mantel, Paryż.

Czesław Miłosz, Berkeley.

Sławomir Mrozek, Paryż.

Edmund Ernest Kosmowski, Paryż.

Dr Leszek Ochota, Wheaton, Md.

Jan Organ, Bruksela.

Maria Paczowska, Mediolan.

Antoni Połozynski, Bradford.

Irena Robert-Tissot, Zürich.

Ks. Józef Sadzik, Paryż.

T. Sarnecki, Winterthur.

Olga Scherer, Paryż.

Prof. Henryk Skolimowski, Los Angeles.

Staatsbibliothek Bremen.

Stanisław Stachelski, Johannesburg.

Ks. Edward Szymeczko, OMI, Paryż.

Dr Tadeusz Świętochowski, N. York.

Tymon Terlecki, Chicago.

Andrzej Trzaska-Pobielski, N. York.

Kazimierz Vincenz, Solothurn --

3 przedpłaty.

Stanisław Wujastyk, Mgarr, Malta.

Tadeusz Wyrwa, Paryż.

Nadesłane nowości wydawnicze

- CHENU (Marie-Dominique) O.P. *Teologia materii*. Cywilizacja techniczna i duchowość chrześcijańska. Przeł. Olga Scherer. Kolekcja „Znaki Czasu”, tom 10. Str. 145. (Wyd. Editions du Dialogue, Société d'Editions Internationale, Paris 1969).
- COSTE (René). *Ewangelia i polityka*. Przeł. Paweł Zdziechowski. Kolekcja „Znaki Czasu”. Tom 11. Str. 263. (Wyd. Editions du Dialogue, Société d'Editions Internationales, Paris 1969).
- SOLSKI (Wacław). *Dziwne wypadki*. Opowiadania cyniczne. Str. 172. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1969).
- CZAJKOWSKI-DĘBCZYŃSKI (Zbigniew). *Dziennik Powstańca*. Str. 162. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969, cena zł 15,00).
- MALATYŃSKI (Antoni). *Pierwsza wojna światowa i odbudowa Rzeczypospolitej*. Biblioteczka polityczno-społeczna Polonii Kanadyjskiej. Str. 88. Zeszyt Nr 1. (Toronto 1969).
- CIOŁKOSZ (Adam). *Moskalofilskie pojmovanie dziejów*. Rzecz o mowie Józefa Cyrankiewicza w 50-tą rocznicę odzyskania niepodległości Polski. Str. 52. (Odbitka z *Polemik*, Rok VI, zeszyt IX). (Londyn 1969, cena 4 sh. 6d., F. 2,50, dol. 0,50).
- ZAHORSKI (Witold). *Polak we Włoszech*. Wydano w 25-tą rocznicę bitwy o Monte Cassino. Str. 199, ilustracje, rysunki schematyczne Samuela Tyszkiewicza. (Rzym, 1969; cena 1200 lirów).
- Piotr i Urszula*. Przygody dzieci w drodze do Jezusa. Opracował ks. St. Klimaszewski, MIC, na podstawie: Erika Gösker „Peter und Ursel”. Str. 93. (Wyd. Zgromadzenie Księży Marianów, Londyn 1969).
- MACKIEWICZ (Józef). „*Mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa*”... Str. 15. (Wyd. Monachium 1969, cena dol. 0,50).
- PANAS (Henryk). *Prawo wojny i inne opowiadania*. Str. 267. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1969, cena zł 15,00).
- SOWA (Paweł). *Po obu stronach kordonu*. Wspomnienia. Str. 192. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1969), cena zł 20,00).
- WILKANOWICZ (Stefan). *Dlaczego i jak wierzę*. Str. 247. (Wyd. Znak, Kraków, 1969, cena zł 38,00).
- Polemiki*. Rok VI, Zeszyt IX, Wiosna 1969. Str. 192. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1969).
- MEDVEDEV (Roy). *Faut-il réhabiliter Staline?* Przekład i uwagi François Olivier. Str. 88 i 8 nlb. (Wyd. Editions du Seuil, Collection „Combats”, Paryż 1969).
- Les nouveaux procès de Moscou. L'affaire Guinzbourg-Galanskov*. Dossier réuni et présenté par Jean-Jacques MARIE et Carol HEAD. Przeł. z rosyjskiego Jean-Jacques et Nadine Marie. Str. 199 i 9 nlb. (Wyd. Editions du Seuil, Collection „Combats”, Paryż, 1969).
- PORETSKY (Elisabeth K.). *Our Own People*. A Memoir of 'Ignace Reiss' and His Friends. Str. 278. (Wyd. Oxford University Press, London, 1969, cena 42 sh.).

- YUEN REN CHAO. *A Grammar of Spoken Chinese*. Str. 847 i 1 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1968; Nadesłane przez IBEG Ltd., 2-4 Brook Str., London, W1Y 1AA, cena 143 sh.).
- MELLO R. (John W.). WEAVER (Thomas F.), LELE (Uma J.), SIMON (Sheldon R.). *Developing Rural India*. Plan and Practice. Str. 411, Referencje i Indeks., 9 nlb. (Wyd. Cornell University Press, Ithaca, N.Y., USA, cena 105 sh. Nadesłane przez IGEG Ltd., 2-4 Brook Str., London, W1Y 1AA).
- FOX (Richard G.). *From Zamindar to Ballot Box*. Community Change in a North Indian Market Town. Str. 302 z Appendixami, Bibliografią i Indekssem. (Wyd. Cornell University Press, Ithaca, N.Y., USA, cena 105 sh. Nadesłane przez IBEG Ltd., 2-4 Brook Str., London, W1Y 1AA).
- KOPF (David). *British Orientalism and the Bengal Renaissance*. The Dynamics of Indian Modernization 1773-1835. Str. 324 z Bibliografią i Indekssem. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1969, cena 81 sh. Nadesłane przez IBEG Ltd., 2-4 Brook Street, London W1Y 1AA).
- HOLT (P. M.). *Egypt and the Fertile Crescent 1516-1922*. A Political History. Str. 337. Bibliografia i Indeks. (Wyd. Cornell Univ. Press, Ithaca, N.Y., USA. Cena 24 sh. Nadesłane przez IBEG Ltd., 2-4 Brook Street, London W1Y 1AA).
- TUWIM (Julian). *The Dancing Sokrates and Other Poems*. Selected and Translated by Adam Gillon. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Twayne Publishers, Inc., New York, 1968, cena dol. 4,00).
- FISCHER-GALATI (Stephen). *The Socialist Republic of Rumania*. Str. 114. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md., Sept. 1969, cena 24 sh., nadesłane przez IBEG Ltd., Londyn).
- Righteous Among Nations*. How Poles helped the Jews. 1939-1945. Edited by Władysław BARTOSZEWSKI & Zofia LEWIN. Str. 834 z dokumentami i Indeksami. (Wyd. Earlsclourt Publications Ltd., Londyn, 1969, cena 84 sh.).
- Slavs in Canada*. Vol. 2. Proceedings of the Second National Conference on Canadian Slavs. Str. 288. (Wyd. Inter-University Committee on Canadian Slavs. Książka do nabycia w Université d'Ottawa, Faculté des Arts, Ottawa 2).
- WANDYCZ (Damian S.). *Register of Polish American Scholars, Scientists, Writers & Artists*. Str. 80. (Wyd. Polish Institute of Arts & Sciences in America, Inc.).
- BHANI SEN GUPTA. *Moscow, Peking and the Indian Political Scene after Nehru*. Str. 534-562. (Odbitka z „Orbis”, Summer, 1968. Research Institute on Communist Affairs, Columbia University).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Witkiewicz's Antroponymy*. Str. 193-197. (Odbitka z „Comparative Drama, Autumn, 1969).
- Saving Jews in War-Torn Poland 1939-1944*. Str. 56. (Wyd. Andrzej Chciuk, Melbourne, 1969).
- ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Vetoomus* (Apelacja). Str. 135. (Wyd. Kirjayhtyma, Helsinki, 1969).

STRUK (Jarosława). *Teje, szczo rozjednuje*. Str. 258. (Wyd. J. Serediak, Buenos-Aires, 1969).

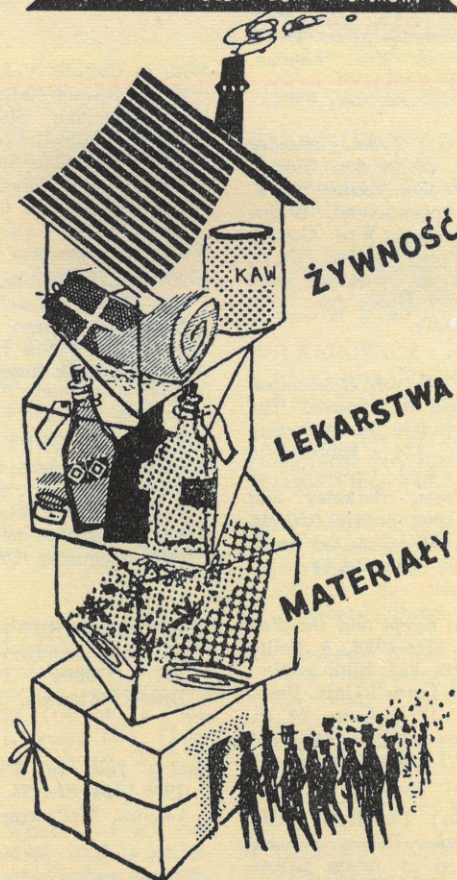
CUKANOWA (Maria). *Na hrani dwóch switiw*. (Wybir z tworiw). Str. 259. (Wyd. J. Serediak, Buenos-Aires, 1968).

BRUGGER (Emil). *Pereżywannia Swajcarcia u Sowietському Sojuzi*. Str. 48. (Wyd. J. Serediak, Buenos-Aires, 1969).

DOWHALUK (Charyton). *Kładka nad potokom*. Opowidannia. Str. 211. (Wyd. J. Serediak, Buenos-Aires, 1969).

Słowo i Zbroja. Antołohija ukr. poeziji poswiaczenoji UPA i rewolucyjno-wyzwolni j borot'bi. 1942-1967. Pod redakcją Leonida Poltawy. Str. 415. (Wyd. Two Naukowe im. Szewczenki, USA-Canada-Europa, 1968).

NAJWIEKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY



TAZAB

22 ROLAND GARDENS LONDON SW7

16 Stuyvesant Str. New York, N.Y. 10003

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-9-69

Zmarł w wieku 67 lat ks. Wojciech Zink, wikariusz gen. diecezji olsztyńskiej. ■ Zakończono elektryfikację magistrali węglowej Śląsk-Gdynia. ■ Redakcje czasopism *Kulisy* i *Głos Szczeciński* wystąpiły z inicjatywą zorganizowania wyprawy naukowo-żeglarskiej „Śladem odkrywców Ameryki”. Pomoc spontanicznie zadeklarowało „wiele instytucji i przedsiębiorstw”. Sądzymy, że aktualniejsza byłaby pionierska wyprawa „Śladami Polaków w ZSSR”. ■ W PRL podniesiono ceny napojów alkoholowych średnio o 15 %. Powodem jest tegoroczny nieurodzaj ziemniaków i zboża. W latach 1964-68 spożycie alkoholu w przeliczeniu na 100 % *spirytusu* wzrosło na głowę ludności z 2,4 litra do 3,6; *piwa* z 23,9 do 28,9. Tempo spożycia alkoholu wzrasta przeciętnie o 10 % rocznie. Sprzedaż spirytusu i wódek wzrosła w ciągu 6 lat o 42 %. Obecne spożycie alkoholu przekracza okres pańszczyzniany z końca XVIII i początku XIX w., który dotąd uchodził za najwyższy w historii Polski. Jest to dowód przewagi systemu socjalistycznego nad okresem feudalizmu i wczesnego kapitalizmu! ■ W Warszawie zakończyło się 32 Nadzwyczajne posiedzenie Stałej Komisji Przemysłu Węglowego RWPG. Komisja „opracowała i zatwierdziła program przedsięwzięć dla pogłębienia współpracy nad dalszym rozwojem przemysłu węglowego w okresie najbliższym i w perspektywie”. Zdanie o „atmosferze wzajemnego zrozumienia i przyjaźni” nasuwa niepokojące podejrzenia co do opłacalności polskiej gospodarki węglowej. ■ W Małeńcu przekształcono w muzeum dawną fabrykę łopat i szpadli. Okoliczni chłopci wystąpili jednak z petycją, aby zgromadzone w muzeum urządzenia wytwórcze uruchamiać po cichu nocą, kiedy turyści już odejdą. O łopaty trudno, a takich dobrych, jakie wytwarzano kiedyś w Małeńcu w ogóle nie można dostać. ■ Stołeczne Przedsiębiorstwo Usług Motorzacyjnych kupiło od prywatnego wytwórcy 2 tys. krzyżaków do aut za sumę 800 tys. złotych. Wkrótce potem zaopatrzeniowiec, który transakcji dokonał poszedł siedzieć za łapówkarstwo. Z tej okazji obliczono, że przedsiębiorstwo zaopatrzone jest w krzyżaki na 150 lat z górą. Krzyżaki przeznaczone są do aut marki „Warszawa”. Otóż nie jest całkowicie pewne, czy w wieku XXII będziemy jeszcze wytwarzać „Warszawy”, ale z drugiej strony nie można tego wykluczyć.

18-9-69

30-ta rocznica śmierci Stanisława Ignacego Witkiewicza. Od szeregu lat można obserwować renesans jego twórczości zarówno w kraju jak i za granicą. Przekłady jego prac ukazały się w Anglii, USA, Francji, NRF, Czechosłowacji, Jugosławii i Austrii. ■ Minister handlu wewnętrznego wydał placówkom handlowym zakaz zakupu i sprzedaży kuchni gazowych produkowanych przez krakowską fabrykę okuć budowlanych oraz elektrycznych zapalniczek do gazu, produkowanych przez spółdzielnię pracy „Elektrogrzejnik” w Białej Podlaskiej i spółdzielnię wytwórczości różnej w Bydgoszczy. Wymienione wyroby wycofuje się ze sprzedaży ze względu na nieodpowiednią ich jakość oraz zagrożenie bezpieczeństwa użytkowników. Zapasy tych artykułów znajdujące się w sklepach i hurtowniach powinny być zwrócone producentom. Niedawno był ogłoszony zakaz zakupu ogrzewaczy pokojowych typu S-26 z fabryki sprzętu elektrotechnicznego „Selfa” w Szczecinie.

19-9-69

Rozpoczął się w Warszawie XIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współ-

czesnej „Warszawska jesień”. Zapowiedziano 18 światowych prapremier utworów kompozytorów polskich i zagranicznych. ■ Rozpoczął się w Warszawie IV Kongres ZBOWiD'u. ■ W ramach soborowej odnowy życia zakonnego w Seminarium Zagranicznym w Poznaniu odbyły się — poprzedzone trzdnioowymi rekolekcjami — wykłady dla przełożonych domów zakonnych i placówek duszpasterskich obsługiwanych przez Księży Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii zagranicznej. Pod rozprawę władz kościelnych wysuwamy projekt, by uzupełniające wykłady i seminaria dla misjonarzy zorganizować również na Zachodzie. ■ Marszałek Tito i szef rumuński Ceausescu wspólnie dokonali otwarcia kompleksu hydroenergetycznego w Djerdapia u Żelaznych Wrót na Dunaju (na granicy obu państw). Przy okazji odbyły się rozmowy obu przywódców, które przebiegały w bardzo serdecznej atmosferze.

20-9-69

Zmarł prof. dr Władysław Bujak, nestor pediatrii polskiej, b. kierownik Kliniki Pediatricznej Uniwersytetu Stefana Batorego i uniwersytetu Jagiellońskiego.

22-9-69

IV krajowy Zjazd ZBOWiD'u wybrał nowe władze. Prezesem Rady Naczelnej został ponownie J. Cyrankiewicz, prezesem Zarządu Głównego Mieczysław Moczar. Powszechne zdziwienie wywołało mianowanie wiceprezesem Jerzego Albrechta, który w ramach „akcji antysyjonistycznej” był nie tak dawno usunięty z rządu. ■ Zostały otwarte w Poznaniu XXIX Targi Krajowe „Jesień 69”. ■ X Festiwal Chopinowski w Mariańskich Łaźniach miał charakter wyłącznie krajowy gdyż nie zaproszono nikogo z artystów zagranicznych. ■ Pod auspicjami UNESCO w szeregu krajów zorganizowano — w 200-tą rocznicę urodzin — obchody ku czci Iwana Kotłarewskiego, twórcy ukraińskiej literatury narodowej.

25-9-69

W Pradze odbyło się plenum KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Wyniki plenum stanowią ukoronowanie dążeń reakcyjnego kierownictwa partyjnego do zalegalizowania okupacji sowieckiej i usunięcia czołowych postępowych polityków z władz państwowych i partyjnych. Uchwały plenum KC między innymi w pełni anulują decyzje KC z 19. VII. 68 odmowy wzięcia udziału w naradzie warszawskiej, anulują jako „nieklasowe, niemarksistowskie i w pełni niewłaściwe” oświadczenie prezydium KC z 21. VIII. 68, potępiające agresję oraz uznają za nieważny XIV Zjazd KPCz (22 sierpień 68), jego dokumenty i wyniki. Również anulowane zostały mandaty legalne i w demokratyczny sposób wybranych delegatów na XIV Zjazd. Obecnie postanowiono przeprowadzić nowe wybory delegatów na zjazd. Na wrześnieowym plenum Husak tak usprawiedliwiał agresję: „W tej sytuacji wkroczenie wojsk sojuszników było uzasadnione interesami obrony socjalizmu w Czechosłowacji przed siłami antysocjalistycznymi, prawicowymi i kontrrewolucyjnymi, i umotywowane wzajemnymi interesami i troską o bezpieczeństwo obozu socjalistycznego oraz klasowymi interesami ruchu robotniczego i komunistycznego. W żadnym przypadku nie był to akt agresji wobec czechosłowackiego państwa i jego ludu. Nie chodziło ani o okupację terytorium Czechosłowacji, ani o zlikwidowanie swobód i socjalistycznego porządku w naszym kraju”. Symptomatyczne dla polityki, zrywającej z ideałami demokratycznego socjalizmu, są postanowienia plenum KC w sprawach personalnych. Z KC usunięto sześciu członków m.in. Mlynarza, Hajka i Smrkovskiego; z prezydium KC usunięto Aleksandra Dubczeka a z partii wykluczo-

no Prchlika, Slavika i Czernego. Na „własną prośbę” plenum zwolniło z funkcji członków KC 19 osób.

27-9-69

Prezydent Svoboda mianował nowy rząd federalny. Stanowisko premiera objął ponownie O. Czernik. W porównaniu z poprzednim rząd ten składa się z polityków jeszcze bardziej konserwatywnych i reakcyjnych.

28-9-69

Zmarł w Warszawie Jan Hołyński, poseł na sejm R.P. w latach 1928-1935, działacz gospodarczy. ■ Ministerstwo Komunikacji odwołało z dniem 29 września br. pociąg ekspresowy Warszawa-Praha z powodu znikomej frekwencji. ■ Zarząd Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Architektów Polskich ogłosił na zlecenie pierwszego prezesa Sądu Najwyższego otwarty powszechny konkurs SARP na projekt gmachu Sądu Najwyższego. Gmach ten zlokalizowano w śródmieściu Warszawy na Górnym Ujazdowie. Będzie on zajmował tereny dawnego pawilonowego szpitala ujazdowskiego, zniszczonego przez hitlerowców. Powierzchnia użytkowa nowej siedziby Sądu Najwyższego wyniesie ok. 10 tys. metrów kwadr. Dla autorów najlepszych prac konkursowych przeznaczono cztery nagrody (I nagroda — 120 tys. zł) oraz szereg wyróżnień. Informacji na temat programu i warunków konkursu udzielają sekretariaty wszystkich Oddziałów SARP.

29-9-69

Z okazji 20-tej rocznicy Chińskiej Republiki Ludowej nad jeziorem Łob-nor w prowincji Sinkiang przeprowadzono jedenasty próbny wybuch nuklearny.

1-10-69

Mimo rozpoczęcia roku akademickiego nie wydano jeszcze 80 podręczników i skryptów przewidzianych w tegorocznym planie PWN. Jest nadzieja, że znaczna część tych podręczników ukaże się w końcu grudnia, reszta dopiero w roku przyszłym. Najbardziej poszkodowane są nauki humanistyczne. ■ Planuje się że w okresie 1971-75 polskie stocznie zbudują 300 statków o łącznej nośności 3.400 tys. LWT. 235 jednostek ma być przeznaczonych na eksport. Polskie budownictwo okrętowe ma nadal specjalizować się w produkcji statków rybackich. ■ Na terytorium Polski odbywają się wspólne manewry wojsk Układu Warszawskiego. Biorą w nich udział jednostki Związku Sowieckiego, Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich. ■ W Polsce wystąpił ostry brak masła. Minister handlu wewnętrznego, E. Sznajder, w wywiadzie zdementował pogłoski o podniesieniu cen na podstawowe artykuły spożywcze i o rosnącym eksporcie tych artykułów. Dla poprawienia sytuacji w rb. i przyszłym zdecydowano całkowicie zaniechać lub ograniczyć eksport oraz powiększyć import artykułów pochodzenia rolnego. Minister zaapelował do ludności, by w większym stopniu niż dotychczas używała smalcu i margaryny. ■ *Życie Gospodarcze* z 28 września zaznacza na marginesie, że zarówno smalec jest zły ale i margaryna „nie zawsze bywa zadowalająca w związku z dużym udziałem w niej oleju rzepakowego”. ■ Milicja warszawska zobowiązała się przepracować poza normalną służbą ponad 75 tys. godzin. Czyżby przewidywano konieczność nowej pacyfikacji studentów? ■ *Miesięcznik Literacki* też ustanowił swoje nagrody. Przyznano ostatnio nagrody: Andrzejowi Wasilewskiemu za książkę „Cywilizacja a literatura”, Hamiltonowi (prawdziwe nazwisko Słowewski) za „Małą szubienicę” i Waleremu Namiotkiewiczowi za „Myśl polityczna marksizmu a rewizjonizm”. Rzeczywiście kandydaci dobrze wybrani. ■ Tygodnik wrocławski *Wiadomości* rozpoczął publikację pamiętnika gen. Wł. Sikorskiego z lat przedwojennych. Zostały one znalezione w bibliotece Ossolineum. Według informacji z kraju

pamiętniki były w posiadaniu wdowy po gen. Sikorskim, przebywającej w Anglii, która dała je St. Lorentzowi dyr. Muzeum Narodowego w Warszawie do depozytu. Jeśli te informacje odpowiadają prawdzie to nasuwa się pytanie dlaczego nie zostały one zdeponowane w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie i dlaczego mają być opublikowane w kraju a nie na emigracji.

■ Słowacki dziennik *Prace* podaje, że z rozporządzenia o amnestii dla osób które nielegalnie opuściły Czechosłowację w ub. roku skorzystało... 115 osób. ■ Telewizja czechosłowacka wyświetliła sowiecki film dokumentalny pt. „Czechosłowacja — rok doświadczeń”.

W recenzji opublikowanej na łamach *Rudego Prava* J. Kliment pisze: „Był to spektakl, który ostatecznie pomógł wielu ludziom właściwie się zorientować. Możliwe, że niektórzy nie we wszystkim przyznają słuszność temu filmowi. Nie ma to znaczenia. Ważne, że wreszcie prawda pojawiła się na ekranie. Nie ma na to rady, w rezultacie złość nie oprze się faktom. Nasza telewizja zrobiła dobrą robotę, włączając do programu ten film dokumentalny”.

■ Podjęto przemysłową eksploatację rudy siarkowej w kopalni „Machów”. ■ W Toruniu zmarł wybitny artysta-plastyk, Jerzy Hoppen. Był profesorem Wydz. Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a następnie wykładał na Uniwersytecie w Toruniu. ■ W kraju obchodzą uroczystości 25-letnią rocznicę powstania UB i Milicji Obywatelskiej. *Życie Warszawy* podaje, że z tej okazji „odbywają się liczne spotkania przedstawicieli tych służb ze społeczeństwem. Odbyło się ich dotąd ponad 10 tysięcy”. Minister MSW K. Świątała podał, że w okresie 1944-1948 zginęło w walce z podziemiem ok. 12 tys. funkcjonariuszy bezpieczeństwa przy likwidowaniu ok. 3,5 tys. grup oporu.

■ Ukazał się *Rocznik Statystyczny 1969*. ■ W trzydziestą rocznicę ostatniej bitwy kampanii wrześniowej sprowadzono do kraju i złożono na cmentarzu wojennym pod Kockiem, prochy dowódcy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, gen. Franciszka Kleeberga. ■ Prezydium Zgromadzenia Federalnego poparło wniosek partyjny o wszczęcie postępowania karnego przeciwko posłowi gen. Václavovi Prchlikovi. Klub posłów komunistycznych przyjmując za punkt wyjścia uchwały plenum KC KPCz postanowił odwołać z kierowniczych funkcji posłów Aleksandra Dubczeka, Josefa Smrkovskiego i Marię Mikovą.

2-10-69

Do Moskwy przybyła delegacja PRL z Gomułą i Cyrankiewiczem na czele. Jest to czwarta wizyta polska w Moskwie w tym roku. Prasa światowa przypuszcza, że rozmowy dotyczą w pierwszym rzędzie ciężkiej sytuacji gospodarczej obu krajów w dziedzinie żywienia oraz problemów związanych z Niemcami i Czechosłowacją. ■ Sekretarz gen. ONZ otrzymał listy podpisane przez 44 obywateli sowieckich, domagających się by Narody Zjednoczone zajęły się sprawą nieposzanowania praw człowieka w Związku Sowieckim i interweniowały u władz Związku. Memoriał był jednocześnie przesłany do władz a kopie rozesłano do korespondentów zagranicznych w Moskwie. Sekretariat O.N.Z. nie przyjął petycji gdyż nie była przesłana... pocztą ■ Tygodnik *Polityka* donosi, że niezależnie od braku papieru i niskich nakładów braki skryptów i podręczników akademickich są spowodowane brakiem autorów. ■ W Moskwie aresztowano studentów skandynawskich: Norwega Haralda Britsola i Szwedkę Elisabeth Loe, którzy w domu towarowym w Moskwie rozdawali ulotki w języku rosyjskim, domagając się zwolnienia gen. P. Grigorenko, aresztowanego w maju br. za poparcie rewindykacji Tatarów krymskich. ■ W Pekinie odbyły się uroczystości z okazji 20-lecia Chińskiej Republiki Ludowej. Wziął w nich udział Mao Tse-tung, którego doskonały wygląd rozwiął kursujące od dłuższego czasu pogłoski o złym stanie zdrowia chińskiego przywódcy. ■ Polskie lat sześćdziesiątych zamieszkuje ok. 453 tys. obywateli narodowości nie polskiej. W rozbiciu na poszcze-

gólne środowiska mniejszościowe liczebność ta wygląda następująco: Ukraińcy — 180 tys., Białorusini — 163 tys., Żydzi — 31 tys., Słowacy — 21 tys., Rosjanie — 19 tys., Litwini — 10 tys., pozostali: Niemcy, Cyganie, Grecy, Macedończycy, Czeši stanowią około 27 tys. (dane powyższe podaje się według obliczeń A. Kwileckiego — *Kultura i społeczeństwo*. T. VII, nr 4 „Mniejszości narodowe w Polsce Ludowej”). Dane te posiadają charakter szacunkowy, bowiem nie prowadzi się w PRL systematycznych spisów, które uwzględniałyby statystyki mieszkańców Polski według ich narodowości. ■ Orkiestra symfoniczna R.P. w Katowicach wyjechała do Wielkiej Brytanii na gościnne występy. Orkiestra będzie występować pod batutą Andrzeja Markowskiego i da 8 koncertów. ■ Po plenum KC KPCz odbyło się plenum KC Komunistycznej Partii Słowacji, które oczywiście w pełni poparło uchwały plenum KC partii ogólnokrajowej. Plenum KC KPS anulowało wszystkie uchwały plenum KC KPS jakie odbyły się 25. VIII. 68. Plenum KC KPS przeprowadziło szereg zmian personalnych.

8-10-69

Rząd federalny CSRS uchwalił specjalne zarządzenia praktycznie uniemożliwiające prywatne podróże obywateli czechosłowackich na Zachód. Anulowano około 100 tys. wydanych w tym roku wiz wyjazdowych. Zarządzenie to weszło w życie o północy z 8 na 9. X. lecz nie zostało podane do wiadomości publicznej. Z Pragi w stronę granicy odeszło jeszcze kilka pociągów wypełnionych czechosłowackimi turystami. Z wyjątkiem kilku osób, które podróżowały służbowo, resztą zatrzymano na granicy i zmuszono do powrotu do Pragi.

10-10-69

Na Antenie (miesięcznik wyd. przez Sekcję Polską Radia „Wolna Europa”) donosi, że Polski Pen Club w Warszawie odrzucił podanie Wł. Machajka red. *Życia Literackiego* w Krakowie, o przyjęcie go w poczet członków. Na tym samym posiedzeniu odrzucono wniosek M. Rusinka o skreślenie z listy członków Adama Tarna, Romana Karsta i E. Żytomirskiego. Rusinek motywował swój wniosek tym, że to są emigranci i przestali być obywatelami PRL. ■ Niemiecka Republika Demokratyczna znajduje się na 10 miejscu listy przemysłowych państw świata. ■ Z dniem 1 stycznia 1970 wejdzie w życie nowa organizacja systemu bankowego. Nastąpi fuzja N.B.P. z Bankiem Inwestycyjnym a PKO z instytucji gromadzącej oszczędności przekształci się w normalny bank, udzielający kredytów na potrzeby ludności. Ulegnie likwidacji Obsługa Ratalnej Sprzedaży (ORS). ■ W katedrze katowickiej otwarto wystawę misjologiczną, urządzoną przez księży werbistów z Pieniężna. Plansze ze zdjęciami, wykresami i tekstami objaśniającymi informują o historii i aktualnym stanie misji katolickich w świecie oraz o wkładzie pracy misjonarzy werbistów. Wystawa ma charakter przenośny; poprzednio była eksponowana w Gdańsku. Dlaczego tej wystawy nie pokazuje się na Zachodzie? ■ Zmarła w Warszawie, w wieku lat 90, Irena Pannenkowa, znana przedwojenna literatka i publicystka.

12-10-69

Zmarł w Warszawie wybitny grafik prof. Zygmunt Kamiński.

13-10-69

Zmarł w Krakowie w wieku lat 62 Jan Kurczab, pisarz i publicysta.

15-10-69

Zmarł w Warszawie: Stanisław Maria Saliński, pisarz-marynista oraz popularny autor powieści sensacyjno-obyczajowych, wydawanych pod pseudonimem

Jerzy Seweryn. Żył lat 67, oraz Leon Pasternak, poeta satyryk, politruk. Żył lat 59.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-9-69

W Nottingham, w Wielkiej Brytanii, odbyło się zebranie Rady Światowej YMCA z udziałem 62 delegacji narodowych, m.in. i delegacji polskiej YMCA w Europie Zachodniej.

17-9-69

Rozpoczął się w Paryżu, w dzielnicowym kinie „Bonaparte”, „Tydzień Filmu Polskiego”. Wyświetlano: „Wszystko na sprzedaż”, „Żywot Mateusza”, „Pana Wołodjowskiego”, „Westerplatte”, „Jowite” i „Ruchome piaski”. Prasa francuska zamieszcza recenzje podkreślając upadek i prowincjonalność polskiego filmu (*une semaine des pauvres*).

21-9-69

Odbyło się w Paryżu (6 rue de Palestine, Paris 19) poświęcenie nowego Domu Ukraińskiego. Poświęcenia dokonał Metropolita Autokefalicznej Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Mestysław Stepan Skrypnik (w okresie międzywojennym poseł na sejm polski z Wołynia). W domu mieści się cerkiew i Biblioteka im. Sz. Petlury.

22-9-69

Zmarł w Hiszpanii Ludwik Krajewski (Leon Kownacki) wieloletni kierownik audycji polskich radia w Madrycie. ■ Zmarł w Waszyngtonie płk. Józef Matecki, dea brygady w 2-gim Korpusie. Ostatnio był doradcą w Departamencie Obrony USA. Pracował nad dokumentami dot. okresu okupacji i Powstania Warszawskiego. ■ Dr Stanisław Mrozowski, profesor fizyki oraz dyrektor Instytutu Węglowego na Uniwersytecie w Buffalo został pierwszym laureatem George Skakel Memorial Award of the American Carbon Committee. Polski uczony wyróżniony został za wkład na studia nad własnościami elektronowymi i mechanicznymi węgla.

27-9-69

W okresie od września 1968 do sierpnia br. do Izraela przybyło 37 tys. imigrantów. ■ W Atenach odbyły się IX lekkoatletyczne mistrzostwa Europy. Brało w nich udział 1000 zawodników z 30 krajów. Polscy zawodnicy uzyskali 2 medale złote i 5 brązowych. ■ W Strasburgu otwarto trzeci, po Lille i Lyonie konsulat PRL we Francji. ■ W Lens odbył się 20-ty Walny Zjazd Polskiej Federacji CFTS Górników, zrzeszającej sekcje polskie z Pas-de-Calais i Nord. Prezesem został wybrany na dalszą dwuletnią kadencję Antoni Łukaszczyk. Zjazd zajmował się głównie sprawami zawodowymi.

28-9-69

W Rzymie odbyło się poświęcenie nowego kościoła greko-katolickiego. ■ W Londynie, w Domu Kombatanta, obradował 22-gi Walny Zjazd SPK z udziałem 101 delegatów. Ustępujący zarząd otrzymał absolutorium; wybrano nowy w tym samym składzie co poprzednio. ■ W Londynie, w Albert Hall'u odbyła się rocznicowa akademii wraz z widowiskiem „Na polu chwały”. Uczestniczyło ok. 6.000 osób.

30-9-69

W związku z 30-leciem wybuchu wojny BBC-1 poświęciła 10-minutowy program uchodźtwa polskiemu w Londynie.

1-10-69

Ks. Superior P. Jasiński, przełożony Zakładu Naukowego w Fawley Court, przeniósł się do Rzymu zostawszy członkiem Rady Generalnej OO. Marianów. Miejsce jego obejmuje ks. dr Aleksander Perz, ostatnio sekretarz gen. Stowarzyszenia w Rzymie. ■ Ukazał się nr 83 kwartalnika *Polish Affairs* wydawanego przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego. ■ W Pekinie podpisano roczną umowę chińsko-kanadyjską w sprawie sprzedaży Chinom 2,3 mil. ton zboża kanadyjskiego. Jest to największy kontrakt w historii Kanady na tego rodzaju dostawę — w tak krótkim czasie. ■ W Londynie odbył się doroczny Zjazd Lotników Polskich.

2-10-69

Wychodzący w Lens (Pas-de-Calais) dziennik *Narodowiec* obchodził 60-lecie swego istnienia.

4-10-69

W Ostendzie rozpoczął się VII Zjazd PPS na obczyźnie. ■ Zmarł w Bernie w wieku 74 lat Jerzy Stempowski (Paweł Hostowiec). ■ Synod biskupów ukraińskich greko-katolickich który rozpoczął się w Rzymie, wystąpił z wnioskiem do Watykanu o stworzenie Ukraińskiego greko-katolickiego patriarchatu.

5-10-69

W New Yorku odbyła się 33-cia doroczna parada Pułaskiego. Była ona połączona z rocznicą 30-lecia wojny i 25-leciem Powstania Warszawskiego, i bitwy pod Monte-Cassino. Trwała 6,5 godzin i była klasycznym przykładem złej i bezcelowej organizacji. ■ W Nowym Yorku ukazała się nakładem Harper and Row nowa książka Swietlany Allilujewej pt. „Only One Year”. W książce (str. 390) znajduje się charakterystyczny polonik: „*Ta scena w lesie naprawdę była dramatyczna. Iwan Susanin, stary rosyjski chłop wprowadził polską armię w gesty, zimowy las niedaleko Smoleńska, do samego jego wnętrza, skąd już nie było wyjścia. Chłop został zabity, ale polskie wojsko także pozostało tam na zawsze, zamrożone na śmierć. Po tej scenie mój ojciec zwykle wychodził, nigdy nie zostając na następnym akcie ze wspaniałym baletem — mazurem i polonezem. Cóż dostrzegał on w tym unicestwieniu Polaków w lesie? Może przypominało mu to 10.000 polskich oficerów, jeńców wojennych, zastrzelonych potajemnie przez Sowieców w Katyńskim Lesie, niedaleko Smoleńska w 1940 roku?*” ■ M. Spychalski, prezes Rady Państwa PRL przybył z wizytą do Algieru. Jest to jeden z etapów penetracji bloku wschodniego w Afryce północnej. Polska ma przysłać do Algieru 50 techników mających uruchomić eksploatację dwu kopalni ołowiu i cynku. Polska będzie zakupywać wino, rudę żelazną, fosfaty etc. Obecnie w Algierze jest ok. 60 polskich specjalistów ze wszystkich dziedzin. Cyfra ta ma być podwojona w 1970 r. Należy przypomnieć, że Związek Sowiecki posiada w Algierze 7 baz lotniczych (na których są TU16 o zasięgu działania 5.000 km) i praktycznie kontroluje całe lotnictwo. Ponadto Mers el Kebir stało się sowiecką bazą morską, gdzie znajduje się misja wojskowa w składzie 43 oficerów. ■ Artur Rubinstein w wywiadzie udzielonym tygodnikowi paryskiemu *Express* oświadczył m.in.: „*Urodziłem się w trudnej Polsce, w której wiele się zmieniło. Za czasów carskich Polacy i Żydzi byli po prostu niewolnikami. Potem Rosjanie ngębili Polaków. Obecnie Polaków łączy z Sowiecami jedynie strach przed Niemcami. Nie mogę być Polakiem.*”

Ale w głębi mego serca tkwi miłość dla Polski, dla jej sztuki, dla zapachu jej ziemi, dla polskich krów. Mam łzy w oczach gdy widzę polskie pola..." „... Proponowano mi obywatelstwo francuskie ale nie chciałem być honorowym Francuzem. Byłbym zawsze tylko cudzoziemcem, którego się akceptuje. Podczas gdy każdy z nas ma prawo do Ameryki: to nie jest kraj, to jest konglomerat..." ■ Na kongresie w Wenecji założono nową włoską promaoistyczną partię komunistyczną, pod nazwą „Włoska Marksistowsko-leninowsko-maoistowska partia". Jest to ósma z kolei partia promaoistowska.

11-10-69

W Arundel (Kanada) zmarł gen. Kazimierz Sosnkowski w wieku lat 84. ■ W Rzymie rozpoczął się nadzwyczajny Synod biskupów. ■ Tegoroczne Międzynarodowe Targi Książki w Frankfurcie były również pod znakiem skandalu. Wybitny wydawca niemiecki, Rowolth, został oskarżony o produkowanie książek propagandowych antykomunistycznych, które potem przy pomocy władz potajemnie wysyłano do Niemiec Wschodnich. Książki ukazywały się bez nazwy wydawcy. Rowolth był dotąd uważany za czołowego wydawcę lewicy. Obecnie jest gwałtownie atakowany przez skrajną lewicę za „zdradę".

13-10-69

Lotnictwo zachodnioniemieckie straciło w wypadku lotniczym setny aparat Starfighter F-104. Załoga ocalała. Jak dotąd 54 pilotów zginęło na tych aparatach. ■ Prokuratura w Monachium postanowiła wznowić śledztwo w sprawie Mgr. Mattiasa Defreggera, biskupa sufragana stolicy Bawarii. Był on oskarżony o to, że w czasie wojny, jako kpt. Wehrmachtu, był odpowiedzialny za masakrę zakładników włoskich w Abruzzach. ■ Wybitny ekonomista, prof. Ota Sik, został wykluczony z czeskiej partii komunistycznej. W maju br. był usunięty z KC partii czeskiej. Prof. Sik znajduje się na emigracji w Szwajcarii. ■ Trzy statki kosmiczne sowieckie „Sojuz 6, 7, 8 odbywają loty grupowe. Agencja Tass podaje, że lot ten jest ku czci Lenina, którego stulecie urodzin zaczyna być obchodzone w Związku Sowieckim. ■ Ukazał się nr 54 *Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej*.

15-10-69

27 członków KC komunistycznej partii austriackiej ogłosiło deklarację, protestującą przeciwko usunięciu z partii znanego filozofa-marksisty, Ernsta Fischera. ■ Tegoroczna nagroda pokojowa Nobla przyznana została Międzynarodowemu Biuru Pracy w Genewie. ■ Nagroda Nobla z dziedziny medycyny została przyznana dr. Maxowi Delbrück'owi z Instytutu Technologicznego w Kalifornii, Alfredowi Hershey'owi z Instytutu Carneggie w Waszyngtonie oraz Salvadorowi Lurii z Instytutu Technologicznego w Massachusetts — za odkrycia dotyczące mechanizmu rozmnażania i struktury wirusa. ■ W Toronto odbył się pierwszy ogólnokanadyjski zjazd młodzieży polonijnej. ■ W Paryżu otwarto wystawę książki p.n. „Literatura polska za granicą". W związku z tym prasa krajowa zapowiada ukazanie się po francusku — w mało znany wydawnictwie paryskim „Pavillon" — książki Zenona Kliszkę pt. „Powstanie Warszawskie". ■ Miesięcznik *Preuves* organ Association de la Culture (dawny Congrès pour la Liberté de la Culture), wychodzący w Paryżu od r. 1951 został przejęty przez grupę *Réalités* i począwszy od listopada r.b. będzie ukazywał się jako kwartalnik. ■ Zjazd międzynarodowej organizacji policyjnej „Interpol", który miał miejsce w Meksyku, większością głosów odrzucił wniosek zajęcia się „piractwem powietrznym", uważając, że jest to „problem delikatny". Głównym przeciwnikiem traktowania piractwa powietrznego jako przestępstwa kryminalnego był, z wiadomych powodów... Algier. PRL poparła energicznie stanowisko Algier-

ru. (Jak wiemy, w ostatnich dniach samolot polski linii LOT został zmuszony przez dwóch pasażerów — obywateli Niemiec Wschodnich — do lądowania w Zachodnim Berlinie. Obaj pasażerowie otrzymali prawo azylu w zonie francuskiej Berlina. Obecnie PRL domaga się wydania „przestępców”. Swoista logika!). ■ XII Sejm Unii Polek w USA — która to organizacja będzie obchodzić w przyszłym roku 50-lecie swego istnienia — zaapelowała do Polonii Amerykańskiej o poparcie Kongresu Polonii Amerykańskiej. ■ Zmarł w Nowym Jorku Bohdan Gajewicz, działacz społeczny, związany ze Stronnictwem Narodowym.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Londyński *Financial Times* z dn. 21 października 1969, Nr 24.981 podaje:

„Peter Kroger skazany w 1961 r. na 20 lat więzienia jako członek siatki szpiegowskiej *Portland*, został przeniesiony z więzienia w Parkhurst (Isle of Wight) do więzienia w Brixton. On i jego żona Helena — również skazana za szpiegostwo na 20 lat i odsiadująca karę w więzieniu w Holloway — oczekują zwolnienia i odesłania ich do Polski — co ma nastąpić w bieżącym tygodniu. Zwolnienie Krogerów jest wynikiem porozumienia w związku z wypuszczeniem w lipcu rb. Geralda Brooke’a, uwięzionego przez Rosjan pod zarzutem prowadzenia antysowieckiej propagandy. Krogerowie spotkali się w więzieniu Fort Open Prison, Sussex, aby przedyskutować swoje plany po wypuszczeniu na wolność. Zostało uzgodnione z Rosjanami, że pozwoli im się na wyjazd do Polski, gdzie mają licznych przyjaciół i szerokie kontakty. Przewiduje się, że zamieszkają w Lublinie, niedaleko sowieckiej granicy i że Peter Kroger będzie tam nauczycielem w szkole średniej. W czasie procesu Krogerów ujawniono, że ich dom w Ruislip, w którym prowadzili antykwarjat książkowy, był pełen instalacji szpiegowskich z krótkofalowymi radiostacjami włącznie”.

Winszujemy Moczarowi i współczujemy dzieciom w Lublinie.

Listy do Redakcji

Watertown, Mass., 5 października 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu notatki „Sprawy i Troski — Skandal” w numerze wrześniowym *Kultury*, pragnę wyjaśnić, co następuje.

Jestem w Bostonie kierowniczką polsko-amerykańskiego zespołu „Krakowiak Polish Dancers”, który na zaproszenie Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną brał także udział w Światowym Festiwalu Artystycznych Zespołów Polonijnych w Rzeszowie. Zespół nasz jednak nie występował w Belwederze ku czci marsz. Spychalskiego. Celem naszego wyjazdu było nie branie udziału w obchodach 25-lecia PRL, lecz poza pokazaniem społeczeństwu polskiemu naszego dorobku, rozszerzenie i udoskonalenie naszych umiejętności tanecznych oraz wzbogacenie naszego zasobu autentycznych kostiumów, by móc jak najlepiej reprezentować piękno polskiego folkloru w Ameryce. Drugim celem było zwiedzenie Polski: jej najważniejszych zabytków historycznych i kulturalnych oraz poznanie bogactwa jej krajobrazu. W 20-osobowej grupie, która pojechała, 16 osób była to Polonia amerykańska pierwszego, drugiego i trzeciego pokolenia oraz rodowici Amerykanie. Gdyby nie Festiwal, ludzie ci (a większość z nich to młodzież) nigdy by nie pojechali do Polski, jej nie poznali i się nią nie zachwycili. Jeśli chodzi o wywiady prasowe, to żadnych deklaracji politycznych ześmy nie składali; nasze wypowiedzi ograniczały się tylko do spraw taneczno-artystycznych, historii naszego zespołu i danych osobistych poszczególnych członków „Krakowiaka”.

Ufam, że Pan Redaktor zechce ten list wydrukować i łączyć wyrazy poważania.

Ada DZIEWAŃSKA



Londyn, 10 października 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W październikowym zeszycie *Kultury* p. Juliusz Mieroszewski poświęcił ustęp artykułu pt. „Refleksje emigracyjne” ankiетom, przeprowadzonym pod auspicjami Instytutu Badania Zagadnień Krajowych i Koła Studiów Spraw Międzynarodowych przy Instytucie Polskim w Londynie.

P. Mieroszewski twierdzi, że wypowiedzi znacznej części respondentów ankiety łączy z wydaną w Kraju reżymową książką W. Fillera wrogi stosunek do *Kultury*: uważa je za wytwór konformizmu, parafianizmu i... głupoty.

Ten wysoce ujemny sąd opiera się na błędnych założeniach, które mogłyby nasunąć mylne wnioski. Jako przewodniczący Instytucji, które podjęły myśl ankiety, pragniemy tedy podzielić się z Czytelnikami *Kultury* następującymi uwagami:

1. Wbrew twierdzeniu p. Mieroszewskiego ankieta nie dotyczyła wyłącznie jego książek, które dały jedynie bodziec do jej przeprowadzenia: usiłowała objąć całość zagadnień polskiej polityki niepodległościowej.

2. Ankiety nie wiąże z nikim wrogi stosunek do *Kultury*. Ankieta nie była wymierzona przeciw *Kulturze*: miała jedynie na celu szeroką dyskusję nad sprawami, które żywo obchodzą wielu Polaków na Emigracji.

3. W ankiecie, którą szeroko omówił na łamach *Wiadomości* p. Stanisław Zarzewski (Nr 24 z 15 czerwca 1969 r.) wzięło udział 1.713 osób. W dodatkowym omówieniu tegoż autora (*Wiadomości* z 5 października br.) podano ciekawą analizę jej wyników według grup wieku uczestników. W świetle tego zestawienia nie podobna twierdzić — jak to czyni Mieroszewski — że ankieta była wyrazem poglądów małej grupy starszych panów.

4. Ankieta objęła szeroki wachlarz różnorodnych poglądów. Jedynym jej podstawowym założeniem była niedwuznaczna postawa niepodległościowa. Były tam i wypowiedzi, przypominające zrewidowane później tezy „ewolucjonizmu”. Nie można więc mówić o konformizmie.

5. Z krzywdą dla cudzej ale i własnej inteligencji, p. Mieroszewski nie chce uznać, że ewolucję poglądów na „ewolucjonizm” zawdzięcza w pewnej mierze krytyce na łamach prasy niepodległościowej na Emigracji. Przypisuje — co mu wolno — wyłączną zasługę tej ewolucji rodakom z Kraju. Nam natomiast wolno mniemać, że pewne argumenty, wysuwane w środowisku emigracyjnym, nie pozostały bez wpływu na jego tak żywy umysł.

P. Mieroszewski gromi w swych artykułach polski parafianizm. Zapewne zgodzi się z nami, że najpospolitszym objawem parafianizmu jest wynoszenie się ponad ludzi z innych parafii i lekceważący stosunek do ich poglądów.

„Dzieje głupoty w Polsce i na Emigracji” nie są jeszcze, niestety, zamkniętą księgą. Na jej karty mogą kiedyś trafić jednostki, pozbawione samokrytycyzmu, którym megalomania przysłańca szersze pole widzenia.

Łączmy wyrazy prawdziwego szacunku,

Witold CZERWIŃSKI
Kazimierz TRĘBICKI



W związku z ogłoszoną w nrze 16-tym *Zeszytów Historycznych* listą emigracyjnych awansów wojskowych „Zamku”, otrzymujemy dziesiątki listów i zapytań czy ogłosimy również awanse biura gen. Wł. Andersa. Sprawa ta wywołała bardzo duże zainteresowanie na emigracji i w kraju. Zawiadamiamy, że, niestety, nie będziemy mogli tego zrobić gdyż nasza prośba do gen. St. Kopańskiego została załatwiona odmownie. Przytaczamy tekst odpowiedzi gen. St. Kopańskiego.

Redakcja

Northwood, Middlesex, 16 września 1969 r.

Szanowny Panie,

Odpowiadając na list Pana z dnia 11 lipca br., chciałbym na wstępie wyjaśnić przyczynę mojej spóźnionej odpowiedzi.

Moje osobiste warunki sprawyły, że lipiec i większość sierpnia spędziłem poza Anglią, w Kanadzie i we Włoszech.

Wydaje mi się, że analogii pomiędzy byłymi wojskowymi doby polistopadowej a obecnymi chyba nie będzie. Wszystkie rozkazy awansowe są deponowane w aktach Instytutu Sikorskiego.

Personel biura generała Andersa — a tylko z poczynaniami tego ośrodka jestem obeznany — jest zbyt szczupły, by sporządzać „wykazy awansów”. Sądzę, że to samo dotyczy personelu Instytutu.

Żałuję, że nie jestem w stanie uczynić zadość prośbie Pana.

Łączę wyrazy szacunku,

Stanisław KOPAŃSKI

Londyn, 21 września 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zupełny drobiazg, ale warto sprostować — może się kiedyś na coś przyda jakimś historykom.

W „Nocie biograficznej”, zamieszczonej w 9/264 numerze *Kultury* pod artykułem Z. Byrskiego pt. „Rola biurokracji w bloku sowieckim” jako nazwę pisma, które wychodziło przed Byrskiego *Głosami i Odgłosami*, podano: „Dwutygodnik Literacki”. Pismo nazywało się naprawdę: *Dwutygodnik Ilustrowany*. Wiem, bo wydawałem je — pod kontrolą Mariana Spychalskiego, ówczesnego „okręgowca” partyjnego w Poznaniu, w roku 1934, jako legalny organ Komunistycznej Partii Polski.

Artykuł Byrskiego jest świetny. Znałem go przed wojną — był ideowy.

Wyjaśnić trzeba że partia — choć nielegalna — wydawała, oprócz nielegalnych, również i legalne pisma, podszycające się pod „niezależne”, „demokratyczne”, „społeczne”, „literackie”. Przed „moim” *Dwutygodnikiem* takim legalnym organem był tygodnik *Ze Świata*, wydawany w Bydgoszczy, a jeszcze przedtem — *Miesięcznik Literacki*, redagowany przez nie byle jaki zespół — W. Broniewskiego, J. Hempla, A. Wata, S. Wygodzkiego, A. Wolicę i in.

Nie przypuszczam, by władze nie wiedziały, kto naprawdę jest prawdziwym wydawcą każdego takiego niewiniątka „społecznego”. Zezwalały jednak zawsze przez czas jakiś na druk, bo albo nie było podstaw do zakazu, albo były inne powody — czasem nawet chęć robienia zamieszania w szeregach socjalistów, albo zamiar dotarcia do zakonspirowanej komórki redakcyjnej. Mnie zezwolono na wydawanie *Dwutygodnika* przez cały rok, inwigilując przez cały czas skrupulatnie, ale nic nie wykryto. Teraz żałuję, że policja była taka niesprytna. Pisałem zresztą o tym przed wielu laty w *Kulturze*.

To sprostowanie warto podać do wiadomości m.in. i dlatego, że komuniści skrupulatnie przemilczają istnienie *Dwutygodnika* — ze względu na mnie — i chyba na Spychalskiego, żeby nie łączyć naszych nazwisk.

I jeszcze jedna sprawa w związku ze Spychalskim. W piętnastym *Zeszyście Historycznym*, w szkicu pt. „Władysław Gomułka, próba biografii”, autor, Peter Raina, pisze: „W grudniu 1941 r. Gomułka pozbawiony pracy i kontaktów politycznych zdecydował się razem z Marianem Spychalskim opuścić Lwów i udać się do Generalnej Gubernii”. (Strona 59).

Co do Gomułki, to nic nie wiem, nie znam go. Natomiast Spychalski ze Lwowa wyjechał na początku grudnia — ale roku 1939, zaledwie w dwa tygodnie po swoim przyjeździe do Lwowa z Warszawy.

W końcu listopada, wieczorem, Spychalski odwiedził mnie w moim pokoju, który zajmowałem razem z żoną w mieszkaniu prof. Stanisława Łempickiego na ul. Lelewela nr 5 we Lwowie. Razem z nim przyszedł nasz wspólny przyjaciel Stanisław Kropp, który do rozwiązania partii był tzw. „funkiem” — funkcjonariuszem partyjnym — z płacą 200 zł. miesięcznie. W roku 1935 Kropp był w Moskwie na przeszkoleniu w tzw. KUMZ-ie (*Kommunistический Университет Народов Запада*), wrócił złamany, przerażony, rozczarowany całkowicie — ale partii mimo to się trzymał, bo nie widział alternatywy dla komunizmu, wobec szaleństw hitleryzmu.

Postaram się powtórzyć naszą rozmowę możliwie wiernie tak jak ją dzisiaj pamiętam:

— Postanowiliśmy wrócić do Warszawy — powiedział Spychalski.

— Dlaczego? — spytałem, wcale nie zdumiony, bo wtedy wszyscy już my, dawni komuniści warszawscy, przeżywaaliśmy swoją „godzinę rozpacz” na widok tego wszystkiego co się dokoła nas działo.

— Tu się niedługo zacznie łamanie kości — powiedział Kropp.

— Byłem dzisiaj rano u generała Iwanowa — mówił Spychalski — w sprawie planów odbudowy Lwowa. W pewnym momencie rozmowy zapytał

mnie, czy należałem do „byłej” Komunistycznej Partii Polski. Odpowiedziałem z uśmiechem: „*Kak-by niet*”, mając na myśli że jakże bym był tutaj i rozmawiał z nim, gdybym nie należał do partii. On mnie źle zrozumiał — że mówię: „nie”. Bardzo się ucieszył aż klepnął mnie w kolano i powiedział „*Eto oczeń charaszo, oni — wsie eti polskie komunisty — prowokatory Piłsudskiego*”. Wobec takiego wyznania nie prostowałem już. Ale jasne że zostać we Lwowie nie mogę...

— Nie wiedziałeś, że oni nas tak nazywają? Przecież dlatego rozwiązali partię. Nic w tym nowego — powiedziałem.

— W samym fakcie nic nowego, ale on do mnie się z tego zwierzył w przekonaniu że do partii nie należałem; kiedy się dowie, a musi się dowiedzieć, że należałem i że go — w jego przekonaniu — okłamałem, nie daruje mi. Nie wytłumaczę mu że to było nieporozumienie. Nie uwierzy. U nich nikt nikomu nie wierzy... A poza tym: widziecie przecież, co tu się dzieje — rozłożył ręce, jego śniada twarz była zabarwiona rumieńcem, na pewno nie od wódki, bo nie pijał. — Wolę odbudowywać Warszawę...

— Broniewski mówi wprost, że to czerwony imperializm i że Stalin nie różni się niczym od Hitlera — powiedział Kropp.

— Mimo wszystko to nie jest to samo — powiedział Spychalski.

W kilka dni potem dowiedziałem się od Kroppa, że Spychalsey wyjechali. Kropp zachorował i został we Lwowie. Do Warszawy wyruszył dopiero w końcu stycznia 1940 r., po moim aresztowaniu. Umarł na suchoty w roku 1943. Przed śmiercią odbył długą rozmowę z jednym z naszych wspólnych przyjaciół, miał do Spychalskiego pretensję że „wrócił do Stalina, s...yna”.

Z poważaniem,

Janusz KOWALEWSKI



Nowy Jork, 7 października 1969.

Panie Redaktorze,

W artykule „Architektura i urbanistyka polska” (*Kultura* 9/264) Bogdan Adamski wspomina o jednym z najbardziej interesujących pawilonów handlowych w Polsce, warszawskim „supersamie”, który zalicza do obiektów wykonanych według poprawnych, prostych i użytkowych reguł współczesnej architektury. Rzeczywiście budynek ma piękną sylwetkę, rzuca się w oczy wspomniany wkłęsły dach żelbetowy o widocznej od wewnątrz niezwyklej konstrukcji, zdumiewająco przypominającej konstrukcję stropu pałacu O.N.Z. w Paryżu, projektu słynnego Nervi. W obu wypadkach strop zawieszony jest wysoko, co daje należyty dystans do podziwiania jego harmonijnych kształtów, ale przy założeniu zapewnienia ciepła przebywającym pod nim ludziom, powoduje wysokie koszty ogrzewania.

Stropy w klimatyzowanych, napełnionych towarami domach handlowych Zachodu przystosowane do prozaicznej, ale wymagającej pewnego skupienia czynności kupowania, są wykonane zwykle ze standardowych płyt dźwiękochłonnych na wysokości 3,50 m. Jaki był sens monumentalności polskiego pawilonu? Po co, jak pytał krajowy obserwator, robić kosztowny, dramatyczny strop dla sprzedawania pietruszki? Trudno się oprzeć złośliwej myśli, że może warszawscy projektanci pragnęli zmarzniętym klientom „supersamu” wynagrodzić estetycznym przeżyciem chroniczny brak towarów. Albo, jak mi kiedyś wytłumaczył projektant Kombinat Skórzanego pod Nowym Targiem, kiedy go pytałem o przyczynę ozdabiania hali produkcji butów kamienną

okładziną i kutymi kratami: cóż chcesz, powiedział, gdzieś przecież człowiek chciałby się wypiewać!

Z poważaniem,

Andrzej LUBELSKI

Cooma North, Australia, 21 września 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule o nowym polskim kodeksie karnym w lipcowym numerze *Kultury* p. Józef Gidyński stwierdził między innymi, że „nie ma werdyktu Ławy Przysięgłych bez jednomyślnej decyzji 12-tu przysięgłych”. Jak można wnioskować z powołania się na „Wielką Ławę Przysięgłych” (prawdopodobnie: *grand jury*) autor ma na myśli procedurę karną w niektórych (ale nie wszystkich) stanach Ameryki Północnej, gdzie taka jednomyślność jest wymagana dla orzeczenia ławy przysięgłych o winie oskarżonego.

Ponieważ p. Gidyński jednak tego wyraźnie nie zaznaczył zachodzi możliwość wyciągnięcia przez czytelników wniosku, że jednomyślny werdykt jest obowiązujący wszędzie gdzie ławy przysięgłych współdziałają w wymiarze sprawiedliwości karnej.

Tak jednak nie jest. Np. w Szkocji istnieją piętnastoosobowe ławy przysięgłych orzekające większością głosów (*majority verdict*) nawet z konsekwencją kary śmierci. Także na wyspie Jersey na kanale La Manche, której prawo jest pochodzenia normandzko-francuskiego, ława przysięgłych składa się z 24-ch osób i może wydać werdykt większością dwóch trzecich (*qualified majority*).

To są tylko dwa przykłady z wielu, które można by przytoczyć.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam NASIELSKI

Goggendorf, 13 października 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Po pierwsze, wydaje mi się całkiem niecelowe drukowanie takich anonimów, jak ten do „Londyńczyka”, mający rzekomo pochodzić, od jakiegoś księdza. Zarówno forma, niewybredny ton i niski poziom intelektualny wskazują na to, że drukowany anonim nie może być dziełem jakiegokolwiek kapłana, lecz tylko tak komuś, bardzo prymitywnemu, podobało się list podpisać. Nadaje się tylko do kosza, ale nigdy do druku.

Po drugie wyrażam moje ubolewanie, że zaistniał fakt prześladowania Słowaków na Spiszu. Bolesne, że temu prześladowaniu patronuje Kuria Krakowska, od której należałoby się spodziewać kontynuowania chlubniejszych tradycji. Wszak chodzi tu o tych Słowaków, którzy za pasterzowania kardynała Sapiehy, posłowali do prezydenta Wilsona, do Paryża, domagając się przyłączenia Spisza do Polski. Oczekiwali od strony Polaków więcej katolickości, czyli powszechności, więcej tolerancji i poszanowania uczuć. Tak było kiedyś. Jeżeli dziś Kuria Krakowska realizuje jakieś uboczne wytyczne, pochodzące może od tych, którym zależy na zaszczepieniu nienawiści między Polakami, a Słowakami, to fakt nad wyraz bolesny.

Po trzecie, radzę p. Krystynie Eichler nie denerwować się, gdy koledzy w amerykańskich biurach błazeńsko dowcipkują z nas Polaków. Właściwszą metodą jest spojrzenie z góry, pełne wyrozumienia i pobłażliwości, jako oznaka politowania dla intelektualnego poziomu dowcipnisa. Należy raczej zachęcić go, w następującym sensie: proszę więcej!... jest pan bardzo dowcipny!?... sprawia mi przyjemność pańska zabawa... i tp. Ta metoda bardzo skutkuje.

Łączę wyrazy poważania.

Ks. Paweł NIEUŻYŁA



Stockholm, 14 października 1969 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim numerze *Kultury* Nr 10/265 w artykule pt. — Refleksje Emigracyjne — p. Juliusz Mieroszewski rozprawił się z ankietą w opracowaniu p. St. Zarzewskiego, której wyniki były ogłoszone w londyńskich *Wiadomościach*.

Była to jak wiadomo największa ankieta na uchodźstwie, w której wzięło udział blisko 1.500 respondentów a których p. Mieroszewski podciągnął pod wspólne miano „polskiego parafianizmu” i wyciągnął wniosek, że mimo iż są oni antykomunistami mają wiele wspólnego z komunistami i sugeruje p. Zarzewskiemu napisanie odpowiedniego tomu, dając własny tytuł: „Z dziejów głupoty w Polsce i na emigracji”. Pan Mieroszewski który przez wszystkie lata bezustannie krytykuje i poucza emigrację czego mu pewnie nikt specjalnie za złe nie bierze i oto teraz, kiedy w omawianej ankiecie znalazły się obok pochwał także słowa krytyki (jako odpowiedź na pytania ankiety) poniosły go szpetnie nerwy i zrównał tych krytyków z komunistami określając ich zarazem „jako wrogo nastawionych do *Kultury* na równi z komunistami”.

Tu chciałbym mocno zaprotestować przeciw takiemu postawieniu sprawy, z której by wynikało że p. Mieroszewski to to samo co *Kultura*, kto krytykuje p. Mieroszewskiego jest wrogiem *Kultury*. Zapytuję czy jest tak naprawdę? Czy krytykując nawet p. Mieroszewskiego jest się zarazem jego wrogiem? Coś tu kuleje. Sam brałem udział w ankiecie, *Kulturę* abonuję od początku jej istnienia i żaden numer *Kultury* jako całość nie wydawał mi się na „najwyższym szczycie”, jak również żaden jako całość nie był „poniżej poziomu”. Były liczne artykuły w *Kulturze* na najwyższym szczycie ale także poniżej poziomu.

Teraz kiedy w ankiecie znalazły się słowa krytyki p. Mieroszewskiego z *Kultury*, ten obrażony robi swych krytyków wrogami *Kultury*. Nazwiska respondentów były ogłoszone więc Administracja *Kultury* mogła najlepiej stwierdzić ilu z nich abonuje *Kulturę*. Mimo przedstawienia mnie przez p. Mieroszewskiego do szeregów wrogów *Kultury*, jej wrogiem nie byłem i nie będę i będę ją nadal abonował z pełnym prawem do krytyki p. Mieroszewskiego.

Łączę wyrazy szczerego szacunku,

Witold SZYMANIAK



Londyn, 11 października 1969 r.

Drogi Panie,

W numerze 1211 londyńskich *Wiadomości* ukazało się obszerne sprawozdanie z ankiety w sprawach polityki niepodległościowej, w której wzięło

udział 1.713 osób z 9-ciu krajów osiedlenia emigracji. W październikowej *Kulturze* str. 83 p. Mieroszewski zaliczył wszystkich swych oponentów do kategorii głupców, przy czym nie przytoczył ani jednego kontrargumentu w stosunku do twierdzeń respondentów ankiety.

Czy uważa Pan podobną taktykę za właściwą? Przecież nikt nie ma monopolu na rację w sprawach tak skomplikowanych, natomiast każdy ma prawo polemizować z każdym przeciwnikiem swoich własnych poglądów. Ale co innego jest rzeczowo polemizować, a co innego wymyślać. Jeżeli ktoś poprzestaje na wymyślaniu, to stwarza wrażenie zupełnej swojej niezdolności do argumentacji. Trudno przypuszczać, aby człowiek o tak wysokiej inteligencji jak p. Mieroszewski nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. A jednak istnieją tylko dwie możliwości: albo jest on zwolennikiem niekulturalnych metod polemicznych albo czuje się bezsilny i dlatego uchyla się od argumentowania. Pierwsza ewentualność stałaby w kolizji z charakterem miesięcznika, którego tytuł brzmi *Kultura*; druga ewentualność wskazywałaby na to, że Mieroszewski stracił przekonanie o słuszności poglądów, które od wielu lat głosi. Postępowanie jego tym bardziej mnie dziwi, że sprawozdanie z ankiety w 99 procentach zawierało głosy poważne, zarówno pro jak i anty-Mieroszewskie i że wśród licznych respondentów byli ludzie, mający duży dorobek w dziedzinie nauki i polityki.

I jeszcze jedno: w numerze grudniowym z r. 1967 *Kultury* (str. 61) p. Mieroszewski nazwał pewien referat o jego książkach „opracowaniem poważnym”, a przecież referat zawierał te same podstawowe wątpliwości o tzw. ewolucjonizmie, którym dali wyraz uczestnicy wspomnianej ankiety.

Chciałbym dodać, że osobiście nie czuję się urażony niefortunnym wypadem p. Mieroszewskiego po prostu dlatego, że w ankiecie nie brałem udziału.

St. ZARZEWSKI

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1969.

PRZEDSTAWICIELSTWA
Prenumerata

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076. Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F	50,00 P
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping C*, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N* Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C* 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Poeyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L	7.000 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 177 — CZESŁAW MIŁOSZ

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO

Bardzo osobista książka-esej o przyrodzie wybrzeży Pacyfiku, o wyobraźni religijnej człowieka współczesnego, o *sex* i *violence*, o neo-manichejskich skłonnościach cywilizacji i o tęsknotach do politycznego terroru. Książka zawiera m.in. polemikę z ideami Herberta Marcuse.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00)



TOM 178 — CZESŁAW MIŁOSZ

MIASTO BEZ IMIENIA (Poezje)

Nowy tom wierszy Miłosza, w którym najwyraźniej widać szczególne, właściwe tylko temu poecie, połączenie krajobrazów Kalifornii i rodzinnej Litwy, życia teraźniejszością i życia przeszłością, Ameryki lat 1960-tych i Wilna zarówno 1930 jak 1820 roku.

Str. 72.

Cena F. 9,00 (dol. 2,00)



TOM 179 — PAULINA PREISS

BIUROKRACJA TOTALNA

Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawić z głośną *Nową klasą* Dżilasa, z tym że jest ona o wiele bardziej aktualna gdyż uwzględnia przemiany jakie nastąpiły pomiędzy latami 1956-1969.

Str. 224.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00)

Cena 5,00 F